

PRAWDZIWE ZBRODNIĘ

ZATOKA

S W I N

BOŻENA AKSAMIT
PIOTR GŁUCHOWSKI

*Przez nocne życie pięknego Sopotu płynie rzeka gnoju.
Karmi i poi zbiorowego alfonsa, organizatorów nocnego życia.*

Piotr Stasiński

PRAWDZIWE ZBRODNIĘ

ZATOKA

S W I N

BOŻENA AKSAMIT
PIOTR GŁUCHOWSKI

WARSZAWA 2016

Redakcja: Ariadna Machowska

Korekta: Danuta Sabała

Skład: Elżbieta Wastkowska

Projekt graficzny okładki: Ula Pągowska

Fotoedycja: Rafał Szczepankowski

Przygotowanie zdjęć do druku: Zuzanna Przywuska

Zdjęcia (numery stron dotyczą wydania papierowego):

Karolina Misztal/Reporter s. 25; archiwum prywatne s. 52;

Agencja Gazeta: Renata Dąbrowska s. 132, 225, Łukasz Głowala s. 144.

Zdjęcia na ss. 97, 107 i 233 pochodzą ze stron internetowych, na których promowany był Dream Club.

Zdjęcie Anaid na okładce pochodzi z archiwum prywatnego

AGORA_{SA}

ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

Wydawnictwo książkowe:

Dyrektor wydawniczy: Małgorzata Skowrońska

Redaktor naczelny: Paweł Goźliński

Koordinacja projektu: Katarzyna Kubicka

Copyright © 2016, Piotr Głuchowski & Bożena Aksamit

Copyright © 2016, Agora SA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Warszawa 2016

ISBN 978-832-681-843-1 (epub), 978-832-681-844-8 (mobi)

prawolubni

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

publio

SPIS TREŚCI

CZEŚĆ I. W IMIĘ CÓRKI

1. KLAUDIA. CZTERNASTOLATKA

Krystian buja się po „ośce”

Superkoleś z niezłym ciałem

Chodź tu, głupia

Kłęcz tu, mówię!

2. NATALIA. ARTYSTKA

Kuracjusze rozdzielni draperią

Mewki w błękitnych pulowerkach

Dziewczyny w klatkach

Szlak do monopolu

3. MIKOŁAJ. DZIENNIKARZ

Mój ostatni temat

Na tropie Świętego Graala

Kto zabił Iwonę Wieczerek?

Ciemne klimaty

To jeden człowiek

4. ANAID. GIMNAZJALISTKA

Anioł o czarnych włosach

Zwierzątka z bursztynu

Z brzytwą przy gardle

Śmierć kota Lucka

Coś się stało z Anią!

Odbierz telefon!

Czteryście metrów hamowania

Niech pani powie, że żyje

5. BASIA. DZIEWICA

Są dla mnie jak bracia

Chciałam do domu, na obiad

Oczy w pakamerze

Gwałtu nie było

6. KRYSTIAN. ZŁODZIEJ

Nogi wystają spod liści

Obludzona droga

7. MARCIN. BIZNESMEN

Zakatarzony „Turek”

Drogie drinki w Pucku

Striptizerki na podestach

Młode i głupie

8. MARYSIA I ILONA. UCZENNICE

Otwórz oczy

Skulone za krzakiem

9. ANDŻELIKA. PIĘTNASTOLATKA

Trzeba iść w szpilkach

Ale co to za śledztwo?

10. MONIKA, PATRYCJA, ALDONA, INKA. UCZENNICE

Zaraz wracam

Małe krętaczki

11. MAREK. POZNANIAK

Telefon do „Ziemniaka”

Kochający ojciec i mąż

12. MARTA. OKALECZONA

Pod białą markizą

Dwie twarze Zatoki

Coś bardzo złego się stanie

Dałam się zahipnotyzować

Przecież tego chcesz

Ile ten człowiek ma lat?

13. ARMEN. MŚCICIEL

Czy śmierć ją bolała?

Ty w niebie śpij, słodko śpij...

Raz się żyje, raz kocha, raz umiera

Aralezy liżące rany

Ałki i dziewczynki

Anaid daje znaki

Twierdzi, że był kolegą

Czekam w Barbossie

Nóż w brzuchu

Nie rób nic głupiego

CZĘŚĆ II. PRAWDZIWY DETEKTYW

14. JOANNA. MATKA

Nie była galerianką!

Pan Wiachon współpracuje

Moja córka zna tego Krystiana

Czy ta policja jest ślepa?!

15. AGNIESZKA I OLIWIA. UCIEKINIERKI

Wyjście zamknięte, głupia

Pierwszy proces

Pchają się same

16. ZBIGNIEW. POLITYK

Jestem mamą zmarłej Anaid

Każdy się kamufluje
Pracowałam w pokoju z widokiem na McDrive
Wszystko zarejestrowały kamery
Ide na policję i zakładam sprawę
17. TOMASZ. REPORTER

Uwaga! To tylko dziecko
Pani przyjdzie za tydzień
18. MICHAŁ I SYLWESTER. AUTORZY

Wymiana przysług
Milczenie polityków
Uczciwi są bezradni
Kasa za milczenie
Wiem, jak wyglądasz, a ty mnie nie znasz

19. ANNA. PARTNERKA

Ofiara gangu sutenerów
W imię Anaid

20. ŁUKASZ. SĘDZIA

O dobre imię
Bez pytania o zdanie

21. HESUS. KIEROWNIK

Bo rozpijali młodzież
Brak kokainy a samopoczucie
W drodze do prawdy

22. GRZEGORZ. KONSULTANT

Koki nie sprzedaje się chamom
Szybka śmierć w areszcie

CZĘŚĆ III. STOŁY Z KOKSEM

23. REALIZACJA

Wszystkim się spieszy
Naśle na was „Fakt”
Wzrok wbity w podłogę
Nie pytajcie o pieniądze
Mecenas w sieci
Jak się Krystian rozliczał?
Ucieczka nie ma sensu

24. LINIA OBRONY

Nie macie pytań?
Można zgarnąć 50 tysięcy
Ruda Kasia z Madisona
Siedem zarzutów
Co się zdarzy w Sopocie, zostaje w Sopocie
Spalę ci mieszkanie

[„Krystek” i mocodawcy](#)

[25. JAK W POSTANOWIENIU](#)

[Przeproście i płąćcie](#)

[Świnia, jaka jest...](#)

[26. CIĄG DALSZY NASTĄPI](#)

[Od autorów](#)

[Główne źródła](#)

[Wybrane relacje medialne i komentarze internautów](#)

CZĘŚĆ I

W IMIĘ CÓRKI

Policjant 1: – A przypomni nam pan jeszcze raz, kiedy się przyjaźniliście?

Adwokat: – Mój klient już to wyjaśnił.

Przesłuchiwany: – Mogę powtórzyć. Od sierpnia do września... byliśmy z sobą do września, bo potem ześmy się posprzeczali i dlatego ona została z tymi głupimi pretensjami. Dlatego kłamie. Przecież wiecie panowie doskonale, jak to jest. Chce się coś poderwać czasem, przecież to człowiekowi wolno. Nie jestem bogaty, a te młodsze są tańsze po prostu. Trzydziestoletnia chce mieć od razu postawionego szampana, kawę za dychę, a jak już pójdzie z facetem, to najlepiej do pokoju hotelowego – i weź płać. Szesnastolatka possie za szalik, za bluzkę połknie... No, czy to moja wina, że tak one robią? Dlaczego wszyscy sobie korzystają, a ja nie mogę?

Policjant 1: – Kasia Marcinkowska obciągnęła za szalik czy połknęła za bluzkę?

Adwokat: – Mój klient nie musi na to odpowiadać.

Przesłuchiwany: – Ale ja mogę... Po prostu... było miło, ześmy się spotykali na randki, było ciepłe lato, to był i seks.

Policjant 1: – A może wiosna była, nie lato?

Przesłuchiwany: – Nie rozumiem.

Adwokat: – Nie musi pan odpowiadać.

Policjant 1: – Może nie był sierpień? Ani wrzesień?! Tylko kwiecień! Dlatego liście na drzewach są małe...

Adwokat: – Film widzieliśmy, panowie, na oryginalnym nośniku. Nie widać żadnych rozmiarów liści, to ledwie zarys korony drzewa, choć równie dobrze mógłbym się uprzeć, że to jest chmura. Jeżeli nie macie panowie co do tych materiałów nowych pytań...

Policjant 2: – A widzisz ten słup i transformator?

Przesłuchiwany: – Nie wiem, co to jest.

Adwokat: – Proszę nie odpowiadać!

1. KLAUDIA. CZTERNASTOLATKA

Krystian buja się po „ośce”

Rok 2002. Wejherowo-Nanice i Wejherowo-Śmiechowo

W kwietniu z taśmy stołecznej fabryki samochodów Daewoo-FSO schodzi ostatni polonez. W maju weterynarz odnotowuje pierwszy w Polsce przypadek choroby szalonych krów. W czerwcu na ekrany kin wchodzi komedia „Dzień świra”, a Dorota Masłowska – świeżo upieczona absolwentka Liceum Ogólnokształcącego imienia Jana III Sobieskiego w Wejherowie i laureatka nagrody literackiej czasopisma „Twój Styl” – kończy poprawiać swą debiutancką powieść „Wojna polsko-ruska pod flagą białą-czerwoną”.

Rudowłosa dziewiętnastolatka – córka lekarki i marynarza – napisała tę książkę, na brudno, w dwa tygodnie. Zainspirowało ją to, co za oknem – dzielnica Nanice i rozciągnięte ze wschodu na zachód Osiedle Kaszubskie. Kilkadziesiąt bloków, a między nimi domy o skośnych dachach i nowsze, jednorodzinne sześciany. Z południowej strony tak zwana oś miasta: czteropasmówka Słupsk – Gdynia. Od północy – meandry rzeki Redy i wzgórze porośnięte buczyną.

Między blokami – dresiarze i ich nieletnie dziewczyny zwane czasem „blacharami” albo „zjebami”. Określenie „świnie” przyjmie się dopiero za kilka lat.

Bohater książki Doroty, Silny, krąży między siłownią, Arletą, Nataszą i Magdą. One dbają o makijaż i paznokcie, on – o bicepsy. Gdy „Wojnę polsko-ruską pod flagą białą-czerwoną” zachwyci się literacka Polska, autorka powie dziennikarzom: – Codziennie miałam okazję widzieć dresiarzy, bo mieszkam o krok od nich, na tym samym osiedlu.

Jednym z karków bujających się po „ośce” jest Krystian „Krystek” Wiachon. Niedawno przeprowadził się na Osiedle Kaszubskie z położonej na wschodzie miasta dzielnicy Śmiechowo. Tam, przy nieutwardzonej ulicy Południowej, mieszkał kiedyś w krytej papą parterówce w piątkę – z siostrą, bratem i rodzicami. Gniotli się w trzech pokojach, ciasnej kuchni i wilgotnej łazience na posesji wykrojonej ze zdziczałego ogródka sąsiada.

Stary Józef Wiachon, przez większość życia bezrobotny pijak, w aresztach i więzieniach siedział w sumie kilkanaście razy. Kradzieże, rozboje, pobicia, niszczenie mienia. I przemoc domowa. Żadne z trójki dzieci ani żona, pracownica PCK, ani stara i schorowana matka Józefa – nikt nie mógł być przy nim spokojny. Gdy się Józef wściekał, a wściekał się co dzień, każdemu mógł przyłożyć zniecka. Pięścią, butelką, cegłą. Zaliczył dwadzieścia nieudanych prób wytrzeźwienia: detoksy, odwyki, szpitale psychiatryczne od Gdańska po Świecie. Nie wytrzeźwiał nigdy. Sąsiedzi mówili o domu Wiachonów: „Wrzeszcząca chata”.

Gdy siedmioletni Krystian, drobny i zahukany uczeń pierwszej klasy wejherowskiej podstawówki numer pięć, kilka razy poskarżył się nauczycielce na bóle brzucha, szkolny lekarz nie wykrył żadnej przyczyny. Ale w pobliskiej przychodni postawiono diagnozę: nerwica. Kurator wysłany na Południową zanotował: „Warunki mieszkaniowe dziecka trudne, życie rodziców niezgodne, chłopiec silnie związany z matką”.

W latach dziewięćdziesiątych ojciec „Krystka”, teraz już złachmaniony złomiarz, został sam. Żona wyprowadziła się na ulicę Sikorskiego, dwie przecznice dalej. Brat i siostra Krystiana – do wynajętych pokojów. „Krystek” pomieszkiwał u kolegów, ale zdarzało mu się też spać na ulicy czy w cudzym –

otwartym śrubokrętem – samochodzie. Skończył zawodówkę jako monter instalacji hydraulicznych, do etatowej pracy nigdy nie poszedł. Do wojska też nie – dali mu „niezdolnego” z powodu kontuzji kolana, która jednak nie przeszkadzała w intensywnych treningach na siłowni. Rzucał żelazem regularnie – przy niecałych stu osiemdziesięciu centymetrach wzrostu osiągnął pięćdziesiąt centymetrów obwodu szyi. Do tego szerokie bary, grube nadgarstki i krótkie, tępo zakończone palce. Równolegle z siłką trenował pchnięcie kulą, więc potrafi i dźwignąć, i przywalić, dzięki czemu teraz – w roku 2002 – może stawać na bramkach wejherowskich dyskotek. Zarabia pieniądze i czasem jeździ z zakupami na Południową. Stary Wiachon w ostatnich latach trzyma się przy życiu dzięki pomocy syna, którego kiedyś bił, i matki staruszki, która go czasem umyje.

Superkoleś z niezłym ciałem

Młody Wiachon właśnie skończył dwadzieścia pięć lat – wiek podobny jak u powieściowego Silnego. I podobnie jak tamtego Krystiana również otaczają głównie dziewczynki z młodszych klas zawodówek. Parę lat temu przez kilkanaście miesięcy woził się z panną w swoim wieku – Bożeną. Nie wyszło z tego nic, bo przy dorosłej czuł się nieswojo, jakby musiał stale coś udowodniać, coś pokazywać, coś z siebie dawać. Przy czternastolatkach i piętnastolatkach jest mu lepiej. Rozluźniony, ważny i podziwiany. One uważają go za superkolesia, bo ma niezłe ciało i jeździ dobrymi samochodami. Może zabrać na imprezę w dyskotecę w Luzinie, która należy do jego znajomego – „Tauzena”. Tylko sześć kilometrów na Słupsk, a jechać warto. Dyskoteka Bravo to kaszubski Maxim. Zajeżdżają ludzie z kasą, którzy chcą się zabawić ostrzej niż w normalnych knajpach, schodzą się tylko dziewczyny, które wiedzą, o co chodzi. Jest wódka, prochy i seks na miejscu. Z tego Luzino słynie. Jak ktoś na Osiedlu Kaszubskim kumpluje się z „Krystkiem”, to może w Bravo zrobić urodziny na niezłych dragach i nikt ze starych się nie dowie.

– Był typem po podstawówce, lecz inteligentnym – powie nam trzynaście lat później Maciej, znajomy Wiachona z Nanic. – Taki niewyedukowany dyplomata. Opanowany. Patrzył przeciągle w oczy. Zastanowił się dwa razy, nim coś powiedział. Tylko o laskach w kółko mógł gadać. Do znudzenia. Każde spotkanie z nim zaczynało się od pytania, czy ktoś ma może jakieś fajne małolatki na imprezę. „Przyprowadź je, pobawimy się, załatwię spanie i wódę w Gdańsku”. Już w tamtych latach pokazywał chłopakom swój aparat, a w nim zdjęcia lasek. Jak się pojawiła na komórkach możliwość nagrywania filmów, to miał i filmy, głównie zbliżenia na twarze małolat z kutasami w ustach. „Zobaczcie, ile ich mam”, „Zobacz, jakie kurwy”. Zagadywał tak dosłownie wszystkich. Z tego, co wiem, wywoził dziewczyny gdzieś pod las za Śmiechowem – tam pukał i nakręcał. Pierwsza była dziewczynka, co jeszcze do ósmej klasy podstawówki chodziła.

Klaudia miała czternaście lat, długie włosy i szczupłe uda. Krystian przyjeżdżał po nią autem do szkoły, koleżanki jej zazdrościły. Ona godziła się na zaloty, dawała zapraszać na lody, ale nie traktowała starszego o siedem lat kolegi jak chłopaka.

– Mieszkała z matką w rozwalonej chacie, którą zajęły po dziadkach, pijakach – powie nam prawie dwadzieścia lat później koleżanka i zarazem sąsiadka Klaudii. – Jej matka była salową, ojciec od nich odszedł. Ale Klaudia dobrze się uczyła i chciała czegoś więcej niż adoratora ze slumsów takich samych, w jakich ona wyrosła. Starego Wiachona, kryminalistę, wszyscy w Śmiechowie przecież znali. I co drugi wiedział, że synalek jego też kradnie. Klaudia nie chciała mu dawać więcej oprócz buzi-buzi. Więc on ją – zamiast zawieźć po lekcjach do domu – zawiózł do lasu.

Chodź tu, głupia

Rok 1998. Kalwaria Wejherowska

Kilometr na południe od Śmiechowa, za kościołem pod wezwaniem świętego Leona, stare buki porastają wzgórza o biblijnych nazwach. Między Syjonem i Golgotą wije się i rozlewa Cedron. Kiedyś rzeczka nosiła banalną nazwę Biała, ale na początku XVII wieku założyciel miasta generał i hrabia Jakub Wejher wpadł na pomysł stworzenia tu lokalnej Jerozolimy. Przez trzysta lat Kaszubi pielgrzymowali w to miejsce, by zyskać odpuszczenie grzechów. Teraz nad strugą i sztucznym stawem z zadrzewioną wysepką nikogo nie ma. Krystian odsuwa fotel od kierownicy i rozpina rozporek. Klaudia odwraca wzrok.

– Patrz tu... głupia, chodź...

Ona broni się, nie chce, płacze i prosi. On chwyta ją dłonią za kark jak kociaka. Po wszystkim zawozi do domu. W drodze zapowiada: – Jesteś zwykłą małą kurwą jak inne. Będiesz robić mi loda co drugi dzień.

Jeszcze tego samego popołudnia Klaudia skarży się matce. Gdy dwa dni później Wiachon przyjeżdża pod ich rudere, salowa krzyczy do niego przez otwarte okno: – Spierdalaj, zbrojeńcu, ty pedofilu!

On się nie boi. Wysiada z auta, staje przy krzywej furtce i także wrzeszczy.

– Darł się: „Ty kurwo stara, zobacz, jaką dziwkę wychowałaś” – opowie później sąsiadka. „Jak będziecie mi fikać, to zrobię ci to samo! Dawaj mi ją do samochodu!”. Ludzie na działkach wkoło wszystko słyszeli i się rozeszło.

Znajomy „Krystka” z tamtych czasów: – Po Wejherowie chodziły ploty, że gwałcił tę małą kilka razy, a potem oddał ją swoim kumplom. I że jeszcze kilka innych uczennic zerznął. Musiały być szczupłe, ładne, najlepiej piętnastoletnie – i żeby rodzice nie byli nikim ważnym. Im biedniejsza rodzina, tym lepiej. Wiachon wystawał pod podstawówkami, potem pod gimnazjami, czasami pod szkołą specjalną – tam też łowił. Tak było przez pięć lat. Aż po którymś jego gwałcie młode chłopaki ze Śmiechowa, z Nanic, z Bolszewa i z Zamku jakoś się o tym zgadały na piwie w osiedlowym bilardzie. Temu „Krystek” zerznął młodszą kuzynkę, tamtemu dziewczynę, innemu dawną koleżankę z klasy. Ktoś powiedział: „Trzeba chujowi wpierdolić, żeby mu się odechciało”. A że Wiachon żadnych wielkich pleców nie miał, więc wymyślili akcję z okazji sprzedaży jumanego passata, żeby go ściągnąć w ustronne miejsce. I dojechali go w Gościcinie.

Kłękasz tu, mówię!

Poniedziałek, 2 czerwca 2003 roku, ciepły wieczór.

Leśny parking na granicy wioski Gościcino i Wejherowa

– Ssij, kurwo!

Wiachon zaczyna się dusić.

Ten, co założył mu z tyłu chwyt zwany krawatem, zaciska przedramię na grdyce. Usta Krystiana otwierają się same, by zdobyć choć trochę powietrza. I wtedy młody wpycha mu członek w gardło.

Któryś z gówniarzy robi zdjęcia. Potem są kolejne kopniaki. Kiedy kończą, dwóch przewraca bezwładnego Wiachona na plecy. Dwaj inni sikają mu na twarz. Mocz zalewa oczy i dziurki w nosie.

A jeszcze cztery minuty temu sądził, że jest nie do ruszenia. Razem z kumplem zwanym na „ośce” „Bulwą” zajechali na parking dziesięcioletnim zielonym mercedesem eską. Zaparkowali pod lasem, spokojnie ruszyli w stronę stojącego na drugim końcu placu grafitowego passata kombi. Idąc, taksowali furę fachowym wzrokiem. „Bulwa” to przecież znawca – otwiera i odpala każdego volkswagena w osiem sekund, mercedesa – w dziesięć. A „Krystek” – też samochodziarz – w jeździe na czas po wąskich

szosach między Wejherowem i Władysławowem nie ma sobie równych.

Przy passacie czeka już na niego i „Bulwę” trójka wejherowiaków z Osiedla Kaszubskiego. Jeden ma przy uchu telefon komórkowy, z kimś rozmawia. Przytargali tutaj to kombi, żeby „Krystek” i jego kumpel je obejrżeli. Fura oczywiście juma, ale do wzięcia tanio.

Krystian i „Bulwa” są już w połowie parkingu, gdy od strony asfaltu wjeżdża stare bmw z przyciemnionymi szybami. Hamuje z piskiem opon, gwałtownie otwierają się drzwi. Wyskakuje dwóch. Małolaty w za dużych kurtkach z kapturami. Są szybcy. „Bulwa” staje w miejscu. „Krystek”, który myśli prędeej, chce wiać z powrotem do merca, lecz dwójka szczeniaków już mu zabiega drogę. Tamci z passata otaczają go jak wilki. Każdego z osobna posłałby na glebę jednym ciosem... Ale w kupie są odważni.

Dalej wszystko dzieje się błyskawicznie. Strzał z pięści, kopniak w plecy, w kolano, poprawka na skroń, jeszcze w brzuch. Już go młóćą razem, w pięciu. „Krystek” pada na bok, kuli się, osłania łokciami głowę. Jeden z napastników zaczyna po nim skakać. Drugi celuje piętą w twarz. Dwóch podeszwami miażdży napadniętemu palce. Trzeci kopie go w potylicę, jakby chciał zabić. Ofiara stęka i zwija się. Jeszcze jeden cios buta w łysą głowę.

– Dobra... wstawaj, kurwo! – najwyższy wstrzymuje resztę małolatów. – Wstawaj, mówię! Klękasz tu!

Dwaj chwytają go za ramiona, trzeci przykucnął i teraz robi mu od tyłu klasyczny krawat. Czwarty z chłopaków rozpina rozporek.

2. NATALIA. ARTYSTKA

Kuracjusze rozdzieleni draperią

*Zoppot, Sopoty, Dolny Sopot. Prusy, Wolne Miasto Gdańsk, PRL
i nowa Polska*

Był rok 1903, jubileusz ćwierćwiecza błogosławionych i oświeconych rządów Friedricha Wilhelma Alberta Victora II Hohenzollerna, gdy w kurorcie Zoppot an der Ostsee otwarły podwoje Łazienki Północne. Zaprojektowany przez Stadtbaumeistera Paula Puchmüllera Nordbad wyrósł między plażą a parkiem Północnym, ćwierć kilometra od moło doktora Georga Haffnera, dymisjonowanego lekarza wojsk napoleońskich.

Łazienki miały przeszło czterdzieści metrów szerokości, otwartą w morze arkadę oraz dwie wieże zakończone kopułami: Herrenbad i Damenbad. W centrum budynku – restauracja z salą bankietową. W bocznych skrzydłach – trzysta czterdzieści kabin i wanny do ciepłych kąpiei w zimie. Poza tym nowy kompleks oferował moczenie się w wodzie borowinowej, żelaznej i – nowość – kąpiele elektryczne, z przepływem lekkiego prądu przez ciało. Było prawie jak w Ostendzie. A nawet lepiej: Sopot jako pierwsze kąpielisko niemieckie pozwolił, aby kobiety i mężczyźni – oczywiście w ubraniach – zażywali morskiej kąpiei oddzieleni jedynie rozpiętą na deskach draperią. Statek należący do Łazienek co rano wywoził pasażerów w morze, na jego pokładzie mogli powerandować, wdychając przesycone jodem powietrze. Dla służby i ludności robotniczej Sopotów przewidziano kąpiele bezpłatne. O karty wejścia można się było starać w ratuszu.

W Wolnym Mieście Gdańsku – rozciągającym się od Malborka po północny Sopot – Łazienki znalazły się niemal na granicy. Ledwo kilometr za nimi, w poprzek plaży, stanęły słupy z orłami na tablicach i drewniane kozły z drutem kolczastym. Za nimi nowy twór – Rzeczpospolita Polska. Polscy żołnierze i strażnicy.

Życie kulturalno-rozrywkowe musiało się przenieść bliżej centrum: do kasyna gry – Spielklub Zoppot i do Kasino-Hotelu, późniejszego Grandu. Oraz jeszcze dalej, w stronę moła i dworca kolei żelaznej – tam gdzie hotele Metropol i Werminghoff, gdzie cukiernia Karla Taudiena oferująca najlepsze w Wolnym Mieście sękacze. Tam gdzie dom towarowy Alfreda Gebauera – zakupy bez lady handlowej i gdzie Kaiserhof – Cesarski Dwór. Życie berlińskich rentierów, żydowskich kupców, mniej licznych rosyjskich białych emigrantów, polskich arystokratów, inwestorów ze Skandynawii i szpiegów wszelkich nacji przeniosło się na Seestrasse, do słynnego z festiwali wagnerowskich amfiteatru leśnego i na trybuny wyścigów konnych.

Łazienki Puchmüllera – wymurowane solidnie, jak wszystkie jego dzieła – stały aż do połowy XX wieku, gdy Seestrasse przemianowano na ulicę bohatera Związku Radzieckiego Konstantego Rokossowskiego. W tym czasie były już jednak tylko zachwaszczoną, zasypaną odpadkami rudera z zarwanym dachem. Miejscem spotkań pijaków i najtańszych prostytutek.

Mewki w błękitnych pulowerkach

Wcześniej, w 1945 roku, sowieccy wyzwolicieli spalili Werminghoff i Metropol, spalili Kurhaus

z salą teatralną i pijalnią wód, wyszabrowali, co się da. Gwałcili kobiety, mężczyznom odbierali zegarki, rowery i papierośnice. A jednak i tak – w porównaniu z wypalonym Gdańskiem – wiele budynków zostawili w dobrym stanie. Dlatego pierwszy powojenny wojewoda pomorski mieszkał właśnie w Sopocie, tu pracował i tutaj – na molo – łowił ryby. Nie dla rozrywki, lecz by mieć co do garnka włożyć. Dlatego odnowiciel gospodarki morskiej Eugeniusz Kwiatkowski, przedwojenny wicepremier i twórca Gdyni, w tym mieście kreślił plany na przyszłość.

Kurort polubili także polscy komuniści. Prezydent Bolesław Bierut witał w Grand Hotelu uczestników wyjazdowego posiedzenia Biura Politycznego, którzy przyjechali tu, by potępić Władysława Gomułkę. Premier Józef Cyrankiewicz spacerował po plaży wzdłuż niszczących Łazienek i nawet kąpał się w tym miejscu. Być może zwrócił uwagę na zarośniętą ruinę, bo to za jego rządów – w 1967 roku – ruszyła przebudowa. W miejscu romantycznej sylwetki Nordbad powstał płaski stumetrowy pawilon w stylu betonowego brutalizmu. Szary ciąg przebierałni z elewacją barwy majtkowego różu i błękitu. Na dachu taras spacerowy z latarniami i ławkami. Mamy z wózkami mogły nań wjeżdżać przez jedyny w Trójmieście serpentynowy podjazd.

Gdy Polska Ludowa upadła, ten ślimak stał się ostatnią atrakcją ponownie opustoszałych nowych Łazienek. Zjazd opanowali rowerzyści na BMX-ach, a na wydmach opodal zadomowili się dilerzy narkotyków oferujący polski kompot w strzykawkach i pigułki. prostytutki od dawna już tu nie zaglądały – w latach osiemdziesiątych żadna sopocka mewka nie była tak uboga, by chodzić w zarośla. Dziewczyny się szanowały. Nosiły ciuchy z Pewexów i komisów – błękitne pulowerki z angory i czerwone włoskie kozaki z zamszu, na jakie nie było stać ani skromnie odzianych urzędniczek, ani nawet kupujących w Modzie Polskiej żon działaczy partyjnych. Paliły dunhille po 2 dolary od złoczonej paczki – za taką sumę, po wymianie u cinkciarza, student Wyższej Szkoły Handlu Morskiego mógł wykupić w stołówce obiady na cały miesiąc. Jeździły własnymi samochodami – czerwonymi włoskimi fiatami i bordowymi sowieckimi ładami, także kupowanymi za dolary. Miały opiekunów – czasem prowadzących je oficerów Służby Bezpieczeństwa i milicjantów, częściej alfonsów łączących sutenerstwo z cinkciarstwem i lichwą.

W tygodniu najdroższe siedziały do północy w Sali Malinowej Grand Hotelu, a po zamknięciu restauracji w czynnym do rana podziemnym barze. W soboty bawiły się w Musicoramie, od lat siedemdziesiątych najgorętszym miejscu Wybrzeża. W ciągu tygodnia była to stołówka pracownicza dla kelnerów, konsjerży i pokojówek z Grandu. W sobotnie poranki wnoszono jednak stoły i krzesła, do dużej sali wjeżdżał pierwszy w kraju stroboskop i dwie rampy taneczne z kolorowymi lampami pulsującymi w rytm mechanicznej muzyki. To był i szok, i zarazem strzał w dziesiątkę. Wcześniej na publicznych zabawach tańczyło się tylko przy grających na żywo zespołach. Gramofon, magnetofon szpulowy czy najnowszy cud techniki, kaseciak, były sprzętem na prywatki.

Teraz podłączono gramofony do wielkich głośników i mewki dosłownie oszalały na punkcie nowego wynalazku – dyskoteki. Tak samo jak ich klienci. Przy mechanicznej muzyce bawiła się prywatna inicjatywa, marynarze, później polonijni biznesmeni z teczkami o szyfrowanych zamkach i hurtownicy w tureckich swetrach, jeszcze później – trochę niepewni swego uwłaszczeni dyrektorzy przedsiębiorstw.

Ale większość sopockich prostytutek nie mogła sobie pozwolić na Grand. Za komuny urządowały, po pierwsze, w kawiarni Marago, niewielkim lokalu z letnim ogródkiem i dancinikiem na dolnym końcu pasażu noszącego już nazwę Bohaterów Monte Cassino. Po drugie, w wybudowanym niemal vis-à-vis nowoczesnym kombinacie gastronomicznym Alga, który na parterze mieścił restaurację z dancinikiem, a powyżej koktajlbar z tarasem. Po trzecie, w Ermitażu, restauracji z dancinikiem w połowie deptaka.

Po 1989 roku wiele z nich przeniosło się do Fantomu, dyskoteki między placem Przyjaciół Sopotu w dole Monciaka a mołem, w której bawił regularnie Nikodem „Nikoś” Skotarczak – złodziej, cinkciarz i gangster, sponsor piłkarzy Lechii, posiadacz tytułu Zasłużony dla Miasta Gdańska i sopocki inwestor.

Inne panie rezydowały w położonym tuż obok Non Stopie, klubie z występami chippendalesów i tancerek zza wschodniej granicy. Wdzięki prezentowała tu późniejsza Weronika Pazura, do 1992 roku

tancerka, potem żona gangstera na emeryturze, jeszcze później małżonka aktora.

Pozostałe mewki – nazywane tak już tylko przez najstarszych klientów – lądowały w Nikim, gdzie – podobnie jak w Fantomie – rządził uzbrojony w spluwę sutener i zapalony kibic piłki „Wolf”. Inne w Złotym Ulu na deptaku, jeszcze inne – w agencjach towarzyskich. Część zaczęła pracować w mieszkaniach – na telefon.

Przyszło im mierzyć się z konkurencją młodszych koleżanek, które nie potrzebowały już układów na milicji, esbecji i u szefów sal. Wraz z wejściem do gry gangsterów nowego typu – brutalnych i nakoksowanych – pojawiło się pokolenie prostych dziewcząt oddających się nie za dolary, ale za złotówki i byle jakie prezenty – w dodatku irytująco tanio.

Dziewczyny w klatkach

Od 1990 do 2011 roku. Dolny i Górny Sopot

W Łazienkach Północnych i otaczającym je parku po latach, gdy wieczorem częściej można było spotkać tu dzika niż człowieka, rozbawione towarzystwo pojawiło się znowu w 1990 roku. Muzyk, lekarz, anglista i czterej plastycy otworzyli w stojącym opodal pawilonie dawnej Pruskiej Galerii Malarstwa i Rzeźby klub, jakiego w Polsce nie było: Sopockie Forum Integracyjne Nauki Kultury i Sztuki, w skrócie: Sfinks. Adres: Franciszka Mamuszki 1.

W budynku, gdzie sto lat wcześniej wystawiano obrazy Caspara Davida Friedricha, znowu działo się wiele: performance z nagimi modelami obu płci, koncerty muzyki prosto z londyńskich klubów techno, pokazy artystycznego wideo. A do tego pierwsze w Polsce obchody Halloween połączone z konsumpcją świńskich uszu, chińskich jaj i ośmiornic z kuskusem wprost z trumny. 8 marca urządzano dni kobiet dla mężczyzn – panowie mogli wchodzić tylko w kieckach. Były też sylwestrowe balety z góralami, ogniskiem pod dachem i wyciągiem krzeselkowym w budynku. Po kilku latach klub stał się legendą dla Warszawki, Krakówka, studentów, freaków i zagranicznych gości.

Mniej wyszukana klientela miała dla siebie coś po sąsiedzku. Przy Franciszka Mamuszki 14, dokładnie w miejscu Łazienek Północnych, powstała dyskoteka Galaxy. Przestrzeń dla barbarzyńców, jakich dotychczas w Sopocie nie było. Po niemieckich i żydowskich mieszczanach, po peerelowskich dygnitarzach, po cinkciarzach, niebieskich ptakach, po artystach, adwokatach i oficerach marynarki, po pierwszych książętach wolnego rynku – do miasta zjechali faceci w podkoszulkach z siatki, w laczkach, w szortach i ich pijące piwo z sokiem dziewczyny o pomarańczowych od solarium twarzach. Przyjechali amatorzy nocnego życia ze Słupska, Tczewa i Kartuz. Parkowali kopące golfy dwójki na trawie, wieczorami nosili ciemne okulary, a całą dobę złote łańcuchy. To dla nich wyremontowano pawilon pod czternastką, dla nich zawisły pod wysokim sufitem wielkie srebrne kule. Dla nich śmignęły lasery, z kątów wypęły aromatyzowane dymy. Zatańczyły dziewczyny w klatkach – żeby było jak na teledyskach z MTV. I jeszcze pierwszy na Pomorzu darkroom: zamknięty, zaciemniony pokój, gdzie na kanapach i fotelach chętni mogli uprawiać seks z nieznajomymi. Na ścianach ktoś wymalował erotyczne sceny naśladujące malarstwo pompejańskie. Weneckie okno między pokojem a salą taneczną sprawiało, że figlujący mogli oglądać tańczących – lecz nie odwrotnie.

Gdy w Sfinksie krytycy i kuratorzy wystaw spierają się o przyszłość sztuki, obok w Galaxy 5 tysięcy gości co weekend skacze, śpiewa, bzyka się i pije do oporu. Żeby tylko 5 tysięcy... Mistrzostwa Polski prezenterów dyskotek przyciągają dwa razy tyle. Pokaz możliwości najbardziej popularnych didżejów Pomorza – 8 tysięcy. Dwupoziomowa dyskoteka jest pojemna, ale i tak podczas wielkich imienin DJ-a „Chrismo” imprezowicze, dla których zabrakło miejsca, wdzierają się przez okna. Lecą szyby od strony plaży, interweniuje ochrona, ktoś strzela z pistoletu, na szczęście ślepakami.

Szlak do monopolu

Miejsca do zabawy brakuje nie tylko w Galaxi. Sopot robi się za ciasny. Ludzie nowego pieniądza i polscy Niemcy kupują tu drugie i trzecie mieszkania. Latem w ogródkach na deptaku – parasole przed knajpami to ciągle w Polsce nowość – nie sposób znaleźć wolnego stolika. O miejscu parkingowym zapomnij. Jest i tłoczno, i głośno – nocami dudnią nowo otwierane kluby i dyskoteki: Paradox, Papryka, Piątka, Klub 70, Soho, Viva, Kon-Tiki. Wreszcie wszystko przebija położony sto metrów od Monciaka snobistyczny klub Mandarynka oferujący trzy różne rytmy, wystroje i klimaty w jednym budynku.

Najeźdźcy – licznie i nie tylko – nieuchronnie wygrywają z miejscowymi artystami. O poranku na Monciaku coraz rzadziej widuje się podpartych laskami malarzy emerytów ze słynnej niegdyś „szkoły sopockiej”. Nie widać ich młodszych kolegów – wzrost czynszów wypędza ich do Gdańska i Gdyni. Coraz mniej jest wyluzowanych bywalców kawiarni, którzy przy porannej latte przeglądają „Wyborczą” i „Rzeczpospolitą”, więcej nerwowych pracowników korporacji zamawiających na kaca wódkę z red bullem.



Natalia Turczyńska-Schmidt w budynku Zatoki Sztuki. W głębi, po prawej, brat Marcin Turczyński. Lipiec 2015

Coraz rzadziej pokazują się odwieczne legendy deptaka: szurnięty „Kanada”, „Konfederat” z bagnetem przy pasie i wystylizowany „Parasolnik”. Zamiast nich – wąsaci faceci w swetrach wpuszczonych w spodnie od garnituru, babeczki o wypalonych na siwy blond czuprynach i doklejonnych paznokciach, typki puszczające przy stolikach muzykę z komórek.

Na plaży, w pejzażu złożonym dotąd z wody, piasku i krzewów dzikich róż, wyrastają reklamy, budki piwne i prowizoryczne imprezownie.

Copacabana – z basenem, czterdziestoma parasolami i zadaszonym parkietem wielkości boiska – przyciąga towarzystwo, które nocami budzi ryby w Zatoce, sika gdzie popadnie, wrzuca do wody butelki i usiłuje skakać z molo. Szlak wiodący z Copacabany do całodobowego sklepu monopolowego obok rozpadającej się Algi znaczą od czwartku do soboty kałuże wymiocin, pety, skruszone lufki i wszelkie śmieci. Policja interweniuje kilkanaście razy w ciągu nocy. Nad ranem co rusz ktoś kogoś goni, ktoś wrzeszczy, ktoś uruchamia dla zabawy alarmy ciasno zaparkowanych aut. Stali mieszkańcy domów przy

ulicach Mokwy, Goyki, Grunwaldzkiej i Ogrodowej piszą do urzędów skargi na właścicieli plażowych dyskotek. Ostatecznie wygrywają. Właściciele Copacabany dostają nakaz rozbiórki od wojewody i dwa dni później wysoko ubezpieczony lokal płonie. Dzierżawcom Galaxy umowę wypowiedają urzędnicy nowego prezydenta – Jacka Karnowskiego. Tamci się jeszcze odwołują, krążą wezwania i skargi, dyskoteka zmienia nazwę na Curacao Club Sopot, trzeba szykować nowe pisma, co oznacza nowe odwołania. Wreszcie – po czteroletniej batalii w sądach – ratusz odzyskuje opróżniony budynek. I coś z nim musi zrobić, jeśli Łazienki Północne nie mają po raz trzeci porosnąć mchem i osadem z soli.

W 2010 roku do przetargu na dzierżawę „zabudowanej nieruchomości przy ulicy Mamuszki 14” stają Wojciech Trzciński, właściciel warszawskiego klubu Fabryka Trzciny, Janusz Baran, szef restauracji Dwór Oliwski i zarazem prezes pomorskiej Regionalnej Izby Gospodarczej, oraz niespełna trzydziestoletnia artystka Natalia Turczyńska-Schmidt, która deklaruje, że w miejscu dawnej tancbudy i kurwidołka stworzy kompleks pracowni artystycznych z salą wernisaży, ciemnią fotograficzną, mniejszym pomieszczeniem do tworzenia rzeźb i większym do ćwiczenia tańca. Plus tanie pokoje gościnne dla twórców spoza Trójmiasta. Wszystko razem ma się zwać Multidyscyplinarnym Centrum Kulturalno-Artystycznym „Zatoka Sztuki”.

Natalia, pochodząca z odległego o trzydzieści kilometrów Pucka wysoka szatynka o delikatnych dłoniach, jest prezeską ciała założycielskiego Centrum, czyli Fundacji MCKA ZS. Absolwentka Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu po studiach prowadziła małą galerię sztuki. Udzielała się w niszowej grupie performerek Dziewczęta Przeszanowne. Później organizowała festiwale z branży okołoplastycznej – Rybie Oko, Inspiracje, Triennale Młodych. Teraz wróciła nad morze, by połączyć sztukę z biznesem.

3. MIKOŁAJ. DZIENNIKARZ

Mój ostatni temat

*Czerwiec 2015 roku, mieszkanie w bloku na północnym przedmieściu
Gdańska*

Mikołaj Podolski, prawnik po uniwersytecie w Toruniu, aktualnie dziennikarz freelancer, odbiera telefon od naczelnego. Starszy od niego o przeszło dwadzieścia lat Janusz Szostak, kiedyś autor „Walki Młodych”, potem redaktor „Tygodnika Solidarność”, dzwoni z Sochaczewa, z siedziby miesięcznika kryminalnego „Reporter”. Pyta Mikołaja, czy ma jakiś temat do letniego numeru, który wyjeżdża do drukarni za dwa i pół tygodnia.

Podolski, trzydziestolatek z blond włosami spiętymi w kitkę, tematu nie ma. Jest zniechęcony. Współpraca z „Reporterem” to jego -nasta dziennikarska próba. Mieszkał w Bydgoszczy, Kartuzach, Sopocie i w angielskim Southend. W Olsztynie pisał dla lokalnej „Wyborczej”, w Wejherowie tworzył redakcję powiatowego „Expressu”, w Grudziądzu prowadził portal miejski. Współpracował z serwisem Onet, z tygodnikiem „Życie na Gorąco” i witryną satyryczną Joe Monster. Był autorem, fotografem, wydawcą, korektorem, specem od zdobywania patronatów. Od dwóch lat mieszka w Gdańsku z przyjaciółką Anną i ledwo wiąże koniec z końcem.

– W połowie czerwca postanowiłem odejść z zawodu – powie nam w październiku 2015 roku, gdy spotykamy się w Sopocie. Przyjedzie na rowerze. Mówi, że samochód stracił z powodu sprawy „Krystka”. Mimo chłodu będziemy rozmawiać na ławce. Wyjaśni nam, że nie chodzi do knajp, bo boi się podsłuchu. – Chciałem już poszukać pracy fizycznej. W Anglii zapieprzałem na budowach, montowałem okna, robiłem w fabryce ciastek. Nawet w Sopocie mój znajomy zatrudnił się – przez pośrednika – do sprzątanego psich kup i zarobił więcej, niż ja dostawałem wierszówki z „Reportera”. Więc kiedy naczelny zadzwonił i zapytał, czy chcę na pożegnanie coś jeszcze napisać, nawet nie wysilałem się, by wymyślać tematy na poczekaniu... Ale on dał mi jeszcze godzinę do namysłu. Na wypadek, gdybym zmienił zdanie.

W kawalerce Mikołaja i Anny kuchnia służy za biuro. Czarny biurowy fotel na kółkach opiera się o drzwi lodówki. Podolski wciąga parę z nikotyną, przegląda sieciowe witryny. Może coś jednak dla Szostaka znajdzie? Czyta notatki z działu kryminalnego Trójmiasto.pl, newsy z serwisu TVN 24 i stronę „Faktu”, gdzie widzi krótki artykuł opatrzony zdjęciem czarnowłosej kobiety i tytułem „Matka: Córeczka zabiła się, bo została zgwałcona?”.

Początek: „Była pełną życia, wesołą i pogodną dziewczyną, uwielbiała się wygłupiać i rozśmieszać innych. W ciągu paru chwil jeden człowiek odebrał jej wszystko. Radość i co najgorsze – chęć do życia. 14-letnia Anaid z Gdańska, pół Polka, pół Ormianka (...), nie umiała udźwignąć krzywdy, która ją spotkała...”.

Ostatni akapit: „... mama Anaid nie ma wątpliwości, że to Krystian W. doprowadził jej córkę do takiego stanu. Kobieta dotarła do innych ofiar. Do tej pory skontaktowało się z nią czternaście dziewczyn. Część z nich dziś jest już pełnoletnia, ale nie wszystkie. Wśród nich trzy są ofiarami gwałtu, cztery Krystian W. próbował zgwałcić, a pozostałe były przez niego nagabywane lub szantażowane. Metoda zawsze była ta sama. Zwyrondnialec znajdował dziewczynki na portalach społecznościowych. Zawsze miły, zapraszał do ekskluzywnych klubów i obiecywał wejście mimo niepełnoletności. Wysyłał

im – niby od niechcenia – zdjęcia drogich jachtów i samochodów. Zdobywał ich zaufanie, a później zabierał na przejażdżki. Mimo informacji zebranych przez mamę dziewczynki potwór wciąż chodzi wolno”.

Podolski: – Krew mnie zalała. W „Reporterze” zawsze traktowaliśmy seryjnych gwałcicieli tak jak seryjnych morderców. Zero litości, zero skrupułów, zero czekania na wyrok. Od razu nazywamy sprawę po imieniu. Komentarze pod tekstem „Faktu” były zresztą podobne: dorwać go, urwać mu jaja, czemu ta cholerna policja nic nie robi? Nos mi podpowiadał, że nie tylko nic nie robią, ale i nic nie robią. Że bez dużego dziennikarskiego śledztwa i bez nacisku sprawa szybko umrze. Zdecydowałem, że jeżeli cokolwiek mam jeszcze zrobić, to właśnie będzie mój ostatni temat.

Na tropie Świętego Graala

Mikołaj zaczyna szukać matki Anaid. Według „Faktu” kobieta nazywa się Joanna Tutghushyan – ale w internecie nie ma słowa o takiej osobie. Na Facebooku nie istnieje podobny profil. Ktoś założył natomiast pośmiertną stronę poświęconą czternastolatce – z jej zdjęciem i podtytułem „Na zawsze pozostanie w naszej pamięci”. Poniżej liczne slitt focie, które dziewczynka – występująca na zmianę jako Anaid i jako Ania – robiła sobie z siostrą Kamilą, swoim chłopakiem Dominikiem i koleżankami: Pauliną, Wiktoria, Nikołą. Tak przynajmniej wynika z opisów i postów. Jeszcze niżej zdjęcia z pierwszej komunii. Dalej Anaid z wielkim pluszowym tygrysem. Anaid w stroju aniołka i z aureolą na drucie. Anaid na koniu na łące pełnej kwiatów. Z mamą i siostrą w zoo, przed klatką tygrysa. Na plaży. Nad jeziorem. Na festynie w Gdańsku-Oliwie. Do tego wiersze napisane przez rówieśników, złote myśli o tęsknocie i śmierci, informacje o nabożeństwach w intencji dziewczynki i filmy z okolic moła w gdańskim Brzeźnie. Na brzegu Zatoki jacyś ludzie puszczają chińskie lampiony. Pod spodem komentarze autorstwa Dominika, Nikoli, Ariela i Asi Skiby. Z treści wpisów wynika, że ta ostatnia jest matką Anaid, wspomnianą w „Fakcie” Joanną Tutghushyan. Podolski odnajduje na FB jej profil i pisze. Na odpowiedź musi czekać trzy dni.

Joanna Skiba, trzydziestopięcioletnia szatynka o regularnych rysach twarzy, woźna w przedszkolu, była żona Armena Tutguszjana, mama Kamili i Anaid, nie odpisuje od razu. Wszystko na nic. Rozmawiała ze Zbigniewem Stonogą – nie pomogło. Rozmawiała z Tomaszem Patorą z TVN – i nadal nic. Rozmawiała z reporterką „Faktu”, a Krystian z Wejherowa, który skrzywdził jej dziecko, ciągle jest na wolności.

– Długo przekonywałem mamę Anaid, że jestem gotów zająć się sprawą mocniej niż inni. Użyłem argumentu, że mam znajomości w Wejherowie – powie nam potem Podolski. – Znałem ludzi z czasów pracy w „Expressie Powiatu Wejherowskiego” i obiecałem jej, że nie spocznę, dopóki gwałciciela nie aresztują. Dopiero wtedy zgodziła się na spotkanie i podała swój adres na Oruni.

Podolski jedzie tam ze swoją dziewczyną jeszcze tego samego wieczora. Przepołowiona torami kolejowymi wąska ulica zastawiona jest komunalnymi oficynami. Dużo tu pustostanów – mało kto chce mieszkać między huczącymi jezdniami ulicy Trakt Świętego Wojciecha a torowiskiem PKP. Ci, którzy mogli, uciekli stąd po powodzi z lipca 2001 roku, gdy woda podniosła się powyżej człowieka i długo nie chciała opaść. Zatechłe domy zajęli lokatorzy z przydziału: niezaradni, alkoholicy, kobiety uciekające przed przemocą domową. Trzypiętrowa czynszówka Joanny stoi między krzywym płotem skleconym z wyszabrowanych fragmentów wagonów towarowych i półprzezroczystym ekranem dźwiękochłonnym odgradzającym to miejsce od terenu kolejowego.

– Wiedziałem doskonale, co to za dzielnica – powie Mikołaj. – Tutaj w akcie zgonu śmierć od noża kwalifikuje się jako „zejście z przyczyn naturalnych”. Było już po zachodzie słońca, więc moja Anna została w samochodzie i miała dzwonić, jakby ktoś się dobierał do wozu. Wszedłem po skrzypiących

schodach i zastukałem do drzwi. Obiecałem mamie Anaid, że nie zajmę jej więcej niż godzinę. Rozmawialiśmy dokładnie pięćdziesiąt osiem minut. Byłem czujny. Słuchałem i szukałem w jej słowach sprzeczności. Z dziennikarskiego nawyku. Ale sprzeczności nie było. Ona mówiła prawdę. I płakała. Płakała nad wszystkimi skrzywdzonymi dziećmi, nie tylko nad własną córką. Płacząc, zdradziła mi nazwisko gwałciciela i to, że mówią na niego „Krystek”. I jeszcze to, że łowił dziewczęta, obiecując im pracę w sopockiej dyskotecie Dream Club.

Podolskiego przechodzi prąd. Czyżby nowy wątek w sprawie Iwony Wieczorek?! Szansa na odnalezienie Świętego Graala pomorskich dziennikarzy śledczych – tropu, który doprowadzi do odnalezienia najśłynniejszej zaginionej III RP albo chociaż jej ciała?! Podolski już nie myśli o tym, że przed czterema dniami chciał odejść z zawodu.

Kto zabił Iwonę Wieczorek?

Iwona Wieczorek to bohaterka czterystu dwudziestu tysięcy publikacji i wpisów internetowych. Wynik porównywalny z Wisławą Szymborską, stukrotnie lepszy od Danuty Wałęsy – choć dziewiętnastoletnia blondynka nie dokonała niczego spektakularnego poza tym, że w sobotę 17 lipca 2010 roku nie wróciła do domu z imprezy, która rozpoczęła się poprzedniego wieczora na osiedlu Jelitkowski Dwór, a skończyła w Dream Clubie.

Nieszczęścia nic nie zapowiadało – Iwona nie miała wrogów, lubiła zabawy w sopockich klubach, miała kilku bliskich kolegów i przyjaciela – Pawła. W piątkowy wieczór wraz z nim, wspólną koleżanką Adrią i dwoma innymi znajomymi kupili w sopockiej Żabce butelkę whisky plus colę i pojechali wypić na działkę babci jednego z chłopaków. Wieczór był ciepły, a impreza w altance – biforkiem przed właściwym party w Krzywym Domku. Iwona, pijąc słodkie drinki, szybko się upiła, o czym napisała w SMS-ie innej koleżance – Kasi.

Na dyskotecę w Dream Clubie młodzi pokłócili się o drobiazgi. Jednego z kolegów zabawa znudziła na tyle, że poszedł gdzie indziej. Paweł za mało tańczył z Iwoną, a za wiele – jej zdaniem – z innymi dziewczynami. Poza tym – według Wieczorek – zbytnio interesował się Adrią. Było już blisko do świtu, kiedy Iwona wyszła z dyskoteki. Reszta towarzystwa też się zaczęła rozchodzić.

Po trzeciej nad ranem Adria – która już wsiadła do taksówki i zamówiła kurs do domu na Jelitkowskim Dworze – kilka razy dzwoniła do Iwony, wysłała jej parę SMS-ów. Rozmowy – jak potem zapisali w aktach policjanci – kończyły się sprzeczkami. Iwona miała pretensje, że towarzystwo „zostawiło ją samą”. Trzy minuty po wpół do czwartej napisała do koleżanki wiadomość „o gównu mnie zaczepiają”. W tym czasie szła już z Sopotu do Brzeźna chodnikiem wzdłuż plaży i ścieżki rowerowej. Kamera monitoringu ujęła ją o czwartej dwanaście, gdy mijiała park Reagana. W dłoni trzymała szpilki, a za nią kroczył mężczyzna w stroju plażowym, z jasnym ręcznikiem na ramieniu. Być może to on ją zaczepił wcześniej „o gównu”, bo w śledztwie znalazł się świadek, który widział oboje, jak rozmawiali na ławce.

W parku – opodal stawów ukrytych wśród zieleni między Przymorzem a osiedlem strzeżonych rezydencji Neptun – trwała w tym czasie impreza przy ognisku. Urodziny znajomego Wieczorek, na które była zaproszona, ale zrezygnowała, wybierając wypad do Dream Clubu. Wśród imprezujących na powietrzu bawiła się i Kasia, ta sama, którą Iwona informowała SMS-owo, że ją whisky ścięła w altanie. Ani ona, ani solenizant, ani nikt z popijających i jedzących nad stawami kiełbaski nie przypominał sobie później, aby Wieczorek do nich dołączyła. Policjanci przemaglowali wszystkich mimo to, bo pracownik firmy sprzątającej pas nadmorski zeznał, że „idąca boso ładna blondynka” zeszała z chodnika i weszła między parkowe drzewa alejką, która mija ukryte stawy ledwo o metry. A facet z ręcznikiem tam nie skręcił – według śmieciarza poszedł prosto w stronę mola na Brzeźnie.

Iwona ostatecznie musiała zostać porwana lub zabita gdzieś między promenadą a zbiegiem ulic

Dąbrowszczaków, Obrońców Wybrzeża i Czarny Dwór. Po jej zaginięciu rzekomy jasnowidz z Człuchowa Krzysztof Jackowski wskazał jako miejsce jej uwięzienia pole namiotowe w Jastrzębiej Górze. Policjanci pojechali, ustalili, że w jednym z domków mieszkał ciemnoskóry mężczyzna i blondynka o zbliżonej do Iwony urodzie, ale trop okazał się mylny.

Inna grupa sprawdziła gwałciciela recydywistę z okolic Jelitkowa, który na krótko przed 17 lipca wyszedł z ciężkiego więzienia w Czarnym. Też pudło.

Kilka innych ekip przeszukiwało wszystkich, którzy między czwartą a piątą rano z różnych powodów mogli przechodzić czy przejeżdżać przez park Reagana. Rowerzystów, taksówkarzy, amatorów porannych kąpieli w morzu, ochroniarzy. Na nic.

Miesiąc po zaginięciu Wieczerek osoba posługująca się nickami Lidia90 oraz Meduza napisała na forum „Tygodnika Ostrołęckiego”, że porywaczem albo zabójcą dziewczyny może być „»Krystek« z Sopotu (...), znany trójmiejski alfons rekrutujący młode prostytutki dla klientów z wyższej półki. (...) Sama byłam niejednokrotnie u niego na imprezie w jego domu i działały się tam naprawdę mocne rzeczy. Imprezy trwają czasami po kilka dni – od piątku do środy – i to nie sporadycznie”. Dalsze szczegóły z wpisu: „... facet ma jakieś 60 lat, taki szczupły, młodzieżowo-sportowo się ubierający (często w berecie), grający w tenisa – wiecie, taki typ wiecznie młody. Generalnie nie daje dziewczynom żadnych środków typu pigułka gwałtu – ale ma naprawdę wysokie umiejętności psychoperswazyjne”.

Policja nie ustaliła, kim jest Lidia90 – podobnie jak nie zidentyfikowano mężczyzny z ręcznikiem. Zajmujący się sprawą Iwony trójmiejscy dziennikarze szybko jednak poznali nazwisko „starszego Krystka z Sopotu”. To pięćdziesięcioośmioletni Krystian Wierzbicki, sutener i bon vivant. Elegancki, opanowany, mówiący po angielsku. Niekarany, nienotowany.

Krystian Wiachon z Wejherowa języków nie zna, był notowany wiele razy, nigdy nie chodził w berecie, tylko w bejsbolówce, w tenisa nie gra. Do tego z powodu łysiny prezentuje się raczej przedwcześnie staro niż „wiecznie młodo”. Tyle że Mikołaj Podolski jeszcze tego nie wie. Po wyjściu od Joanny Skiby, w samochodzie, opowiada o wszystkim Annie. Choć jest już późno, dzwoni do naczelnego.

– Wiem, kim jest Krystek z wpisu Lidii90!

– Jaki znów Krystek?

– Jak to jaki?! Ten od Iwony Wieczerek!

Szostak słucha opowieści reportera, a potem kupuje temat. Ma świadomość, że gdyby jego redakcji udało się rozwikłać zagadkę zaginięcia gdańszczanki, miałby z głowy wiele kłopotów. „Reporter” dawno nie jest już tym, czym był pod koniec lat osiemdziesiątych magazyn Polskiej Agencji Interpress, dla którego pisali Piotr Gabryel czy Eryk Mistewicz. Tytuł pozostał niezmienny, lecz poza tym – wszystko inaczej. W numerach zamiast poważnych reportaży półnagie dziewczyny, rozbite samochody albo antyterrorysty w akcji. Tytuły: „Podciął gardło dziewczyny, a sam się podpalił”, „Oskubała wenezuelskiego milionera”, „Zabił tabletką gwałtu”, „Żywcem zabetonowany”, „Krwią ukochanej namalował serce na ścianie”, „Fałszywy hrabia, co seksem leczył”. Kronika kryminalna w barwnej wersji. Czytelników niewiele, zwroty duże, dystrybucja kuleje, brakuje kasy na duże, własne śledztwa... Sukces w sprawie Iwony mógłby to wszystko zmienić.

Szostak przydziela do pomocy Mikołajowi młodą reporterkę z Łodzi. To Marta Bilka, która już wcześniej pisała o zaginięciu Wieczerek. Podolski przez najbliższe pół roku nie zobaczy jej na oczy, ale przegadają – telefonicznie i na Facebooku – setki godzin. – To było śledztwo spiralne – powie nam później. – W sprawie Anaid i w sprawie Iwony jednocześnie.

Koniec czerwca 2015 roku. Pogoda doskonała.

Plaże pełne wczasowiczów, od Rusocina po Władysławowo korki

Mikołaj Podolski dociera za pomocą Facebooka do dziewcząt, które skontaktowały się z Joanną Skibą. Jedna pisze mu o porwaniu przez wejherowskiego „Krystka”, który zaczepił ją, gdy sprzedawała truskawki w galerii handlowej. I o tym, jak uciekła mu z auta, waląc go w głowę butelką. Druga mówi o brutalnym gwałcie w samochodzie. I opisuje filmy z telefonu gwałciciela. Wspomina o zapłakanych, błagających o litość dziewczynkach, które zmuszał do seksu i nagrywał.

Mikołaj: – Coraz głębiej wchodziliśmy w ciemne klimaty. Pracowaliśmy z Martą po dwadzieścia godzin na dobę. Pomagali informatorzy z Wejherowa. Wielu z nich ryzykowało łatkę kapusia, ale mieli „Krystka” dość. Nawet recydywiści, starzy złodzieje samochodowi mówili, że nie mogą milczeć, skoro zginęło dziecko. Tylko prokuratury i komendy nie dawały praktycznie nic. Ani w Gdańsku, ani w Wejherowie – jakby był jakiś zakaz udzielania informacji o nim.

Historia seksualnych napaści Wiachona słabo się skleja z zaginięciem Iwony Wieczorek, ale Marta i Mikołaj nie odpuszczają.

– Znaleźliśmy kolegę „Krystka” z Wejherowa, policjanta, który przez pewien czas spotykał się z Wieczorek. Czyli już jedno łączące ogniwo było. Znaleźliśmy też świadka, który twierdził, że widział Iwonę w miejscu, gdzie zwożono dziewczyny porwane do prostytutki. W Duninowie pod Ustką. A w samej Ustce działał przecież klub nocny Summer Dream – filia sopockiego Dream Clubu, gdzie „Krystek” przyprawdzał dziewczyny.

I jeszcze jedno połączenie: pewien facet, na zlecenie którego Iwona Wieczorek miała zostać porwana, a przynajmniej taka była teza w śledztwie, jest ojcem człowieka, który prowadził agencję towarzyską położoną kilometr od Wejherowa-Śmiechowa. Wszystko nam się z Martą coraz bardziej łączyło. Ponieważ miałem na studiach wiktymologię, kryminologię, kryminalistykę, pytałem dziewczyny, które miały kontakt z Wiachonem, o jego różne zachowania. O to, co ten człowiek ma w głowie, jak działa. Zrobiłem profil. Spisałem na kartkach fakty, cechy, powiesiłem sobie nad komputerem. „Śledzenie”, „szantaż”, „uprowadzenie”, Dream Club, „częste zmiany numerów”, „sutener”, „kłamca”, „poczucie bezkarności”, „wywożenie dziewczyn”, „zmowa milczenia”, „zabieranie komórek”, „wyławianie dziewczyn w klubach”, „zmuszanie do seksu”, „zaciąganie do samochodu”... Powtarzalność zachowań. Pewne cechy psychiczne. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi nie potrafiłoby sprawić, aby Iwona Wieczorek znikła bez śladu. Wiachon jest w tym pozostałym jednym procencie. Od lat krzywdzi dziewczyny, nie ma wyrzutów sumienia, ma za to kontakty i możliwości. Pasował mi.

To jeden człowiek

Wakacyjny numer „Reportera” ma się ukazać 8 lipca. Naczelnny życzy sobie, by teksty spływały do sochaczewskiej redakcji co najmniej na tydzień przed wydaniem, ale w przypadku reportażu Podolskiego i Bilskiej robi wyjątek. Oboje pracują do samego deadline’u. W ostatecznej wersji ich artykuł – który pół roku później będzie nominowany do nagrody Grand Press za reportaż śledczy – zaczyna się słowami: „Czternastoletnia Anaid nie mogła pogodzić się z tym, co ją spotkało, i wybrała śmierć. Wiele innych dziewcząt doznało poniżenia, strachu, bólu, rozpacz. Krystian od wielu lat bezkarnie napastował nastolatki z Pomorza. Wyławiał je pod gimnazjami. Mógł wykorzystać co najmniej kilkadziesiąt niepełnoletnich dziewcząt. Nasze dziennikarskie śledztwo wskazuje, że może on mieć wiele powiązań ze sprawą Iwony Wieczorek.

(...) Od zawsze jeździł drogami samochodami, na które próbował uwodzić dziewczynki. Nawet tym

przypadkowo poznanym dawał numer do siebie i mówił, że można do niego zadzwonić, jeśli będzie trzeba je podwieźć. Inne śledził. Kiedy już nawiązywał kontakt, starał się znaleźć sposób na zastraszenie i uzależnienie dziewczyny od siebie. (...) Największą jego bronią był jednak szantaż. – Zmusił cztery moje koleżanki do seksu. Były wtedy przed piętnastym rokiem życia – zdrada nastolatka z Wejherowa. – Nagrał je telefonem i robił to tak, żeby nie było widać, że są do tego zmuszane. Potem groził, że pokaże to ich rodzicom, jeśli nie będą robiły tego, co będzie chciał.

Filmiki pokazywał również swoim kolegom. Miał setki takich nagrań. Wielokrotnie mamił też dziewczyny propozycjami sprzątnięcia lub chodzenia w bikini na plaży. W ten sposób namawiał je na spotkania rekrutacyjne, wywoził w ustronne miejsca, gdzie nie było świadków, i różnymi sposobami zmuszał do stosunków. Później zaczął łowić nastolatki także w internecie...”.

Podolski: – Wyłożyłem najlepiej, jak umiałem, wszystko, czego się dowiedziałem od mamy Anaid, od dziewczyn, od starych kumpli „Krystka”, którzy bez wahania mówili: „pedofil”. Napisałem, że to nie żaden samotny wykołajnik, co skrzywdził dziecko – jak można by wnioskować z „Faktu”, ale dobrze ustawiony alfons, który od ponad dziesięciu lat załatwia, jak to się mawia, młode ciała na imprezy w modnych klubach. Kiedyś to robił w Luzinie, potem awansował i zaczął kręcić się w Sopocie.

Drugą część tekstu „Krystian jestem. Zostań moją dziwką” Podolski i Bilka poświęcili domniemanym związkom Krystiana Wiachona – a nie „wiecznie młodego” Krystiana Wierzbickiego – z zaginięciem Iwony:

„...tamten Krystian ponoć był starszy (...), ale imię się zgadza, podobnie jak jego sposób uwodzenia i jego związku ze środowiskiem sutenerskim. Być może tajemnicza internautka Lidia90 po prostu coś pokręciła? 60-letni Krystian istnieje, ale to nie on był alfonsiem »Krystkiem« łowiącym dziewczyny w Dream Clubie, tylko 38-letni Krystian W. (...) Bezsprzecznie ten jest osobą, która pasuje do co najmniej kilkunastu scenariuszy zaginięcia Iwony. W tym także tych najpoważniej branych pod uwagę: porwania dla celów sutenerskich, sprzedania komuś lub zgwałcenia. Krystiana jak nikogo innego można dopasować...”.

Podolski: – Gdy już zapisałem tekst i nacisnąłem „wyślij”, zabrałem się do składania porzucanych po kuchni brudnych kubków, chusteczek, notatek, fiszek... Dopiero wtedy zwróciłem uwagę, że na kilku kartkach wypisałem różnych Marcinów, wspomnianych przez źródła jako koledzy „Krystka”, ludzie zaangażowani w jego chore działania. Jedna dziewczyna mówiła: „Marcin Tuszyński”, inna „Marcin Ruczyński”. Jeszcze ktoś inny po prostu: „Marcin”. I wtedy przyszło na mnie olśnienie: to jeden człowiek!

Mikołaj staje przed oknem w kuchni, podnosi białą żaluzję. W szybie majaczy jego własne odbicie. Podkrążone oczy, zarost na podbródku. Pół roku później powie nam: – Tak na siebie patrzyłem chwilę i westchnąłem głośno: „Co ja ci najlepszego zrobiłem, Anaid?”. Dziś już wiem, że gdybym wcześniej zwrócił uwagę na Marcina Turczyńskiego, inaczej by się to wszystko potoczyło.

4. ANAID. GIMNAZJALISTKA

Anioł o czarnych włosach

*Przeszło trzy miesiące wcześniej. 8 marca 2015 roku,
niedziela, w pół do szóstej rano. Gdańsk, okolice Huciska.
Zimno, wietrznie, pochmurno*

Armen Tutguszjan, czterdziestotrzyletni łysiejący Ormianin z wyraźnymi zakolami, od dwóch dekad w Polsce, podrywa się nad ranem z wąskiej pryczy w czteroosobowej celi aresztu śledczego przy ulicy Kurkowej. Od dwóch tygodni odsiaduje niezapłaconą grzywnę za kradzież kosmetyków z supermarketu.

Na zewnątrz świta. Armen długą chwilę patrzy na zacieki na styku sufitu i ściany. Odtwarza sen, który go przebudził.

Zobaczył w nim swoją matkę Anaid. Wisiała w powietrzu jak zwycięska Madonna na chmurze albo na ciele pokonanego smoka. Jej długie czarne włosy spływały aż do bosych stóp, niżej gięły się i splatały, tworząc coś na kształt kołyski. W kołysce leżała inna Anaid. Jego mała Anaid zwana z polską Anią. Jego córeczka, która dostała po babci ormiańskie imię bogini.

Mała Anaid nie do końca jednak leżała w pościeli z włosów babki. To był raczej taki jakby... negatyw ciała. Jej samej tam nie było. Jedynie ten ciemny, niepokojący kształt. Miejsce po niej? Jej dusza? Odcisk ciała, które znikło?

Armen kaszle. Chce mu się pić i zapalić skręta. Żeby tylko ulżyć skołatanej głowie. Strach i zmęczenie... Dlaczego ten sen był taki niedobry? Czyżby coś się jego córeczce stało? A może to ostrzeżenie? Wierzy, że sny pokazują przyszłość. Siostra jego ojca była znaną w Erywaniu wieszczką i prorokinią. Opowiadała mu o Grohu – panu śmierci, o Sarkisie – patronie górskich wilków i zakochanych par, o strasznym Spandaramecie – panu świata podziemnego, o Mardagailach – kobietach skazanych na przeistoczenie się w wilka i oczywiście o najpiękniejszej istocie wszechświata: o Anaid, bogini miłości i płodności, patronce wszystkich Ormian, cudownej istocie, którą Armen zawsze wyobrażał sobie jako czarnowłosego anioła z białymi skrzydłami i lwami po bokach.

Zwierzątka z bursztynu

Nadal 8 marca, dochodzi godzina dziesiąta. Dolna Orunia

Joanna Skiba, była żona Armena i mama Anaid, pali papierosa w otwartym oknie wychodzącym na podwórko. Jest zaniepokojona tym, co przeczytała w komputerze młodszej córki nazywanej Anią. I jej siniakiem. I jeszcze tym, że wciąż nie dostała odpowiedzi na wysłanego do niej SMS-a. A teraz nie może się dozwonić.

Starsza siostra Ani osiemnastoletnia Kamila układa jasne, proste włosy przed lustrem w łazience. Przygląda się swojej cerze. Niepokoi ją kilka małych pryszczki na policzkach. Za mało słońca. Anaid – ze swoją oliwkową karnacją po ojcu – ma lepiej. W odróżnieniu od siostry Kamila zawsze była blada.

– Ania do ciebie SMS-a nie napisała? – głos mamy z kuchni.

– Nie napisała. Już trzeci raz pytasz.

– Bo się denerwuję – Joanna przez chwilę myśli, czy nie powiedzieć starszej córce o tych wpisach na Facebooku, ale nie mówi. Trochę jej głupio, że się włamała Anaid na konto. Może zresztą nic się nie stało? Może Ania spaceruje po parku i tylko ma wylądowany telefon? Zawsze miała naładowany...

Z okna przeciwległej oficyny przypatruje się Asi oparty o parapet pięćdziesięcioletni z wyglądu mężczyzna. Ona dobrze zna tego typu i wie, że tylko tak staro wygląda. Faktycznie ma około czterdziestki. Wołają na niego „Bolec”.

Wcześniej wpadła z chłopakiem, którego znała kilkanaście miesięcy. Może to dziwne, ale gdy okazało się, że jest w ciąży – ucieszyła się. Od zawsze lubiła dzieci. Pomagała wychowywać młodszą o jedenaście lat siostrę Emilkę, bo rodzice byli zapracowani. Nieżyjący już ojciec obsługiwał jakieś urządzenie w oczyszczalni ścieków, Joanna pamięta tyle, że naciskał kolorowe guziki na szerokim pulpicie. Po pracy kopał bursztyn na plażach Stogów za Portem Północnym, na Górkach Zachodnich, między Martwą Wisłą a ujściem Wisły Śmiałej, czasem nawet całkiem daleko – na Mierzei Wiślanej za Sztutowem. Kopał oczywiście nielegalnie, jak wszyscy. Wielcy kopacze, ci z maszynami, pozwalali mu przesiewać piach po sobie, zabierać drobne kryształki do domu. Z tych grudek mama Joanny – Ewa – robiła najpierw korale i kolczyki, potem wyuczyła się tworzenia figurek. Do piętnastej szlifowała w domu kotki, słoniki i sowy. Potem zabierała Asię ze szkoły i chodziły obydwie po sklepach przy Mariackiej i Długiej, oferując korale, kolczyki, zwierzątka. Gdy bursztyńnicy nie chcieli brać, mama i córka chodziły po przychodniach, pocztach, biurach – po wszystkich miejscach, gdzie pracowało dużo kobiet. Sprzedawały towar.

Od wdychania opiłków bursztynu mama zachorowała na raka krtani. Lekarze wycięli jej guza. Wcześniej Joanna skończyła liceum w Nowym Porcie i została matką, a Ewa – babką.

Asia doskonale pamięta ten dzień, kiedy włożyła wyniki badania, które dostała w przychodni, pod piżamę. Ale w nocy kartki pozsuwały się na podłogę. Matka je rano podniosła i przeczytała. Strasznie się zdenerwowała. Gdy już jej przeszło, spytała córkę wprost: czy chce usunąć? Aborcja była jeszcze wtedy dopuszczalna. Ale Asia się oburzyła. Dziecko zabić?! Ksiądz na religii mówił przecież, że to grzech śmiertelny. Ekskomunika z automatu. Piekło gwarantowane.

– Wolisz piekło po śmierci czy już teraz? Nie wiesz, co cię czeka! – złościła się matka. – Dziecko będziesz musiała wychować sama.

Rzeczywiście została sama. Ojciec dziecka nie udźwignął tematu. Rozstali się, zanim małej Kamili wyszły pierwsze ząbki. W bloku na Zielonym Trójkącie – dzielnicy, gdzie łatwo dostać w mordę – mieszkały teraz we cztery. Matka, siostra Emilia, Asia i Kamilka.

Z brzytwą przy gardle

Chociaż chodziła po „Zielonce” – jak się mawiało na Trójkąt – z nieślubnym dzieckiem w wózku, adoratorów nie brakowało. Jeden, przystojny dwudziestoletni Gruzin Tamaz, wydał jej się na tyle sympatyczny, że zostawiła córkę pod opieką mamy i poszła z nim na tańce do Maxa, koło stacji Szybkiej Kolei Miejskiej Gdańsk Politechnika. Taki miała z mamą układ – jedno wyjście bez dziecka w tygodniu.

Tamaz wypił, bardziej go interesowali kumple niż Joanna. Ona chciała pójść na spacer, on – nie. Rozzalone wyszła z dyskoteki na słabo oświetloną, zadrzewioną ulicę Trubadurów. Z jednej strony krzaki, z drugiej tory. Liczyła, że Tamaz wyjdzie za nią. Ale on został. Wyszło za to paru koleśków, jeden z brzytwą. Zaciągnęli ją – z ostrzem przy gardle – w zarośla na tyłach klubu. Jeden trzymał jej nóż na szyi, drugi – „Bolec” – gwałcił. Reszta chłopaków stała w kółku i patrzyła. Asia nie doniosła o tym policji, nie powiedziała matce.

Po dwóch dekadach trudnego życia, po następnym facecie – Armenie, po urodzeniu Anaid, wiele razy zmienionej pracy, po kilkudziesięciu tysiącach wypalonych papierosów, kiedy wreszcie wylądowała

tutaj, na Oruni – spotkała gwałciciela spod Maxa na własnym podwórku. Był jej nowym sąsiadem. Od kilkunastu miesięcy mijają się bez słowa. A teraz bezczelny typ gapi się prosto w jej okno, gdy przypala sobie papierosa od papierosa.

Śmierć kota Lucka

Jeszcze raz próbuje wydzwonić Anię – nic. Chciałaby zatelefonować do jej siedzącego w areszcie ojca, ale na pewno jej nie połączy.

Poznała Armena rok po tamtym gwałcie pod Maxem – gdy poszła z dwuletnią Kamilą na rynek we Wrzeszczu. Między ulicami Białą i Wyspiańskiego stały budy i stragany. Warzywa, pirackie kompakty z grammi, ręcznie szyte kapcie, stare książki... Kupiła Kamilce białą czapeczkę. Z włóczkowymi kwiatkami. Założyła od razu, mała wyglądała ślicznie. Dwóch Ormian sprzedających płyty wpatrywało się w Asię tak, jak tylko ci śniadzi potrafią patrzeć na kobiety. Tamaz też tak wcześniej patrzył. Intensywnie. I to było miłe. Szepnęła małej, by pomachała ciemnowłosemu panu. Kamila machnęła, a on zaczął wołać do niej wołać: „Ara, ara, ara...”. Joanna nie odpowiedziała nic. Poszła dalej, przeszła przez pasy przy Wyspiańskiego. Ormianin pobiegł za nią. Przedstawił się: Armen Tutguszjan. Miał świdrujące oczy i długie rzęsy. Gdy się uśmiechnął, odsłonił ładne zęby. Szczupły, niezbyt wysoki. Z miękkim akcentem poprosił o numer telefonu. Odparła, że komórki nie ma, ale jej mama – owszem. Nie zraziło go to. Wziął numer mamy. Zaczęli się spotykać jeszcze w tym samym tygodniu. Opowiadał jej, że mieszka w Polsce przejściowo, trochę próbuje handlu.

Faktycznie głównym zajęciem Armena i jego kolegów były kradzieże. Poza tym Tutguszjan popalał trawkę. Kiedy zaczął Joannę, miał dwadzieścia pięć lat – o siedem więcej niż ona. Wychował się w ponadmilionowym Erywaniu, w betonowym bloku i mieszkaniu z oknem na górę Ararat. Jego matka Anaid była fryzjerką, ojciec Awetis fotografem i pijakiem, ich syn – łobuziakiem wkręconym w niedobre towarzystwo. Kiedy jego kumple wyjechali do Rosji, pojechał z nimi. W Moskwie zaczął regularnie palić zioło, później – już w Trójmieście – przerzucił się na amfetaminę.

Po kresce był nie tylko zazdrosny o Asię, ale i agresywny. Pewnego styczniowego wieczora uderzył ją wielką pluszową kaczką, którą wcześniej kupił Kamili. Wynajmowali wtedy mieszkanie na Biskupiej Górce – dzielnicy zaniedbanych kamienic i oficyn ściśniętych na wzniesieniu między kanałem Raduni a estakadami alei Armii Krajowej. Atmosfera była tam podobna jak na Zielonce i tutaj – na Oruni. Dużo wódki, dużo przemocy, dużo ludzkich nieszczęść.

Ale Joanna nie zamierzała dać się bić. Nawet pluszową zabawką. Narzuciła płaszcz, wzięła córkę i wyszła na oblodzoną ulicę w kapciach. Bez pieniędzy wsiadła w taksówkę, pojechała do mamy. Nazajutrz Armen przysłał kolegów. Prosił w jego imieniu, żeby wróciła, ale nie chciała. Cztery tygodnie po ucieczce z Biskupiej Górki zaczęły się nudności. Zrobiła sobie test. Dwie błękitne kreski nie pozostawiły wątpliwości. Cięża. Tego samego dnia Armen przyjechał, by ją przeprosić. Rzuciła w niego tym testem. Spytał, co to jest. Odpowiedziała: – Bomba!

Wrócili razem na Biskupią Górkę: ona z rosnącym brzuchem, trzyletnia Kamila i on.

Ślub był cichy. Anaid urodziła się w 2000 roku. Armen obiecał, że się zmieni. Nie będzie kradł, nie będzie ćpał. Poszedł do pośredniaka, a urzędnicy skierowali go do stoczni na kurs spawacza okrętowego. Po nim dostał pracę. Dobrze płatną, tyle że na początku musiał oddawać pieniądze za szkolenie firmie, która go przyuczyła do zawodu. Zostawało 800 złotych miesięcznie. Tak mówił. Asia – z dwójką małych dzieci w domu – pracować nie mogła. Wciąż im brakowało na czynsz i na życie. Tutguszjan wrócił więc do kombinowania. A Joanna poszła do Zarządu Nieruchomości Komunalnych. Z prośbą o przydział czegokolwiek, byle tanio.

Po pół roku Tutguszjanowie z córkami dostali dwa pokoje w podzielonym na pół czteroizbowym mieszkaniu przy Saperów we Wrzeszczu. Między alejami Legionów i Józefa Hallera stały solidne kamienice ze starymi ogrodami ciągnącymi się aż do potoku Strzyża. Inne mieszkania były tu drogie, ale nie ich. Ze względu na współlokatorów: agresywnego alkoholika i jego chorego na schizofrenię brata kryminalistę, urzędnicy uznali, że lokalu nie da się wynająć po cenach rynkowych.

Bracia zajmowali dwa pokoje razem z matką – wdową, która została bez męża, bo syn schizofrenik załutkował ojca siekierą. Zabójcę wywieźli do psychiatryka dla szczególnie niebezpiecznych, skąd wrócił jako cień człowieka. Chodził skulony, coś burczał. Nie palił i nie pił – jadł tabletki. Ustępował z drogi i Joannie, i Armenowi, który w tym czasie przerzucił się z amfetaminy na crack. Zrobił się nieznośnie zazdrosny, agresywny, czasem zmuszał żonę do seksu. Ale do ucieczki od tego wszystkiego skłoniła Joannę dopiero śmierć kota.

Sąsiad schizofrenik nie miał pretensji do nikogo, póki otępiały go psychotropy. Gdy jednak matka zaniedbała wykupienie recepty, czarny kot Lucek – ulubieniec trzynastoletniej już Anaid – padł ofiarą siekiery.

Joanna znów ruszyła z prośbą do zarządu nieruchomości. Matka i dziewczynki dostały adres na Oruni, Armen – po rozwodzie – komunalną kawalerkę w bloku na Stogach.

Coś się stało z Anią!

Nadal 8 marca 2015 roku, godzina dziesiąta z minutami

Dzwoni komórka. Wreszcie! Anaid? Joanna gasi trzeciego z rzędu papierosa, odbiera telefon. To nie Anaid. Kobieta na linii podaje swoje imię, nazwisko, policyjny stopień i nazwę komisariatu, ale do Joanny to już nie dociera. Coś się jednak stało. Te łzy Ani przed wyjściem. Wczorajszy dzień. Siniak pod okiem. Ten Facebook, ten „Krystek”, ostrzeżenia Dominika „on cię skrzywdzi”. Boże...

– Czy pani jest matką Anaid Tut... Tugusz... Tuszjan? – policjantka ma trudności z odczytaniem nazwiska.

– Jestem. Niech pani mi powie, czy coś się stało, bo ona się pokłóciła z chłopakiem...

– Dzwonię do pani według numeru w komórce córki...

– Ale gdzie jest Ania?!

– Pani córka zostawiła na ławce torebkę z telefonem i dokumentami.

– Na jakiej ławce? Gdzie?

– Czy adres z legitymacji szkolnej to pani aktualne miejsce pobytu?

– Tak. Tak, aktualne. Gdzie pani to znalazła?

– Czy jest pani...

– ...ja ze starszą córką pójdę poszukać. Pomogę. Może ktoś Anię porwał?!

– Czy jest pani w domu?

– Jestem. Co z Anią?!

– Zaraz ktoś do pani przyjdzie. Proszę nie wychodzić z mieszkania.

– Czy Ania żyje? Błagam, niech pani mi powie...

– Proszę na nas poczekać.

Policjantka odkłada słuchawkę.

– Kamila, coś się stało z Anią! Jakaś kobieta dzwoniła... Chyba policja. Ania na jakiejś ławce rzeczy zostawiła. Może w parku?

– Pójdę poszukać.

Kamila zakłada kurtkę i wychodzi. Idzie wzdłuż torów i ekranów dźwiękochłonnych. Gdy dochodzi

do wyłożonej brukiem ulicy Dworcowej, zauważa stojące jeden za drugim pociągi i pasażerów w otwartych mimo chłodu oknach. Pewnie awaria trakcji. Policyjne nyski, z których część stoi przy peronach od strony Świętego Wojciecha, a część od Smętnej, też są na Oruni codziennością. Wchodzi na wzniesienie parku Oruńskiego. Między drzewami – resztki śniegu.

Gdy Kamila idzie przez park, Joanna wchodzi na własny profil facebookowy. Prosi znajomych, by odezwali się, jeśli Ania jest u nich. Pisze: „Pomóżcie mi znaleźć córkę. Wyszła rano i chyba coś jej się stało”. Potem ponownie zagląda na profil Anaid.

Pierwszy raz otworzyła tę stronę półtorej godziny temu, zaraz gdy wysłała do córki SMS-a. Coś ją tknęło. A właściwie tknęło ją jeszcze wczoraj, w sobotę rano, kiedy Ania powiedziała, że pokłóciła się ze swoim chłopakiem Dominikiem. To gimnazjalista, drobny blondyn. Miły, choć swoje ma za uszami. Wagarował, zaliczył ośrodek wychowawczy. Anaid go kochała. Kłócili się i godzili. Byli o siebie zazdrośni, a potem udawali, że się nie zauważają. On miał powodzenie wśród koleżanek, ona dopiero zaczynała rozkwitać. W piątej i szóstej klasie podstawówki nie wyróżniała się urodą. Drobna, okrągła. W pierwszej gimnazjum wyciągnęła się i wypiękniała. Po przeprowadzce z Wrzeszcza w nową szkołę próbowali ją poderwać wszyscy chłopcy, którym wystarczyło na to odwagi.

Wobec Dominika Ania raz bywała zaborcza, innym razem nadąsana. Rozchwiana, niepewna siebie. Ekscytowała ją każde polubienie na Facebooku. Fotografowała przed lustrem swoje nogi, pupę, usta. Wrzucała zdjęcia na serwisy randkowe, jak Badoo.com. Porównywała tam siebie i koleżanki.



Z albumu rodzinnego. Anaid Tutguszjan na krótko przed śmiercią. Za nią, z lewej, starsza siostra Kamila

W styczniu tego roku ostro pokłóciła się z jedną z nich. Zaczęło się od drobnostki – złośliwego komentarza pod którymś z selfików. Potem dziewczyny wyzywały się już w realu, wreszcie przyjaciółka zaprosiła Anię na boisko gimnazjum we Wrzeszczu, gdzie miały sobie wszystko wyjaśnić. Tam trzy dziewczyny rzuciły się na Anaid od tyłu i stłukły ją. Czwarta nakręciła wszystko komórką. Film rozszedł się wśród wspólnych znajomych. Kamila też to oglądała. Młodsza siostra próbowała ją namówić,

by we trzy, z matką, zemściły się na kumpelkach. Żeby je razem pobiły. Joanna stanowczo odmówiła. Anaid poprosiła, by mama przynajmniej dała jej 50 złotych na siłownię, gdzie dziewczyny trenują boks. Asia obiecała, że da, ale nie w tej chwili, bo nie ma.

Odbierz telefon!

Z Dominikiem Anaid posprzeczała się, gdy klasa chłopaka spędziła noc w szkole. On wrzucił na Facebooka zdjęcia z sali gimnastycznej z rozłożonymi do snu materacami. Zadowolony i roześmiany, a wokół koleżanki. Ania natychmiast do niego zadzwoniła, lecz nie raczył odebrać. W sobotę rano, gdy wreszcie się z nim połączyła, kłótnia przeszła w śmiertelną obrazę.

Przy śniadaniu Ania była zła. – Powiedziałam, mama, Dominikowi, że jak ważniejsi są dla niego ci z jego klasy, to ja pójdę sobie do Krystiana. A on mi powiedział: „To idź”.

Joanna nie wiedziała, co powiedzieć. Była zmęczona po całym tygodniu pracy. Krystian... Krystian... Przypomniało jej się, że to dawny dobry kolega Ani, jeszcze ze szkoły we Wrzeszczu. Sympatyczny i pogodny. Odwiedzał ich na Saperów.

Odpowiedziała córce, żeby posprzątała pokój. Ale Ania nie posprzątała. Około jedenastej założyła najlepsze ciuchy, umalowała się i poszła. Do koleżanki albo do tego kolegi z Wrzeszcza. Nie było jej przez pół soboty. Wróciła po szesnastej – na dworze robiło się już szaro – smutna i czymś przybita. Nie chciała powiedzieć, co jej jest, gdzie była tyle godzin. Nie zjadła kolacji. Tylko raz zrobiła sobie herbatę. Weszła do kuchni i wyszła z niej bez słowa, z oczami wbitymi w podłogę. Joannie wydawało się, że nad okiem ma siniaka. Zapytała, co to jest, ale Anaid odpowiedziała krótko: „Nic, mamó”. Potem zamknięta w swoim pokoju przesiadła resztę dnia na łóżku, z tabletem na kolanach. Asia – u siebie – oglądała telewizję. Kamila farbowała włosy w łazience. Wyjątkowo szybko, zaraz po ósmej, młodsza córka położyła się spać. Matka na sofie do pierwszej w nocy oglądała seriale. Rano, krótko po ósmej, obudziła ją Anaid. Była w butach.

– Posprzątałam, mogę wyjść na spacer?

Joanna dźwignęła się z sofy. Zajrzała do pokoju dziewcząt. W części zajmowanej przez Anię wszystko – bluzki, baletki i pluszowe misie – było ładnie poukładane.

– Kiedy wychodziła, zobaczyłam, że w kącikach oczu stały jej dwie wielkie łzy – powie nam później matka. – Zapytałam w drzwiach: „Co ci się stało?”, i w tym momencie te łzy opadły na policzki, a w ich miejsce pojawiły się nowe. Jeszcze raz spytałam, co zaszło. Myślałam, że chodzi wciąż o Dominika, o to jego szkolne nocowanie i ich kłótnię. Ale Ania mi nie odpowiadała, zacięła się. Więc tylko przytuliłam ją mocno, pogłaskałam po głowie. „Kochanie, nie przejmuj się, chłopcy w tym wieku już tacy są. Niedojrzali”. Jakoś tak to powiedziałam. Pomyślałam, że zimne powietrze rzeczywiście dobrze jej zrobi, a porozmawiamy spokojnie, jak wróci ze spaceru. Potargałam jej delikatnie włosy – tak po matczynemu – i wyszła. A ja natychmiast poczułam się dziwnie. Jakaś taka niespokojna, czemuś winna, coś mnie zaczęło świdrować w żołądku. Umyłam się, ogarnęłam, napisałam SMS-a: „Serduszek, nie martw się, chłopcy tacy są...” i tak dalej, że przecież jest młoda i nie warto rozpaczać. Czekałam, czy mi od razu odpisze, ale nie odpisała. Jeszcze bardziej zaczęło mnie nosić. Ten siniak... Czyżby ktoś ją wczoraj uderzył?

Zdenerwowana Joanna poszła do kąta młodszej córki i wzięła do ręki jej tablet.

– Może miałam przeczucie... Zdarzało mi się wcześniej sprawdzać i komputer Kamili, i Ani – ale tylko gdy coś się działo z ocenami w szkole. Tym razem nic przecież nie wiedziałam. Tyle że sprzeczką z chłopakiem. Nie pierwsza. No, ale jednak... ten siniak... jej łezki... coś mną targało. Ania miała na ekranie wzór do odtworzenia, taki że sunie się palcem. Przesuwałam raz w jedną, raz w drugą i w pewnym momencie pojawiło się żądanie kodu. Wpisałam po prostu: jeden, dwa, trzy, cztery.

Zadziałało.

Na ekranie pojawił się profil facebookowy Anaid i ostatnia wiadomość – od przyjaciółki, Nikoli. „O kogo ci chodzi? O kim mówiłaś? Odbierz telefon”.

Brak odpowiedzi Anaid.

Niżej wymiana postów, linków i zdjęć ze szkolnymi kolegami.

Pod zdjęciem Ani z pluszowym tygrysem ktoś pisze: „Spoko wyglądasz”.

Anaid Tutghushyan: „Krystek znalazł mi pracę”.

– Do tej chwili myślałam wciąż, że „Krystek” to ten jej miły kolega z poprzedniej szkoły we Wrzeszczu. Zastanawiałam się: jaką robotę mógł załatwić uczeń gimnazjum? Co za głupoty ona wypisuje? Nic wcześniej nie wspominała, że chciałaby pójść do pracy, zarabiać, choćby w wakacje. Nigdy... Może chodziło więc o to, żeby pokazać, jaki ten „Krystek” jest fajny i jakie ma możliwości, żeby na przykład Dominik to przeczytał i żeby był zazdrosny?

Wymiana wiadomości z Dominikiem zaczynała się od zdjęcia Anaid w samym staniku.

– To już mnie zaszokowało. Pomyślałam najpierw, że może taki prezent dla chłopaka albo chciała przez niego sprawdzić, czy dobrze wygląda. W jego oczach. Ale tam były jeszcze teksty. Nie zacytuję. Wynikało, że uprawiali seks. Pierwsza myśl: muszę z nią pogadać. Natychmiast! Zadzwoiłam – nie odebrała.

Potem Joanna przeczytała jeszcze coś o „Krystku”.

Anaid Tutghushyan: „Jadę do Krystiana sprzątać mieszkanie”.

Dominik: „Ty chyba jesteś głupia. Ile on ma lat? Przecież on cię skrzywdzi!”.

Anaid Tutghushyan: „A co ty myślisz, że ja dziwka jestem?”.

Dominik: „Pójdiesz do niego, a on cię wyrucha”.

Anaid Tutghushyan: „Nie dam się, a siłą mnie nie weźmie”.

Tablet w ręce Joanny zaczął drżeć. Krystian to nie jest sympatyczny kolega z gimnazjum.

Była godzina dziewiąta, może kilka minut po. Znowu zadzwoniła do Anaid.

„Abonent chwilowo niedostępny”.

Wróciła do tabletu i do odczytywania starszych wpisów. Pod serią fotek – Anaid przed lustrem, Anaid z Dominikiem, Anaid na łóżku, Anaid się czesze, Anaid z Nikołą, Anaid z przodu, z boku i z tyłu – zobaczyła mnóstwo lajków, serduszek, uśmiechniętych buziaków i komentarzy: „Śliczna!”, „Cmok, cmok”, „Bosko!!”. Dużo niżej – wymianę komentarzy sprzed czterech miesięcy. Z końca ubiegłego roku. Korespondencja z kimś o profilu „Krystian Wi”:

„Jest kilka prac do wzięcia. Możesz sprzątać u mnie albo sprzedawać w kebabie”.

Ania najwyraźniej nie zareagowała, bo kolejny, grudniowy wpis pochodził znów od „Krystiana Wi”:

„A lubisz pływać?”. W załączeniu zdjęcie motorówki.

Gdy Anaid nie odpowiadała, rozmówca spróbował inaczej.

„Może przejażdżka?”. Na podpiętym zdjęciu Asia zobaczyła audi Q7.

Kolejna zaczepka pochodziła ze stycznia: „To jak spędzasz weekendy?”. W załączniku zdjęcie jakiegoś eleganckiego pomieszczenia z widokiem na morski brzeg. Joanna jeszcze nie wiedziała, że to klub The Roof pod markizą na dachu sopockiej Zatoki Sztuki. Nie wiedziała też, że Anaid w styczniu poszła tam z Krystianem. Nie z kolegą z Wrzeszcza. Z Krystianem Wiachonem, trzydziestoosmioletnim kryminalistą z Wejherowa. Wszystkiego tego nie wiedziała, ale i tak poczuła gwałtowne ukłucie w piersiach – i upuściła tablet.

W tym czasie Anaid doszła na peron stacji. Poszukała wolnej ławki, by usiąść. Przeczytała SMS-a od mamy. „Serduszek, nie martw się, chłopcy tacy są, nie przejmuj się. Jesteś młoda, ciesz się życiem”. Zobaczyła nieodebrane połączenia, ale nie oddzwoniła do mamy – wyłączyła telefon. Chciała być sama.

Czterysta metrów hamowania

Dziewiąta z minutami. Stacja kolejowa Gdańsk-Orunia

Anaid na plastikowym siedzisku zaczyna płakać. Pasażerowie czekający na Szybką Kolej Miejską w obie strony – do Pruszcza i do Wejherowa – przyglądają się jej z zakłopotaniem.

Uruchomiony pół roku temu skład InterCity Gdynia – Wiedeń, który nie zatrzymuje się w Oruni, jest już w połowie drogi z Dworca Głównego. Pod aleją Armii Krajowej nabiera prędkości. Pasażerowie, którzy wsiedli na Głównym, jeszcze się moszczą. Upychają na półkach bagaże, zdejmują płaszcze.

Dziewiąta osiem. Ekspres pędzi wzdłuż dziurawej ulicy Przy Torze, mija odgradzony ekranami wylot ulicy Rejtana. Czterdziestoletni mechanik maszynista włącza syrenę, gdy mija niestrzeżony przejazd samochodowy u wylotu Głuchej. Anaid wstaje z ławki. Ściąga z dłoni rękawiczki, zdejmuje kurtkę, składa ją i zostawia na siedzisku razem z ciemną torebką workiem, do której włożyła przed chwilą komórkę. Ma tam jeszcze szczotkę do włosów i dżinsowe legginsy, które kupił jej Krystian Wiachon. Zakłada rękawiczki z powrotem, machinalnie poprawia długie włosy. Robi kilka kroków w stronę torów. Szeroką białą linię na skraju peronu przekracza tak, jakby przestępowała krawędź trampoliny. Od szyn dzieli ją teraz czterdzieści kostek Bauma.

Mechanik maszynista rozpędził pociąg do 90 kilometrów na godzinę. Podchodzącą do krawędzi peronu dziewczynkę zauważa, gdy dzieli ich niespełna sto metrów. W pierwszej chwili ma jeszcze nadzieję, że ona się cofnie. Powtarza sygnał ostrzegawczy i dusi przycisk już do końca.

Anaid nie słyszy wibrującego wycia syreny i krzyku dwóch starszych kobiet, które każą jej natychmiast zawrócić. Mechanik już wie, co będzie. Wielu kolejarzy przez to przeszło. Niczego nie da się zrobić. Napiera całym ciałem na dźwignię nagłego hamowania i myśli o prokuratorze, o teloku, taśmie zapisującej parametry ruchu lokomotywy, o dziewczynce w samym sweterku, która nawet nie skacze, tylko tak bardziej spada na tory.

Droga hamowania dziesięciu wagonów to czterysta metrów. Wśród pisku czterdziestu hamulców pasażerowie jadący do Warszawy, Katowic, Ostrawy i stacji Wien Meidling padają na siebie wzajemnie i na podłogę. Ekspres zatrzymuje się poza stacją osiem i pół minuty po dziewiątej.

Niech pani powie, że żyje

Półtorej godziny później

Kamila zawraca do domu. Jest jej zimno. Gdy mija grupę pijaków przy torowisku – stoją od rana w tym samym miejscu, plastikowa butelka krąży z ręki do ręki – dwie policjantki wchodzą na podwórze. Joanna kończy telefoniczną rozmowę z Emilią.

Siostra: – Niepotrzebnie wszczęłaś aferę na fejsie. Niepotrzebnie pisałaś, że „coś jej się stało”. Zaraz aniołek się znajdzie.

Asia: – Poczekaj, bo ktoś mi puka. Albo potem oddzwonię.

Otwiera. Widzi kobiety w czarnych mundurach i czapkach z daszkiem.

– Pani Joanna Tutguszjan?

– Niech pani mi powie, że moja córka żyje.

– Wejdźmy do mieszkania, dobrze? – policjantki przedstawiają się: wydział prewencji, coś tam, coś tam. Młodsza prosi Asię, by usiadła na sofie.

– Niech pani powie, że Ania żyje.

– Niech pani siądzie, proszę.

Joanna siada.

– Żyje?!

– Niestety, nie. Wpadła pod pociąg.

– Wpadła?!

– Świadkowie mówią, że skoczyła. Przykro nam.

Joanna zaczyna krzyczeć:

– Jak to skoczyła?! Rzuciła się?! Popełniła samobójstwo?! To niemożliwe! Moja Anaid, taka dzielna?!

Jakaś pomyłka! Inna dziewczynka...

Policjantka przynosi z kuchni kubek z wodą, lecz Asia jej nie wypija. Już nie krzyczy. Zsuwa się z kanapy na podłogę.

– Kiedy wróciłam z parku, mama leżała na dywanie, a one, w mundurach, stały nad nią – powie później Kamila. – Od razu pomyślałam o zatrzymanych pociągach i o tym, że Ania poprzedniego dnia nie wiadomo gdzie była. Za wcześnie się spać położyła... Gdybym ją wtedy obudziła, to coś by mi powiedziała, byśmy porozmawiały, nie byłoby tego wszystkiego, ona by żyła. Tak pomyślałam i też zemdlałam jak mama.

Karetka przyjeżdża po kwadransie. Ratownicy zabierają matkę i starszą córkę do szpitala psychiatrycznego na Srebrzysku. W szarych, posępnych pawilonach Joanna spędzi pięć dni – półprzytomna, na silnych lekach, będzie się kręciła między salą chorych a palarnią.

– To było piekło – opowie. – Chodziłam tylko sikać, palić i leżałam otumaniona. Nie jadłam. Papierosy i leki. Nie wiedziałam, nie rozumiałam: dlaczego, co się stało, za co to wszystko? Przecież jak wchodiliśmy do autobusu, wszyscy się za Anią oglądali. Nawet kobiety. Wiedziała, że ma przyszłość przed sobą. Ma przed sobą wiele miłości... Nie mogła skoczyć! Może chciała tylko wzbudzić zainteresowanie Dominika, zwrócić uwagę, zrobić mu na złość? Wtedy wzięłaby tabletki, żyłki podcięła... ale pod pociąg?

5. BASIA. DZIEWICA

Są dla mnie jak bracia

Jedenaście lat wcześniej. Piątek 13 czerwca 2003 roku,

wczesny wieczór. Baryła – wejherowski klub bilardowy z dyskoteką

– Teraz to już trzeba mu jaja odciąć.

Na trzecim piętrze Baryły, dawnego spichlerza nad Cedronem – prowadzący ten lokal czterdziestolatek od ksywce „Tabaza” pije piwo i załatwia interesy z grupką młodszych od siebie ziomali z Osiedla Kaszubskiego. Jedni się przysiadają, inni odchodzą, za każdym razem wszyscy grzecznie witają i żegnają gospodarza – ten jest nie tylko hurtownikiem narkotykowym, ale i szwagrem samego „Jodkinsa”, poszukiwanego przez policję rezydenta gangu pruszkowskiego na Wybrzeżu.

Większość prosi „Tabazę” o zgodę na sprzedaż towaru albo o akceptację jakiegoś gościnnego występu w Gdyni lub we Władysławowie. Tylko „Żurek”, który dosiadł się kwadrans temu ze swoim kumplem „Fagotem”, ma inną sprawę. Sam zresztą jest inny niż reszta siedzących przy stole koleżków z „ośki”. Oni to, według papierów, przeważnie bezrobotni kucharze, mechanicy samochodowi czy stolarze po zawodówkach. On studiuje na drugim roku Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej. Ich matki są sprzątaczkami albo kasjerkami. Jego mama jest nauczycielką. Wkurza ją, że syn się kumpluje z dresiarzami i złodziejami, ale „Żurek” powtarza zawsze: „Są dla mnie jak bracia, a ty tego nie zrozumiesz”.

– Trzeba mu jaja obciąć – „Fagot”, dwudziestodwuletni złodziej i włamywacz, który już siedział w więzieniu, powtarza to po raz drugi. Razem z „Żurkiem” przyszli prosić „Tabazę” o zgodę na ponowne wpierdolenie „temu zboczeńcowi Wiachonowi”. Bo nauczka, jaką dali mu 2 czerwca, nie przyniosła skutku. „Krystek” gwałcić nie przestał. Tydzień temu dorwał kuzynkę „Żurka” i zarazem najbliższą przyjaciółkę młodszej siostry „Fagota”, jasnowłosą Basię. Jeszcze dziewicę. Basia ma piętnaście lat, chodzi do gimnazjum, dobrze się uczy. W przyszłości skończy wyższe studia – w odróżnieniu od „Żurka”, którego droga życiowa tego dnia fatalnie skręca. Za sześć lat – jako były student z wyrokiem – zabije człowieka.

Chciałam do domu, na obiad

Basia знаła Krystiana dobrze, jak wiele dziewcząt z „ośki”. Trzy tygodnie temu zaproponował jej podwózkę ze szkoły. Miał zawieźć do domu, ale wywiózł do lasu. Rozerwał ubranie, brutalnie zgwałcił, potem jeszcze sponiewierał wyzwiskami, gdy zobaczył krew na tapicerce.

Kiedy tylko Basia wróciła do mieszkania na Osiedlu Kaszubskim, powiedziała o wszystkim mamie i obie pojechały do wejherowskiego komisariatu – o czym „Żurek” już nie opowiada „Tabazie”.

Wąsaty posterunkowy długo wypełniał protokół. Pytał dziewczynkę: – Jak byłaś ubrana? – W dzinsy i bluzkę. – Czy piłaś alkohol? – Nie piłam. – Dlaczego wsiadłaś do samochodu z dorosłym mężczyzną? – Bo znałam go, a byłam głodna i chciałam szybciej być w domu na obiedzie.

Na koniec przesłuchania policjant wyjaśnił, że źle zrobiła, myjąc się po gwałcie. – Teraz przez ciebie nie znajdziemy śladów spermy, rozumiesz?

Basia poczuła się winna.

Potem były badania ginekologiczne i psychologiczne. Jeszcze później wezwano na przesłuchanie Wiachona. Spokojny i pewny siebie przyznał się do stosunku – jak stwierdził – za obopólną zgodą. Wy tłumaczył, że Basia to jego dziewczyna. Młodsza – i co z tego? Oskarża go fałszywie, bo matka odkryła, że straciła cnotę. Córka chce uniknąć gniewu rodziców, więc kłamie, że została zmuszona do seksu. Normalna rzecz. On, Krystian, nawet nie ma o to do swojej małej pretensji.

Wezwana do skonfrontowania się ze słowami „Krystka” dziewczynka nie wytrzymała. Zrezygnowała z zeznawania i opowiedziała o wszystkim kuzynowi – „Żurkowi”. On poszedł ze sprawą do „Fagota”, bo ten zna i Basię, i właściciela dyskoteki w Luzinie „Tauzena”. Postanowili dorwać Wiachona właśnie tam, w dyskotekę Bravo, w której stoi co weekend na bramce. Musieli mieć tylko wsparcie kilku ludzi i zgodę „Tabazy”.

Ale właściciel Baryły nie robi żadnych problemów – „Krystek” od pół roku jest mu winien pieniądze.

Narada przy piwie kończy się ustaleniem składu ekipy: do Luzina mają pojechać – poza „Żurkiem” i „Fagotem” – jeszcze czterej „bracia z »ośki«”. Dwaj z nich – uczeń ostatniej klasy liceum handlowego i absolwent technikum hotelarskiego – mają czyste kartoteki. Trzeci, uczący się na mechanika, odrobił ostatnio trzydzieści godzin prac społecznych za awanturę z policjantami. Czwarty – o czym koledzy nie wiedzą – czeka na bilet do więzienia. Ma prawomocny wyrok za gwałt zbiorowy.

Następnego dnia, na godzinę przed północą, wyjedzie ich jednak nie sześcioro, ale piętnastu. Perspektywa wypierdolenia „temu zwyrolowi Wiachonowi” skusi wielu chłopaków z Wejherowa. Pojadą trzema samochodami.

Oczy w pakamerze

Chłodna noc z soboty na niedzielę, 14-15 czerwca 2003 roku.

*Dyskoteka Bravo na piętrze remizy strażackiej w Luzinie,
sześć kilometrów od Wejherowa*

Muzyka wprawia szyby w drzenie. W środku – co najmniej dwieście osób. „Krystek” stoi na bramce w małym przedsionku między szatnią, zamkniętym na klucz magazynem i schodami prowadzącymi w górę, do dyskoteki. Towarzyszy mu drugi bramkarz – trochę młodszy i również zatrudniony przez „Tauzena” na czarno. Światła trzech podjeżdżających tuż po sobie aut zwracają uwagę ich obu, ale to Wiachon orientuje się w niebezpieczeństwie pierwszy.

– Muszę po coś skoczyć – rzuca do kumpla i wbiega po schodach. Kilka sekund później półprzymknięte drzwi wejściowe – kopnięte z zewnątrz – omal nie wylatują z futryny. Samotny ochroniarz dostaje w twarz, a upadając słyszy: – Leżysz i się nie ruszasz!

Większość ekipy z Osiedla Kaszubskiego przechodzi nad leżącym i wali na schody. Dwaj – mechanik samochodowy i uczeń handlowki – zostają w przedsionku, by pilnować wyjścia.

„Żurek” i „Fagot” przeciskają się przez tańczący tłum w kierunku baru. Niemal nie słyszą muzyki – krew szumi im w głowach równie głośno. Student usiłuje zamówić piwo z nalewaka, ale podniecenie odbiera mu mowę.

– Nalewaj, suko! – „Fagot” wyręcza go, wrzeszcząc na młodą barmankę, i bije przy tym pięścią w blat z takim hukiem, że mimo ryku głośników kilkoro najbliższych tańczących odwraca głowy.

– Coś nie pasuje? – pięćdziesięcioletni „Tauzen” wyrasta tuż za plecami „Fagota”. Barmanka jest jego partnerką, przez większość wieczoru dyskretnie ją obserwuje.

– Gadaj, gdzie ten zwyrol! – mózg „Żurka” jest tak zalany adrenaliną, że młody człowiek nie czeka

na odpowiedź – szklanka z piwem ląduje na czole „Tauzena” nim ten otworzy usta. „Fagot” pomaga koledze i poprawia dwoma ciosami – pierwszy w brzuch, drugi w środek twarzy. Ziomale z Kaszubskiego – gdy widzą, jak właściciel dyskoteki leci z nóg – zaczynają rozpierduchę. Lecą pokale, wyrwane z parkietu stołki barowe, spienione piwo zalewa ściany, ludzie krzyczą, przerażony didżej wyłącza muzykę. Większość spanikowanych imprezowiczów przepycha się do wyjścia, ale kilku oddaje napastnikom ciosy i już dwie-trzy bijatyki wybuchają w różnych punktach sali.

– Gdzie ten skurwysyn?! – „Żurek” wrzeszczy, aż mu żyły wychodzą.

„Tauzen” ze swoją dziewczyną – schowani za barem – nie odpowiadają. Cicho siedzi także Wiachon. Najpierw próbował zniknąć w tłumie tańczących, potem schował się w pakamerze na zapleczu i teraz obserwuje demolkę przez umieszczony pod sufitem lufcik.

Fruwają butelki z wódką i po wódce. Mija minuta, nim któryś z wejherowiaków wreszcie zauważa oczy w ciemnym okienku.

– Tu jest skurwysyn!

Drzwi zamknięte.

Do wyważania zabiera się „Fagot” – kopie, szarpie, znów kopie, napiera barkiem, jeszcze raz szarpie. Urywa kłamkę, zamek wciąż trzyma

– Zajebimy cię, chuju! Wyłaż sam!

– Daj... czekaj... ja spróbuję.

– W zawiasy jebnij!

– Wyłaż, Wiachon!

Ktoś krzyczy, że jadą gliny. Ktoś próbuje odciągnąć „Fagota” od pokopanych, lecz wciąż zamkniętych drzwi na zaplecze.

– Spierdalamy!

„Żurek” chce jeszcze walczyć, jednak jeden z osiedlowych braci już wyciąga go za łokieć. Reszta też spada – gdy jednocześnie odpalają silniki samochodów, zebrany pod dyskoteką parujący tłum rozstępuje się i pozwala odjechać. Ludzie już się nie boją – poza skaleczeniami i rozdartymi ubraniami nikomu nic się nie stało. Tylko „Tauzen”, który dostał hokerem – krzesłem na jednej nodze – ma rozbitą czaszkę i rany wymagające szycia. Stracił dwieście szklanek, pokali i kieliszków, trzy stołki, dziesięć krzesel, dwie półki pełne alkoholi i dwie podświetlane reklamy. Krystian Wiachon jest cały – tyle tylko że na odchodnym „bracia” wybili mu szyby w mercedesie i urwali lusterka. Po tym najeździe w rozmowie z policjantami domaga się ścigania „znanych mu z widzenia” osób, które przyjechały go pobić i groziły mu śmiercią.

Na wejherowskim komisariacie chcą wiedzieć, dlaczego stał się celem ataku, ale nie może nic zdradzić. Razem z barmanką podaje za to imiona, ksywki, niekiedy nawet nazwiska ośmiu spośród piętnastu napastników z Bravo. Pozostałych policja nie znajduje, bo nikt z zatrzymanych nikogo nie wydaje. Potem na Kaszubskim będzie się mówić, że „poszli na sztywno”. Honorowo.

Gwałtu nie było

Czerwiec 2003 – marzec 2005 roku. Pruski gmach Sądu Rejonowego na rogu ulic Jana III Sobieskiego i Henryka Sienkiewicza w Wejherowie

Do rozprawy większość chłopaków siedzi. Jedni tracą pracę, inni miejsca w szkołach. „Żurek” wylatuje z polibudy, uczeń liceum zawala maturę, absolwent technikum składa wnioski o uchylenie aresztu, bo chciałby zdawać na hotelarstwo – ale sąd odmawia.

Prowadzący śledztwo asesor prokuratorski Michał Węglowski nie dowiaduje się niczego o gwałtach na Basi, Klaudii i innych dziewczynkach – chłopaki „nie gadają z psami”. Uznaje więc, że „Tabaza” wysłał ekipę, żeby wymusić haracz na „Tauzenie”. Tę wersję potwierdza świadek – złapany na gorącym uczynku handlarz narkotykami o ksywce „Koper”. Kiedy policjanci znajdują u niego – już karanego – kilka działek amfetaminy, zgadza się iść na współpracę. Opowiada o interesach „Tabazy”, przedstawia chłopaków z Kaszubskiego jako egzekutorów na usługach narkotykowego bossa. Potem wycofuje zeznania, twierdzi, że prokurator obiecał mu za nie bezkarność – ale to już niewiele zmienia.

„Żurek”, „Fagot” i reszta zostają uznani za groźnych przestępców. Sąd przedłuża im co kwartał areszt. Na rozprawy eskortują ich – skutych – antyterrorysty z długą bronią. Proces zaczyna się wiosną 2004 roku.

Sędzia Tomasz Adamski przez kilka miesięcy wysłuchuje poszkodowanych, świadków i samych oskarżonych. „Bracia” z Kaszubskiego nie przyznają się do winy i próbują przekonywać skład orzekający, że zostali wrobieni. Kilku opowiada o tym, jak w trakcie odsiadki dostawali propozycje ze strony Wiachona. W zamian za 10-20 tysięcy złotych od rodzin Krystian oferował wycofanie obciążających zeznań. Nikt nie zapłacił.

Dopiero przed wyrokiem „Fagot” – świadom wreszcie, jak duża kara mu grozi – mówi sądowi o gwałcie na Basi. Ale Wiachon, świadek w sprawie, tłumaczy sądowi: – Moja była dziewczyna Barbara, naciskana przez matkę, obwiniła mnie przed policją, lecz wycofała się z tego pomówienia.

Sędzia każe asesorowi Węglowskiemu sprawdzić akta. Zgadza się: sprawa jest umorzona. Skoro tak, Adamski musi uznać, że gwałtu nie było. A w najeździe na Luzino szło o haracz. 8 marca 2005 roku sąd czyta orzeczenie: – Oskarżeni są winni pobicia i zniszczeń...

Kary: dwa lata i dwa miesiące dla „Żurka”, cztery miesiące więcej dla „Fagota”, pozostali dostają po półtora roku w zawieszeniu.

W tym czasie Wiachon – na wolności – kradnie samochody.

6. KRYSZTIAN. ZŁODZIEJ

Nogi wystają spod liści

Lipiec 2004 roku, przedmieścia Gdyni i okolice Wejherowa

– Dawaj kluczyki!

Trzydziestoletnia Katarzyna Lasek z Wejherowa wsiada z koleżanką do groszkowego golfa, gdy za plecami przyjaciółki wyrasta dwóch ogolonych na zero typów. Jeden w dresie i w zsuniętej na tył głowy bejsbolówce, drugi w dżinsach i pasiastej koszulce polo. Ten pierwszy zachodzi Kaśkę od tyłu, wykręca jej ręce i zabiera kluczyki. Drugi bandzior już wsiada do volkswagena.

Katarzyna błaga typa w czapce, by nie zabierał jej auta. Mówi do niego „Krystian” – co dziwi przyjaciółkę: czyżby się znali? Kiedy złodzieje odjeżdżają, a one zostają same na chodniku, Kaśka tłumaczy koleżance, że widziała zbira na imprezie u znajomych, ale nie ma pojęcia, skąd się tutaj wziął ani czemu jej zabrał auto. Po powrocie do domu opowiada o „Krystku” mężowi. On dzwoni do znajomych z Nanic i Śmiechowa, by dostać numer telefonu złodzieja.

W rozmowie z mężem Krystian nawet nie kryje, że zabrał Kasi samochód. Rzekomo jest mu winna pieniądze. Ma oddać z odsetkami – w sumie 10 tysięcy. I wtedy warte dwa razy więcej auto wróci.

Nic z tego. Laskowie idą na policję. Policja odnajduje wóz. Stoi w Wejherowie, w garażu, który „Krystek” wynajął wiosną tego roku. Po kilku tygodniach od napadu namierzają samego Wiachona pod mieszkaniem jego kolegi z Kaszubskiego. Na widok radiowozu Krystian wskakuje do swego zielonego merca i ucieka. Pędzi najpierw osiedlowymi drózkami, potem ulicą Chopina przez most na Redzie i dalej, w lasy za wsią Kapino. Policja za nim. Może by i nie dogonili go na krętych leśnych duktach, ale jego bak jest pusty. Gdzieś pod Piaśnicą Wiachon musi porzucić auto. Biegnie w las. Między wysokimi bukami wskakuje do płytkiego rowu i zasypuje się liśćmi. Gdy pościg jest już blisko, próbuje nie drzeć i nie oddychać.

– Wiachon, wyłaź – rozbawieni policjanci stoją nad wykrotem.

Odpowiada im cisza.

– Wyłaź, debilu! Nogi ci wystają.

Pomiędzy brunatnymi, jeszcze zeszlorocznymi liśćmi, jaskrawe buty sportowe rzeczywiście trudno przeoczyć.

– Wyłaź, mówię ci po dobroci. Jedziemy na dołek!

Sąd bez problemu aresztuje podejrzanego – po pierwsze, dlatego że za kradzież z użyciem siły grozi wysoka kara, po drugie, jest recydywistą. Pierwszy raz – za paserkę – odpowiadał jeszcze jako siedemnastolatek. Wyrok go wówczas ominął. Ale samo śledztwo – wiele nauczyło. Młody kulturysta z własnej inicjatywy poszedł do poradni zdrowia psychicznego. Poskarżył się na bezsenność, wspominał o zdiagnozowanej w podstawówce nerwicy. Lekarz rozpoznał wahania nastroju i zespół depresyjny. Dzięki temu – i szwankującemu kolanu – pacjent wychodził sobie rentę socjalną w Miejskim Ośrodku Pomocy Społecznej. I tak ochroniarz, rajdowiec, bywalec dyskotek i podrywacz małych stał się formalnie inwalidą z rentą socjalną nieco ponad 500 złotych miesięcznie.

Po dochodzeniu w sprawie paserki policjanci z Małego Trójmiasta, czyli Wejherowa, Redy i Rumi, notowali Wiachona jeszcze kilkanaście razy. Wypływał im przy kradzieżach telefonów komórkowych, aut i tablic rejestracyjnych, przy sfingowanych stłuczkach, przy okupach za wozy. Ale formułę „...sąd skazuje

na karę pozbawienia wolności” inwalida usłyszał dopiero we wrześniu 2002 roku, w dwudzieste piąte urodziny. Dostał wtedy osiemnaście miesięcy za kradzież białego golfa trójki, którego zwinął latem 2001 roku w Pucku. Najpierw w środku nocy próbował podwędzić innego volkswagena. Z niemałym trudem wypchnął go z posesji, lecz nie udało mu się odpalić silnika na drodze. Włamał się więc do innego wozu – za rogiem. Zerwał blokadę kierownicy, tym razem bez trudu uruchomił stacyjkę, odjechał. Wpadł podczas rutynowej kontroli drogowej kilka miesięcy później. I pierwszy raz wylądował w areszcie – do sprawy.

Po wyroku miał siedzieć nadal, lecz z powodu dobrego zachowania i złego stanu zdrowia – czyli nerwicy i bezsenności – wyszedł przed czasem. Zaczął pracować dla „Tauzena” w Luzinie.

Obludzona droga

Jesień roku 2007 – lato roku 2010. Gdańsk, Wejherowo i okolice

Jeszcze przed wyrokiem za kradzież groszkowego golfa w 2004 roku Wiachon dostaje osiem miesięcy prac społecznych, które odrabia jako pracownik techniczny w przedszkolu. W ten sposób odpokutowuje za spowodowanie wypadku po pijaku. Miał we krwi ledwo pół promila ponad dopuszczalną normę. Ale przesadził z prędkością. On – podziwiany w Wejherowie rajdowiec – we Wszystkich Świętych wypada z obludzonej drogi, po której gnał podrasowaną skodą octavią. Dachuje. Zatrzymuje się na drzewie. Strażacy wyciągają go nieprzytomnego przez rozcięte blachy. Lekarze początkowo nie dają mu większych szans, jednak po kilku dniach w szpitalu pacjent odzyskuje przytomność i zaczyna dochodzić do siebie. W trakcie długiej rehabilitacji chudnie prawie dwadzieścia kilo i prawdopodobnie coś sobie rozważa, bo pisze do Prokuratury Rejonowej w Wejherowie i Prokuratury Okręgowej w Gdańsku niecodzienny list. Przekonuje śledczych, że pięć lat wcześniej złożył fałszywe zeznania w sprawie najazdu na Bravo. Nieprawdziwie oskarżył chłopaków z Kaszubskiego – „Żurka”, „Fagota” i innych. Chciał się na nich zemścić za parking w Gościcinie, za łomot i upokorzenie, które mu zafundowali. Teraz – po wypadku, który niemal kosztował go życie – postanowił wyznać nową „prawdę”: ich tam wcale nie było.

List niczego nie zmienia. Adwokat broniący „Żurka” i jego ziomali wnosi wprawdzie o wznowienie postępowania, ale sąd odrzuca wniosek. Kara za najazd na Luzino została już wymierzona, wyroki są prawomocne, koniec.

Teraz należy wymierzyć karę za kradzież groszkowego golfa w Gdyni. Od napadu na Katarzynę Lasek minęły już trzy lata, a Wiachon bez przerwy choruje. Do udokumentowanej nerwicy, bezsenności i kolana, które – zależnie od woli inwalidy – raz działa, a raz nie, doszły nowe obrażenia: efekty wypadku za kierownicą octavii. Na przykład krzywo zrosnięty obojczyk. Plus konieczność opieki nad samotnym ojcem. Przez dwa lata „Krystek” wysyła do sądu tuzin próśb o odroczenie kary dziewięciu miesięcy więzienia. Sędzia traci cierpliwość jesienią 2009 roku, pięć lat od akcji z golfem w Gdyni. Po Bożym Narodzeniu Wiachon ma się zameldować w areszcie przy Kurkowej. Melduje się 1 stycznia 2010. Wyjdzie 14 maja, na dwa miesiące przed zaginięciem Iwony Wieczorek. Mikołaj Podolski uzna potem, że to nie przypadek.

7. MARCIN. BIZNESMEN

Zakatarzony „Turek”

2 lipca 2011 roku i lata wcześniejsze. Gmach Zatoki Sztuki przy ulicy Mamuszki 14 w Sopocie, Puck, Jastarnia, Jastrzębia Góra, Władysławowo

Nad Pomorzem przeszły ulewy, ale dzisiaj od wczesnego przedpołudnia świeci słońce. Z godziny na godzinę narasta wilgotny upał, wieczorem będzie burza. Natalia i Marcin Turczyńscy – on w jasnej koszuli, ona w zwiewnej sukience do pół łydki – otwierają konferencję prasową z okazji inauguracji swego prywatnego domu kultury.

Pachnący jeszcze farbą nowy gmach pod czternastką jest imponujący: srebrzysto-biały, minimalistycznie prosty i pełen naturalnego światła. Żadnych rur do tańca, żadnych kul ze szkiełek, żadnych klatek przypominających Galaxy. Sala klubowo-restauracyjna, hol wystawienniczy, wielkie okna na park i jeszcze większe na taras wyciągnięty w głąb plaży. Wysoki sufit podpierają surowe filary, na których wkrótce zawiśnie napis „SOPOT” ze starego dworca PKP. Fundacja Turczyńskiej-Schmidt odkupi go od znalazcy za 10 tysięcy złotych.

Oboje z bratem są w doskonałych humorach. Na koncie należącej w większości do Natalii firmy Art Invest i siostrzanych spółek leży przeszło 20 milionów złotych – przy braku kredytów. W zaakceptowanej przez magistrat ofercie przetargowej na Mamuszki 14 prezeska fundacji MCKA Zatoka Sztuki napisała z dumą, że jej firma z Pucka mocno zaczęła się w Sopocie i „obecnie zarządza największymi i najpopularniejszymi klubami rozrywkowymi w centrum, przez co nie jest zainteresowana otwarciem kolejnego takiego lokalu, choćby ze względu na przesylenie rynku”.

– Budowę miejsca promującego kulturę można wręcz traktować jako zabezpieczenie z naszej strony, by ktoś inny nie stworzył tu kolejnej masowej imprezowni – zapewnia dziennikarzy. I zapowiada bogaty program. Jeszcze dziś zagrają na dwa fortepiany Sławek Jaskułke i Piotr Wyleżoł, po nich koncert na tarasie od strony morza da jazzowy kwintet. W nadchodzących tygodniach sopocian i turystów odwiedzających dawne Łazienki czekają koncerty muzyki fusion, przedpremierowe pokazy filmów, warsztaty jazzowe i spektakle teatralne, w tym premierowa sztuka teatru tańca Dada von Bzdülów.

– Będą z nami współpracowały takie sławy jak Wojciech Mazolewski czy Leszek Bzdyl – Natalia z namaszczeniem wymienia nazwiska muzyka i choreografa. – Wspólnie z klubem Sfinks ożywimy tę część miasta, bo jak dotąd całe życie artystyczne skupiało się na Monciaku.

Przybyli do Sopotu przedstawiciele trójmiejskich mediów notują i nagrywają słowa Turczyńskiej. Nikt nie zadaje podchwytliwych pytań, bo też i nie ma powodów do nieufności. Medialny świat nie zna ani Natalii, ani jej brata. Dziennikarze nie wiedzą, że Marcin, zwany od dzieciństwa „Turkiem”, wychował się w bloku koło puckiej podstawówki numer jeden, a w licealnych latach przeniósł się z rodzicami na ulicę Zamkową – do willowego osiedla oddzielonego od morza pasem zieleni i ścieżką rowerową. Nie wiedzą, że cierpiał na uporczywy katar sienny, że dziewczynom się nie podobał, a chłopcy mu dokuczali, bo był drobny. Nie wiedzą, że miał problemy z maturą. I nigdy by nie przypuścili, że ten niski, chłopięco szczupły, krótko ostrzyżony czterdziestolatek w okularach, ktoś wyglądający raczej na księgowego niż na właściciela nocnych klubów, że ten człowiek może mieć w przyszości jakikolwiek

związek ze śmiercią czternastolatki.

Drogie drinki w Pucku

Ojciec Marcina i Natalii, znany w Pucku inżynier Tadeusz Turczyński, przed laty stworzył solidny biznes – przedsiębiorstwo wielobranżowe Natmar zajmujące się przetwarzaniem ryb. Matka była pracownicą sanepidu, potem wynajmowała letnikom pokoje. Córka po epizodzie z deficytową galerią w Toruniu znalazła w sobie, wzorem taty, talent do pomnażania pieniędzy. Wspólnie z Marcinem stworzyła firmę Tent wynajmującą duże namioty na imprezy z piwem. Natalia została w spółce udziałowcem większościowym, Marcin – prezesem. Rodzeństwo porozumiało się z największymi browarami i Tent obsłużył wkrótce tak gigantyczne eventy jak finały zawodów Strong Man, Festiwal Ziemi Górskich w Zakopanem, koncert Madonny, Puchar Świata w skokach narciarskich czy Open'er Festival w Gdyni.

W 2005 roku Natalia Turczyńska-Schmidt, teraz już współwłaścicielka 25 tysięcy metrów kwadratowych namiotów z podłogami i setek tak zwanych ław bawarskich dla piwoszy, postanowiła stworzyć coś więcej niż przenośne upijalnie. Wraz z bratem założyła w Jastarni, na Półwyspie Helskim, bar dyskotekę Tropikalna Wyspa. Marcin – w podobnym czasie – Blue Velvet przy ulicy Wejhera w Pucku.

– Przerobił lokal tuż przy dworcu, znany miejscowym jako Stara Kuźnia – opowie po latach była pracownica jednej z firm Turczyńskiego. – Miał chyba ambicje, żeby to był ekskluzywny klub z salą do projekcji filmów, kazał położyć przed wejściem wykładzinę, wydrukować karty wstępu dla VIP-ów i tak dalej. Drinki i wejście były drogie. Nie wypaliło, bo w Pucku jest za mało bogatych ludzi. A ci, co są, wolą pojechać na prawdziwy melanż do Sopotu, a nie mieć namiastkę w miasteczku. Dlatego potem przerobili ten lokal na prywatny burdelik.

Chatka-kopulatka służyła odtąd wyłącznie do zabaw Marcinowi i jego znajomym. Pieniądze „Turek” zarabiał gdzie indziej. Firma Tent oprócz wynajmu namiotów remontowała zimą letnie ogródki piwne. Turczyńscy uruchomili własną stolarnię na obrzeżach Pucka.

Striptizerki na podestach

W odróżnieniu od klubu brata Tropikalna Wyspa Natalii okazała się sukcesem. Sztuczne palmy, dużo trzciny, wikliny i słonecznych barw – to jej koncepcja artystyczna. Do tego tancerki w bikini, kwiaty we włosach, kolorowe kapelusze i egzotyczne drinki z parasolkami. Nastrój karaibsko-hawajski nad Bałtykiem.

– Siostra „Turka” wpadała do nas zawsze natchniona – wspomni nam później kelner. – Była taka wciąż podekscytowana... Jak to artystka. Wołała: tutaj zrobimy tropikalną chatkę, dziewczyny poubieramy w pióropusze... Była szalona, ale przynajmniej dla pracowników miła, w odróżnieniu od „Turka”. Ten był obojętny, chłodny, wyniosły. Potrafił zachować się po chamsku, chociaż jak trzeba było kogoś zwolnić czy przeczłagać, to wołał wysługiwać się menedżerami klubów. Miał dwie twarze. Kiedy chciał, był miły, a gdy się wkurzył, wrzeszczał. I bez problemu przechodził z jednej fazy do drugiej. Widziałem, jak rozmawiał uprzejmie z dziewczyną przyjmowaną do pracy, gdy nagle przyszli jacyś kontrahenci po kasę i strasznie się na nich wydarł. Jak tamci wyszli, w sekundę zmienił wyraz twarzy i dalej grzecznie rozmawiał. Miał też duży talent do przekonywania ludzi. Przychodziłeś wkurwiony, że dużo pracujesz, mało zarabiasz, chciałeś się zwalniać, a wychodziłeś od „Turka” przekonany, że zaraz będą kokosy, tylko musisz się bardziej postarać. Zresztą kokosy to może i były, ale dla obojga Turczyńskich,

nie dla nas. Większość z nas robiła na śmieciówkach albo na czarno.

Kolejne imprezownie pod szyldem Tropikalna Wyspa wyrosły przed 2011 rokiem w Jastrzębiej Górze, Władysławowie i wreszcie na placu Przyjaciół Sopotu, na dole Monciaka. Przy okazji biznesowego wejścia do kurortu oboje Turczyńscy zaprezentowali się sopockim konkurentom w gastronomii jako ostrzy gracze. Na plaży między latarnią morską a przystanią rybacką od lat działała inna Tropikalna Wyspa. W drewnianym pawilonie z niewielkim basenem i leżakami na tarasie serwowano łososia z kaparami, muzycy grali na żywo do wieczornych potańcówek. Ewa i Józef Kowalowie, zasiedzieli właściciele plażowej Wyspy, grzecznie poprosili napływowych Turczyńskich o zmianę nazwy ich lokalu – klientom i dostawcom myliły się oba miejsca. Odpowiedź brzmiała: „Absolutnie nie”. Trzy lata zajęło Kowalom sądowe wygranie z Natalią i Marcinem pozornie oczywistej sprawy. Szyld „Tropikalna” został na plaży, dyskoteka na dole deptaka zmieniła nazwę na Kongo Bar. Tym razem Natalia poszła w klimaty afrykańskie: na dachu i przed wejściem do dawnej Algi kazała ustawić wielkie gumowe goryle, w środku wyrosły plastikowe palmy kokosowe. Klub się przyjął, pieniądze popłynęły. Ruszyła ekspansja w górę deptaka.

Najpierw na piętrze Krzywego Domku, w połowie pasażu, spółka Art Invest założyła dyskotekę Dream Club. Imprezownię z młodymi dziewczętami, wysokimi cenami i dobrą promocją. Wyżej – i bliżej kościoła garnizonowego Świętego Jerzego – ruszył nocny klub Organica. W szarej, bezstyłowej budowlu, gdzie kiedyś był Pewex, didżeje zaczęli puszcząć czarne rytmy, nie wyłączając rapu. Było mroczno, surowo i kameralnie. Specjalność lokalu: przyjęcia panieńskie, urodzinowe i kawalerskie – z kateringiem i striptizerkami na podświetlanych podestach.

Cztery lata temu Organica została zamknięta, dziś na jej miejscu działa nienależący już do Art Investu Show Gentleman’s Club. Miejsce tylko dla mężczyzn reklamowane w sieci jako „jedyny w Sopocie klub go-go, gdzie o atmosferę dbają wybrane spośród setek kobiet przepiękne tancerki z różnych części świata”.

Młode i głupie

– Chętne do zespołów kelnersko-barmańskich selekcjonował na castingach osobiście Marcin Turczyński – powie nam później były kelner z Tropikalnej Wyspy. – Razem ze swoim pomocnikiem, na którego wołali „Kwiatek”, kazali laskom tańczyć, kołysać się idąc, rozbierać do bielizny.

– Już dużo wcześniej Marcin zabierał mnie na imprezy z koleżanką, miałam wtedy piętnaście lat – opowie dziennikarce trójmiejskiej telewizji Zuza, w 2015 roku dorosła kobieta i matka. – Jeździliśmy z nim do mieszkania w Trójmieście, to było obok burdelu. Dziewczyny tańczyły na balkonach i co chwila podjeżdżały samochody... Sposób, w jaki Marcin postępował z dziewczynami, był podobny do tego, co później robił Krystian. Im wydaje się, że jak dziewczyna ma piętnaście lat, to położysz kasę, a ona poleci na wszystko... Marcin mnie wystawił... zostawił z trzema kolesiami... Ile ja się napłakałam, ile miałam nerwów. Siedziałam pod ścianą i wyłam, bo czułam, że za chwilę wezmą mnie siłą... Takich imprez, na które Marcin zabierał młode dziewczyny, było dużo. Mimo że już wtedy miał żonę. Potem, gdy zerwałam z nim kontakt, jeszcze wiele razy widziałam, jak podjeżdżał pod szkołę po dziewczyny, które miały piętnaście lat. Pokazał telefon, pokazał mieszkanie, szastał pieniędzmi... Ja się z nim już nie spotykałam za długo, ale moje dwie koleżanki z nim i z tym jego „Kwiatkiem” jeździły nadal. Nie chciały mówić o tym, co tam się działo.

Turczyński poznał „Krystka” około roku 2010.

– Krystian mi sam opowiadał, jak zaczęła się znajomość z Marcinem – opowie pięć lat później jedna z ofiar Wiachona. – Było lato i na plaży koło Tropikalnej Wyspy podchodziły do Krystiana różne fajne dziewczyny. Wtedy Marcin też podszedł do niego i mu powiedział, żeby załatwiał dla niego laski

na imprezy, to będzie z tego kasa. Potem moje koleżanki, nawet piętnastoletnie, pracowały dla Marcina.

– Pracowałam w kilku lokalach Turczyńskiego, które formalnie nie były jego, ale to on był ich właścicielem naprawdę i dobrze znał sytuacje z dziewczynami i na to pozwalał – dopowie inna nastolatka. – Krystian przychodził do tych lokali z małolatami po piętnaście-szesnaście lat i kazał im podrywać bogatych klientów. Marcin zawsze o tym wiedział, bo jemu też się takie młode i głupie podobały. Parę z nich awansowało od podrywu na huśtawki i między innymi dlatego mnie z huśtawki zwolnili, bo miałam już wtedy skończone dwadzieścia lat i usłyszałam, że już jestem „za stara”. Poza tym przeszkadzało Marcinowi i Krystianowi, że nie dawałam się obmacywać klientom klubu, co dużo zostawiali przy barze. A im zależało i na zarobku, i na darmowych lodach wymuszonych od takich właśnie dziewczyn. Bo Krystian ciągle tego chciał.

8. MARYSIA I ILONA. UCZENNICE

Otwórz oczy

*Dwa lata wcześniej – lipiec 2009 roku. Noc z soboty na niedzielę.
Pustkowie między Nowym Dworem Wejherowskim a obwodnicą
Trójmiasta*

Szesnastoletnia Marysia, uczennica pierwszej klasy Liceum imienia Sobieskiego w Wejherowie, kuca za kępą wilgotnych krzaków. Obok niej równie wystraszona Ilona, koleżanka z gimnazjum, która teraz uczy się na sprzedawcę w zawodówce zwanej Zespołem Szkół Ponadgimnazjalnych. Za plecami obu dziewcząt czarny las. Nad nim mgła. Jest cicho, jeśli nie liczyć przyspieszonych oddechów dziewcząt i dźwięku pracującego na wolnych obrotach silnika volvo V50 kombi. Auto skradziono w Lęborku, Krystian Wiachon kupił je od złodzieja i przebił numery.

Marysia i Ilona przed chwilą wybiegły z wolno stojącego domu, jedyne w promieniu kilometra. Teraz nie mają pojęcia, gdzie dokładnie są, ani pomysłu, co robić. A jeszcze dwie godziny temu bawiły się dobrze w gdańskim mieszkaniu. Melanż był fajny – i pewnie nadal tam trwa. One jednak musiały wracać do domów. Właściwie Marysia musiała, lecz Ilona, skoro z nią przyjechała, postanowiła solidarnie się zwinąć. Tym bardziej że Krystian, który nie pił, zaoferował im podwiezienie.

Dziewczyny poznały go dwa lata wcześniej przez wspólną znajomą z klasy Marysi, bardzo rozrywkową Kaśkę. Kaśka mówiła o nim „ciekawy koleś”.

– Już wtedy doszły mnie słuchy, że zgwałcił kiedyś dziewczynę i do niedawna siedział w więzieniu, ale we mnie jakoś dziwnie wzbudził zaufanie – powie sześć lat później Maria. – Grał rolę starszego brata i faktycznie czułam się przy nim bezpiecznie. Był silny, ale nie był brutalny, nie narwany ani chamski. Chętnie odbierał mnie z imprez i odwoził. W aucie i w bagażniku miał zawsze bardzo dużo alkoholu, sam się nie upijał, ale chętnie częstował. Miał nawet plastikowe kubeczki. I dużo damskich ozdóbek we wszystkich schowkach.

Dzisiaj, gdy po melanżu wsiadały z Iloną do jego srebrnego kombi, też zaproponował ostatniego shota na podróż. Odmówiły. Ilona wcześniej wypija już dużo jak na siebie, a Marysia fizycznie nie miała na nic siły. Rano wstała przed szóstą, od prawie dwudziestu godzin była na nogach, ostatnie godziny przetańczone, do tego jeszcze zioło i drinki. I emocje.

W drodze – w półmroku, na tylnym siedzeniu samochodu, przy muzyce z odtwarzacza i w migotliwym ulicznym ruchu – to wszystko z niej wyszło. Krystian bębnił grubymi palcami w kierownicę, gdy stawali na światłach. Od czasu do czasu przyglądał się im obu przez wsteczne lusterko. Może się do nich uśmiechał, ale Ilona widziała tylko jego przenikliwie niebieskie oczy i grube brwi. Nie jechali dłużej niż kwadrans, kiedy zasnęła oparta o ramię koleżanki.

– Ksss... ksss... otwórz oczy – przyjaciółka szturchnęła Marysię łokciem zaraz po tym, tak jej się przynajmniej wydawało, gdy ta zapadła w sen. Faktycznie drzemka musiała trwać dłużej, bo za oknami auta nie widać już było świateł miasta, tylko ciemność i od czasu do czasu znaki drogowe przesuwające się w świetle reflektorów volvo.

– Nie jedziemy do domu.

– Co? Daj mi chwilę...

Marysia znów osunęła się w sen. Ale Ilona znowu ją obudziła. Głośno spytała Krystiana: – ...a nie możesz nas najpierw odwieźć, a potem jechać tam gdzieś?

– Nie mogę.

– Maryśka, słyszysz?!

– Daj mi minutkę...

Skulone za krzakiem

Maria po latach: – Byłam wtedy na wpół przytomna, lecz z tego, co zapamiętałam, Krystian tłumaczył, że musi zajechać na wieś do znajomych i jeszcze coś odebrać tej nocy. Obrazy i głosy mi się już nakładały. Zasypiałam, Ilona mnie budziła, wciąż się u niego dopraszała, żebyśmy jechali prosto do Wejherowa, żebym ją poparła, ja znowu zasypiałam i w końcu samochód stanął, a oni wyszli. Kiedy zostałam sama, znów zasnęłam. Po dziesięciu może minutach Ilona przybiegła z płaczem. Powiedziała, że dom był pusty, żadnych znajomych tam nie widziała, tylko Krystian zawołał ją do łazienki i domagał się loda. Ożeż ty! Od razu odechciało mi się spać. Wyszłam z auta wyjaśnić sytuację.

Marysia wchodzi, „Krystek” nadal spokojnie czeka w łazience – goły i przepasany ręcznikiem. Tyle że już na siedząco. Mówi, że jest zmęczony i nigdzie nie pojedzie.

– Chyba że się zabawimy we troje, to wtedy.

– Wiedział, że mi zależy, by być na czas w domu – opowie potem Maria. – A do mnie zaczęło docierać, że niczego tu nie wyjaśnię, że nie mam nic do gadania. Że on chce seksu i może nam zrobić wszystko, a my możemy tylko uciec.

Ilona najwyraźniej myśli to samo, bo rzuca w stronę Wiachona: „Ale masz małego!”, i pociąga Marysię za rękaw. Wybiegają z posesji, pędzą po miękkiej ziemi, kilka razy się potykają, jedna pomaga drugiej, słyszą, jak „Krystek” odpala auto, snop blasku z reflektorów wyławia na chwilę z mroku pobliskie drzewa i zarośla, dzięki temu dziewczęta dopadają do krzaka, chowają się za nim skulone, głęboko oddychają.

„Krystek” będzie ich szukał po polach przez dwa kwadransy. Kiedy się znudzi i odjedzie, pójdą pieszo śladem jego samochodu – do najbliższego asfaltu. Skargi na policji nie złożą.

Doniesienie o gwałcie złożą inna dziewczynka.

9. ANDŻELIKA. PIĘTNASTOLATKA

Trzeba iść w szpilkach

Rok później, 16 maja 2010 roku, niedziela.

Las na południe od Wejherowa.

Dwadzieścia stopni w cieniu, słonecznie

Wiachon po odsiadce za kradzież groszkowego golfa od dwóch dni jest na wolności. Piętnastoletnią Andżelikę zaczepił wczoraj na bazarku niedaleko gimnazjum w Wejherowie, dorabiała tam jako pomoc. Powiedział jej, że znajomy szuka zgrabnych dziewczyn do roznoszenia ulotek na Długim Targu w Gdańsku. Płaci dużo lepiej, niż dają tutaj, na wejherowskim targowisku.

Andżela, dziewczynka z niezamożnej rodziny, bardzo potrzebowała pieniędzy. „Krystek” wpisał sobie w telefon jej numer. Powiedział, że następnego dnia zadzwoni. Pojadą w jakieś spokojne miejsce, by omówić szczegóły. Praca byłaby już od początku wakacji.

Dzisiaj ona szykowała się od jedenastej rano, gdy tylko mama poszła do kościoła. Przejrzała szafę, dobierając jasną bluzkę do krótkiej spódniczki. Buty pożyczyła od koleżanki – na rozmowę o pracy trzeba iść w szpilkach. Około pierwszej po południu zaczęła się już denerwować. Nie miała jego telefonu, imienia, nic... Chodziła nerwowo po pokoju. Zadzwonił dopiero o wpół do trzeciej.

– No cześć... jak tam?

Starła się ukryć podniecenie, ale chyba nie wyszło. Zapiszczała, gdy pytał ją o adres – a ostatnio próbuje nie piszczeć. Już nie jest przecież dzieckiem. Kończy drugą klasę gimnazjum.

Przyjechał pod jej dom. Wsiadła, uważając, żeby nie wygiąć stopy na obcasie. Fotel pasażera był niski, wygodny. Muzyki, którą on puszczał, nie знаła. Ruszyli czteropasmówką w stronę Gdyni. On ostro hamował przed czerwonymi światłami i ruszał z piskiem opon, gdy tylko wyskakiwało zielone. Powiedziała, że robi się jej niedobrze od tych przyspieszeń. Dał jej ze schowka aviomarin i red bulla do popicia. A może to nie był aviomarin? Zaczęła widzieć wszystko raz bardzo ostro, a raz podwójnie.

Za dworcem PKP skręcił na przejazd kolejowy, potem było rondo i ulica Sportowa. Dalej park, cmentarz za kamiennym murem, ostatnie domy, koniec asfaltu, kocie łby. Drzewa rozpostarte nad kapliczkami Kalwarii Wejherowskiej. To tu, nad niewielkim stawem ze sztuczną wysepką pośrodku, dwanaście lat wcześniej Wiachon zgwałcił Klaudię, swą pierwszą ofiarę.

Ale co to za śledztwo?

Choć Andżelika czuła się coraz bardziej bezwolna i już raczej leżała, niż siedziała w fotelu, zapytała go: – Co ty robisz, gdzie jedziesz?

Odpowiedział: – Zobaczysz.

Teraz gwałtownie wpycha jej członek do buzi. Andżela zaciska wargi, ale wtedy on łapie ją za włosy tak mocno, że dziewczynka ma wrażenie, jakby odrywał je razem ze skórą aż po kark. Usta otwierają się same.

Trzy minuty później: łokcie jej latają, cieknie z ust, z nosa i z oczu. Z kościoła dochodzi bicie

dzwonoń. On zapina spodnie i wyciąga komórkę. Zaczyna ją filmować.

– Patrz tutaj. Zobacz, jakie kurwy!

Na ekranie telefonu Andżela widzi siebie, a potem inny film – z inną dziewczynką. Może mieć tyle lat co ona albo i mniej. Płacze na całego: „Proszę... ja nie chcę!”.

Klik-klik. Następny film. Następna dziewczynka.

– Tego samego dnia poszłam na policję – powie pięć lat później Andżelika. – Na komisariacie policjantka wyjaśniła mi, że gdybym miała trzy miesiące mniej, to sprawą zajęliby się bardziej, ponieważ nielegalne jest robienie tego z osobą poniżej piętnastego roku życia, a ja skończyłam piętnaście lat trzy miesiące wcześniej. I nie byłam w stanie przekazać żadnych jego danych.

Śledztwo jednak rusza, bo technicy odnajdują ślady spermy na jasnej bluzce. Tylko co to za śledztwo? Policjanci nie odnajdują zapisu z monitoringu na targowisku miejskim. Nie odnajdują numeru telefonu Wiachona, choć to dziecinnie proste – przecież dzwonił do Andżeliki na komórkę. Potem ten sam telefon logował się do stacji bazowych wzdłuż opisanej przez dziewczynkę drogi – od jej domu do Kalwarii Wejherowskiej. A dalej – do mieszkania sprawcy na Osiedlu Kaszubskim. Policja nie sprawdza jednak billingów, nie występuje do operatorów telekomunikacyjnych o dane.

– W toku czynności operacyjnych nie ustalono tożsamości mężczyzny, który miał dopuścić się tego przestępstwa – przyzna Ewa Brudzińska, wiceszefowa prokuratury w Oliwie, która po pięciu latach wznowi dochodzenie pod naciskiem mediów.

Andżelika długo będzie dochodziła do siebie. Będzie miała wrażenie, że widzi gwałciciela na ulicy. Albo że za plecami słyszy jego głos. Egzamin gimnazjalny pójdzie jej fatalnie. Szkolna psycholożka wyśle dziewczynę do psychiatry. Ten zdiagnozuje nerwicę i stany lękowe. Zacznie się branie leków. Do wymarzonego liceum Sobieskiego – tego, w którym uczyła się Masłowska – zabraknie punktów. Żeby przestać się bać mężczyzn, nastolatka pójdzie do zawodówki samochodowej. Do klasy z dwudziestoma pięcioma przyszczatymi. Będzie z nimi dźwigać używane opony, oliwić silniki. Lęki miną jednak dopiero po pięciu latach, gdy opowie o tym, co się stało nad Cedronem, dziennikarzowi TVN Tomaszowi Patorze. A właściwie jeszcze później, gdy wejdzie do pokoju, w którym czekać będzie kamera na stojaku, a za nią prokurator, sędzia i psycholożka, dziewczyna niewiele od niej starsza. Po przesłuchaniu uśmiechnie się do Andżeliki, jakby były siostrami.

10. MONIKA, PATRYCJA, ALDONA, INKA. UCZENNICE

Zaraz wracam

*Dwa lata później, październik 2012 roku, leśny ośrodek
wypoczynkowy pod Somoninem, między Gdańskiem
a Kościerzyną. Godzina pierwsza w nocy, przenikliwe zimno*

W niskim pawilonie z tarasem gra muzyka, błyskają barwne halogeny. Alejkę oświetlają dwie samotne latarnie. Poza tym w wysokim sosnowym lesie jest ciemno. W mroku toną puste o tej porze roku domki, brzydkie budynki gospodarcze i otoczony siatką plac – parking, na którym stoi srebrne volvo. Wiachon zatrzasnął w nim przed chwilą osiemnastoletnią Monikę, którą dziesięć minut temu wyprowadził z dyskoteki. Chociaż właściwie wyszła sama. Zapropozował jej spacer, potem amfetaminę, a gdy usiadła na przednim siedzeniu obok niego, zaczął się droczyć.

– Wyjdiesz, jak spełnisz moje życzenie.

Monika – drobna, ufarbowana na czarno szatynka z wyskubanymi brwiami – przyszła na tańce z chłopakiem, który został teraz w środku. Właśnie dostała od niego SMS-a: „Gdzie jesteś?”.

„Wysłałam się przejść, zaraz wracam”.

– Puść mnie, bo on wyjdzie mnie szukać. Otwórz te drzwi, no wreszcie... proszę! On przyjdzie...

– Mam go w dupie – „Krystek” już rozpina rozporek. Drugą ręką chwyta Monikę za szyję. – Najpierw moje życzenie.

– Czekaj, nie... – Monika próbuje się wyślizgnąć z uścisku. Mimo że w aucie jest zimno, kołnierzyk białej bluzki lepi jej się do spoconych pleców. To ze strachu. – On do mnie dzwoni, nie słyszysz?

– Rozłącz.

Dziewczyna jeszcze raz próbuje szarpnąć małą klamką w drzwiach – i znowu nic z tego nie wychodzi. Jej nokia, którą położyła na półce przy ręczce zmiany biegów, wibruje i coraz głośniejsz plumka.

– Rozłącz, kurwa, słyszysz, co ci mówię?!

Ona posłusznie kasuje połączenie. A potem – pod okiem Wiachona – pisze wiadomość: „Czekaj, zaraz wracam...”

– Napisz mu, że wszystko w porządku.

„... wszystko w porządku”.

Gdy Monika naciska „wyślij”, silne palce Krystiana zaciskają się na jej karku.

Małe krętaczki

Po gwałcie Monika będzie płakała, a on wyrzuci ją z samochodu na mokre igliwie. Zanim odjedzie, będzie go jeszcze prosiła, żeby oddał telefon. Odda w zamian za bransoletkę. Potem zadzwoni i zaproponuje zwrot tej błyskotki w zamian za „małą powtórkę”. Ona odpisze: „Nic z tego”. Pójdzie na policję w Kartuzach, gdzie mieszka. Złoży zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa, a miejscowa prokuratura zacznie dochodzenie. Przesłuchiwany Wiachon przyzna się do seksu, ale zapewni,

że wszystko odbyło się za obopólną zgodą. Policjanci jeszcze raz przesłuchają Monikę. Odczytają z jej aparatu SMS-a: „...wszystko w porządku”. Po przesłuchaniu chłopaka, z którym pojechała na tańce do Somonina, po przesłuchaniu koleżanek ze szkoły i po kolejnej rozmowie z „Krystkiem” uznają dziewczynę za mało wiarygodną. Piła alkohol, brała narkotyki, poszła ze starszym o pokolenie mężczyzną do jego samochodu w ciemnym lesie. Zabawiając się z nim, zwodziła swojego chłopaka, równolatka, kazała mu czekać. Mała krętaczka.

Prokurator na wszelki wypadek zarządzi eksperyment procesowy. Rzecznawca zbada srebrne volvo i stwierdzi, że tego auta nie daje się zablokować od środka. Zatem Monika mogła w każdej chwili wyjść. Biegły nie będzie wiedział, że „Krystek” – samochodziarz z dziesięcioletnim stażem – nie takie sztuczki robi z furami. Wystarczy po zamknięciu drzwi wyjąć jeden bezpiecznik i już się nie otwierają. Policjanci nie będą nawet wiedzieli, że wóz jest kradziony. A prokurator, który zamknie dochodzenie, nie będzie wiedział, że umarza Wiachonowi szóstą sprawę o gwałt w ciągu dziesięciu lat.

Pierwsza poskarżyła się policji Basia, która w 2003 roku wycofała zeznania. Druga była Andżelika, która zeznań nie wycofała, ale poza śladami spermy na bluzce nie było tropów. Potem, w 2011 roku, wejherowska prokuratora wszczęła postępowanie z zawiadomienia dyrekcji miejscowego gimnazjum. Podejrzenie nagabywania i stręczenia piętnastoletniej Patrycji. Osobą, która miała nakłaniać dziecko do seksu z innymi mężczyznami, był Krystian.

– Niestety, małaletnia wycofała zeznania – powie nam w 2015 roku rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Gdańsku Grażyna Wawryniuk.

Dochodzenie czwarte, także w Wejherowie i także w 2011 roku, ruszyło po doniesieniu matki kolejnej skrzywdzonej dziewczynki, siedemnastoletniej Aldony. Wszystko przebiegło tak jak wcześniej. Wiachon karnie stawiał się na przesłuchanie, przyznał, że współżył, ale dobrowolnie. Już w trakcie śledztwa, dwa miesiące od zgłoszenia, dziewczyna wysłała do Krystiana nieroztropnego SMS-a, w którym przeprosiła go za kłopoty. I przestała stawiać się na przesłuchania. Decyzja prokuratora: umorzyć.

Piąte śledztwo, rok później, wszczęła Prokuratura Rejonowa w Pruszczu Gdańskim. Również z doniesienia matki. „Krystek” przyjechał srebrnym volvo po jej szesnastoletnią Inkę, zabrał na przejażdżkę, zgwałcił i sfilmował zgwałconą, jak płacze.

– Mama zgłosiła się trzy dni po fakcie – powie potem rzeczniczka z Gdańska. – Wezwany na przesłuchanie Krystian Wiachon pokazał nam anons zamieszczony przez jej córkę na portalu Fotka.pl.

Fotka to jedna z najstarszych i najpopularniejszych polskich witryn randkowych. Serwis odwiedza rocznie kilka milionów osób. Są tu dziewczyny rozbierające się przed kamerami, są erotyczne czaty i przedstawienia online. A przede wszystkim tysiące ofert od nastolatek, które pozują ze smartfonami w dłoniach. Obowiązuje solarium, pełny makijaż i wieczorowa fryzura, mile widziane zdjęcia w samej bieliźnie. Pseudonimy dziewczyn: ShowMeTheLove, TwojaKotka, Cukierek, InYourDreams, Ślicznotka, Calineczka. Obok opalonych ciał krótkie informacje o sobie – jak na Facebooku. Miejscowość, data urodzenia, a do tego: jakie prezenty dziewczyna lubi, pod jakim nickiem można ją znaleźć w internecie i jakie ma preferencje towarzyskie. Szesnastoletnia Inka z Pruszcza obok swego bardzo seksownego portretu z na wpół odsłoniętym biustem zamieściła informację: „Preferuję starszych”.

Rzeczniczka Grażyna Wawryniuk: – Z protokołu przesłuchania wynikało, że w ciągu trzech dni po domniemanym gwałcie pokrzywdzona nadal utrzymywała z Krystianem Wiachonem internetowy i SMS-owy kontakt. Jednak gdy matka stawiała się na komisariacie, wykasowała swoją korespondencję i skrzynkę w telefonie, a mężczyzna – nie. To być może umożliwiło mu pokazanie śledczym tylko tego, co chciał pokazać. W odpowiednim świetle. Prokuratorzy z Pruszcza przesłuchali znajomych nastolatki, którzy określili ją jako osobę niewiarygodną, z tendencją do zmyśleń. Wątpliwości było tyle, że dochodzenie zostało umorzone.

11. MAREK. POZNANIAK

Telefon do „Ziemniaka”

*Połowa kwietnia 2013 roku, noc z piątku na sobotę,
róg ulic Haffnera i Bohaterów Monte Cassino w Sopocie*

Chociaż przed północą temperatura spadła poniżej piętnastu stopni, na klimatycznie oświetlonym deptaku wciąż pełno młodych ludzi. Przemykają się grupkami od lokalu do lokalu. Cztery rozchichotane dziewczyny wyglądające na osiemnaście-dwadzieścia lat robią sobie zdjęcie przy tablicy zapraszającej do kawiarni, baru sushi i winiarni. Ktoś w dali kopie butelkę. Dziewczęta, już sfotografowane, odchodzą w górę Monciaka. Płaczą im się nogi, podpierają jedna drugą. Zza pleców dochodzą je okrzyki grupy niewiele starszych chłopaków, którzy idą w stronę placu Przyjaciół Sopotu, by stanąć w kolejce przed wejściem do klubu w dawnej Aldze. Tutaj, choć to jeszcze nie sezon, wystawiono na zadaszonym tarasie fotele i stoły. Kilkanaście rozgrzanych alkoholem młodych osób – dziewczęta w kieckach do pól uda, chłopcy na sportowo – pali papierosy. Są hałaśliwi. Marek, tęgi czterdziestopięcioletni mężczyzna, kipiący energią poznaniak, przyjechał do Sopotu kilka godzin temu. Ma żonę lekarzkę i dwie dorosłe córki, które już wyprowadziły się z rodzinnej rezydencji w Suchym Lesie. Zna trzy języki, gra na pianinie, kolekcjonuje przedwojenne malarstwo.



Krystian Wiachon w dyskotecie Dream Club na piętrze Krzywego Domku w centrum sopockiego Monciaka

Od przeszło dwudziestu lat siedzi w bankowości czy może szerzej – w finansach. Duże leasingi, pozyskiwanie inwestorów. Ostatnio zajmuje się wdrażaniem nowych technologii utylizacji odpadów.

Dużo w związku z tym podróżuje: co miesiąc kraje arabskie, przynajmniej cztery razy w roku Chiny

i Stany Zjednoczone, niemieckie lotniska na co dzień. No i Trójmiasto co dwa-trzy tygodnie. O swoich erotycznych przygodach w kurorcie opowie nam bez większych emocji – dużo bardziej ekscytujące doznania zapewnia mu raz na kwartał chiński seksbiznes i – jego zdaniem – o tym warto by napisać książkę. Co do boleśnie przewidywalnego, jak mówi, Sopotu, to kiedyś zatrzymywał się w Grandzie i Haffnerze, a potem w Zatoce Sztuki. Dziś wydaje mu się to śmieszne i głupie.

Wszędzie kamery, większość kobiet albo za stara, albo nie w jego klimacie, a do tego czasem mignie znajoma twarz. Na cholere? Teraz jest zorganizowany jak trzeba. Ma numer telefonu dyskretnego pośrednika, Krystiana, który sam go zagadnął w The Roof, na piętrze Zatoki. Ma wynajęty przy Parkowej apartament i nawet nie zawsze chce mu się wchodzić na Monciak. Czasami, tak jak dzisiaj, zjawia się w mieście niczym duch.

Jeszcze nim wcisnął guzik pilota przed zjazdem do garażu, zadzwonił z auta do Krystiana, którego zapisał sobie wcześniej na karcie pamięci pod hasłem „Ziemniak”. Bo też mu się z kartoflem kojarzy. Sprawia wrażenie chorobliwie nadmuchanego. Pewnie młodość przeleciał na sterydach.

Krystian telefon od Marka odebrał po trzecim sygnale, obiecał – jak zwykle – że załatwi co trzeba bez problemu. Teraz podchodzi do Marka, który pali papierosa na końcu Haffnera, przy skrzynce pocztowej.

Kochający ojciec i mąż

Biznesmen rozgrzany dwoma koniakami już z daleka taksuje kwaśne jabłuszko, które „Ziemniak” prowadzi pod rękę od strony Krzywego Domku. Idealna figura, długie nogi w kozakach, wielkie oczy.

– To jest Ola – gdy „Ziemniak” puszcza łokieć dziewczyny, Marek chwytą, że laseczka jest przyćpana i może dlatego te oczy wydają się takie ogromne. Pozbawiona na moment podparcia przykleja się do poznaniaka całym ciałem. On obejmuje ją w pasie. Już wyobraźnia pracuje. Będzie dobrze.

– Jak się czujesz? – pyta niskim głosem. – Chodź do mieszkania, bo mi zamarzniesz...

Ton Marka jest opiekuńczy. I nie brzmi w nim żadna fałszywa nuta. Nie jest przecież gburem, jest kochającym ojcem, mężem, w interesach też ma swój styl. „Ziemniak” wie dobrze, że dostarczane dziewczyny mają mieć, po pierwsze, idealne ciała, a po drugie – pokończone piętnaście lat. A Marek zawsze – prócz pieniędzy – ma przygotowane bransoletki, srebrne kolczyki, drobiazgi. Dla niego to żaden wydatek, a jabłuszkom od razu weselej. Czują się wyróżnione, lepiej się sprawiają i – co ważne – robi się atmosfera tajemnej schadzki, tak inna od prostackiego rypania w burdelu. Burdeli należy unikać z wielu powodów, z których poukrywane kamery nie są najważniejszym.

– Pan coś ma dla mnie – gdy Marek robi kilka kroków ze zdobyczą, „Ziemniak”, o którym niemal zapomniał, wyciąga rękę i dostaje swoje. Tysiąc – tyle ile było umówione, ani setki więcej. Facet dobrze wywiązuje się ze swych obowiązków, lecz to jednak chamuś i nie należy go rozpieszczać napiwkami.

12. MARTA. OKALECZONA

Pod białą markizą

*Lata 2011-2015, Sopot. Ulica Bohaterów Monte Cassino,
plac Przyjaciół Sopotu i okolice molo*

- Ale sztuki!
- Dla mnie dwie sztuki!
- Chcesz poczuć w sobie moją sztukę?

Siedmiu roznegliżowanym hostessom wynajętym jako żywe reklamy Zatoki Sztuki musi być przykro z powodu świńskich komentarzy, ale można to było przewidzieć. Jedna z nich, w pasiastym kostiumie kąpielowym, niesie pęk czerwonych balonów w kształcie serc. Druga – w odsłaniającym plecy i pośladki trykocie – trzyma trójwymiarowy transparent z hasłem „ZATOKA”. Oglądających się za pięknosciami facetów na deptaku najbardziej rajcuje jednak trzecie i czwarte długonogie zjawisko. Przystrojone czarnymi pióropuszcami wysokie dziewczyny niosą napisy „SZTUKI”. Gdy schodzą z Monciaka i docierają do plaży, natychmiast ustawia się rząd młodych mężczyzn gotowych robić sobie ze „sztukami” zdjęcia. Tancerki nie mają nic przeciwko temu. Kołyszą biodrami i posyłają buziaki plażowiczom oraz dwóm operatorom kamer. Reklamę prywatnego domu kultury z Łazienek Północnych kręci agencja Exclusive Night, jedna z największych polskich firm zajmujących się seksowną oprawą klubowych eventów. Jeszcze tej samej nocy tańczące anioły – w białych gorsetach, pawich piórach z plastiku i perłowych diademach z tworzywa – będą się wiły na parkiecie górnej kondygnacji budynku Turczyńskich. To teraz najbardziej lansiarskie miejsce w Sopocie: klubokawiarnia The Roof. Drewniana podłoga wielkości boiska do koszykówki, nad nią biała markiza, która przepuszcza słońce, a zatrzymuje deszcz. Designerskie ławy i niskie białe sofy tworzą wyspy – zakątki wokół futurystycznego baru oferującego zmrożoną wódkę Belvedere.

Miał być parkiet do ćwiczeń baletowych, pracownia fotografii i rzeźby, a powstała imprezownia, gdzie rezerwacja łoża VIP kosztuje półtora tysiąca. W tej cenie hostessa nalewająca drinki, zabawiająca rozmową, wchodząca w udawaną zażyłość – pełny masaż męskiego ego.

Miały być tanie pokoje dla artystów, a powstał hotel z apartamentami po 800 złotych i więcej za noc, który reklamuje się spotami w ogólnopolskich telewizjach.

Dwie twarze Zatoki

Spot trwa trzy minuty, ale dzięki szybkiemu montażowi dużo się przez ten czas dzieje. W pierwszej scenie młody mieszkaniec stolicy – wszystko, co nam pokaże kamera, oglądamy jego oczami – budzi się w małym mieszkaniu z widokiem na Pałac Kultury. Jest pochmurno, na drzewach suche liście. Gimnastyka, mycie zębów, koszula, krawat, buty. Winda wewnątrz apartamentowca zwozi warszawiaka do garażu, gdzie czeka audi Q7. Potem stołeczne korki, biurowiec ze szkła i stali oraz cały dzień papierkowej roboty. Wciąż dzwoni komórka, sekretarka donosi segregatory z nowymi dokumentami, szef burczy, bohater odhacza kolejne spotkania, odbiera i wysyła maile. W jednym z nich zestaw zdjęć od kolegi z Trójmiasta: Krzywy Domek na Monciaku, śliczne dziewczęta przy barze, zabawa. Bohater

filmu podejmuje szybką decyzję: widzimy teraz jego dłonie na klawiaturze i ekran laptopa. Kupuje przez internet lot do Gdańska, rezerwuje nocleg w Zatoce Sztuki i opuszcza biurowiec. Dalej jest tylko lepiej. Lotnisko Fryderyka Chopina, lotnisko Lecha Wałęsy, trójmiejski kolega już czeka. W Sopocie obu panów wita słoneczna pogoda, jest złota jesień, pokój na piętrze Zatoki Sztuki cały w bieli, bar na parterze dobrze zaopatrzony, w recepcji młoda i uśmiechnięta recepcjonistka wręcza gościom folder Dream Clubu, gdzie życzliwy bramkarz zapina na nadgarstkach klubowe opaski VIP-ów. Dziewczyny na schodach. Przy barze – blondynka i brunetka. Obie bardzo seksowne. Chętnie dają się zaprosić na szampana Moët et Chandon. Warszawiak z kolegą kupują od razu trzylitrowego. Zaczyna się bal do rana. W ostatniej scenie bohater leczy kaca piwem, leżąc w białej wannie pośrodku apartamentu, a poznane wczoraj koleżanki słodko śpią przytulone do siebie w jego łóżku. Kolega z Trójmiasta gdzieś się zawieruszył.

Podobną, choć odpowiednio zmodyfikowaną reklamę, emituje Kongo Bar, który zmienił już nazwę na Makahiki. Różnica taka, że po nocy w tym drugim lokalu bohater budzi się rano nie w hotelu z widokiem na molo, ale w trójmiejskim bloku. I z jedną tylko dziewczyną w łóżku.

Bo Makahiki – nowe przedsięwzięcie Turczyńskiej – to lokal tańszy od Zatoki i Dream Clubu. Shoty od 4 złotych, na część imprez dziewczyny wchodzi za darmo. W toalecie, obok reklamy portalu randkowego Oralny.net, ktoś przykręcił tabliczkę stylizowaną na Peerel: „Po skończonej pracy załóż majtki”.

Jest swojsko. Ochrona wpuszcza dziewczyny pijące piwo z nalewaka, studentów w koszulkach w kratę i zwykłych chłopaków z bloków na Przymorzu i Zaspie. Takich, którzy nigdy by nie spróbowali atakować The Roof – bo i po co? Kto bywa w Sopocie, ten wie, że dawna Alga jest dla średniaków, Krzywy Domek dla bogatszej publiki, a Zatoka... ta ma dwa oblicza. Z jednej strony zaprasza pisarzy, aktorów i plastyków, z drugiej – przyciąga amatorów tanecznego techno, szpanerskich drinków i bardzo młodych ciał. Gdy na piętrze reportażyści ze stolicy prowadzą warsztaty na temat ludobójstwa w Afryce, w plażowej restauracji oszałamiające dziewczęta w bikini nacierają olejkami swych chłopaków ze złotymi łańcuchami na szyjach. Kiedy w salach wystawowych aktywiści miejsca wystawiają fotogramy, by zebrać pieniądze dla fundacji Pies Szuka Domu, na podwyższeniach Beach Club widać się modelki w fosforyzującej bieliźnie i kolorowych perukach. Kiedy w strefie Biznes and Event ekonomiści szkolą szefów regionalnych placówek bankowych, w strefie koksu i botoksu korpuludki z Warszawy pluskają się z dziewczynami w przenośnym jacuzzi. Gdy w domu kultury koncertują gwiazdy, jak Sean Paul, i ambitni muzycy alternatywni, jak belgijska multiinstrumentalistka Cloé du Trèfle – w plażowej restauracji goście mogą śpiewać karaoke, jeść kotlety i pić wódkę. Kelnerzy po selekcji – sami przystojni bruneci o delikatnej urodzie – donoszą schab marynowany w ziołach po 40 złotych, halibuta z sosem kaparowym – za tyle samo, steki wołowe z grilla za 70. Między gośćmi – najpiękniejsze dziewczyny. Tylko najpiękniejsze.

– Byłam w Zatoce na koncercie Seana Paula – powie nam później studentka z Gdańska. – Miałam bilet za 400 złotych uprawniający do wejścia na dach po koncercie. Chciałam wejść w luźnych spodniach i na płaskim obcasie, selekcjoner przy drzwiach mnie nie wpuścił. Na to byłam jednak przygotowana. Wyjęłam z torebki obcisłą, świecąca małą czarną i czarne rzymianki na obcasie, wcisnęłam się w to gówno, ale nie pomogło. Nie musiał mi nawet bramkarz mówić, o co chodzi – zobaczyłam w jego oczach. Nie jestem laską.

– Brzydka dziewczyna nie miała prawa zaistnieć na dachu, chyba że żona jakiegoś klienta – doda była kelnerka z The Roof. – Te z nas, które nosiły drinki w części plażowej, musiały być ładne i sprawne, to wystarczało. Chodziły w szortach i obcisłych podkoszulkach, jak w wielu knajpach. Wyżej mogły robić tylko najszcuplejsze, najwyższe i gotowe pracować w stroju jak do teatryku erotycznego. Szpilki, minióweczki, świecące bluzeczki podkreślające biust. Nazywali je moëtkami, od szampana, do którego miały zachęcać klientów. Pracowały jak typowe gejsze.

– Prócz alkoholu na dachu chodziły narkotyki – opowie inna kelnerka. – Myśmy też brały, żeby się wyluzować, mieć energię i wytrzymać zapachy z ust co niektórych facetów. Któregoś dnia miałam poranną zmianę, a na schodach plaży leżał naćpany koleś. Miał otwarte oczy, oddychał – ale poza tym był sztywny jak trup. Po jakimś czasie przyszła jego dziewczyna i wlała mu w gardło wódkę. Powstał i poszedł.

Anaid Tutguszjan przyjdzie do Zatoki tylko raz – w styczniu 2015 roku. Ze swoim starszym o dwadzieścia cztery lata znajomym z Facebooka, który nie będzie już w tym czasie bezrobotnym rencistą ze Śmiechowa i nie będzie jeździł piętnastoletnim volvo z przebitymi numerami. Jako opiekun floty samochodowej w firmach rodzeństwa Turczyńskich będzie ujeżdżał najnowsze modele sportowych i terenowych audi. Mało tego: na dwa miesiące stanie się prezesem spółki-córki Art Investu o nazwie Gastronom Mahiki sp. z o.o. Zbieżność z nazwą klubu Makahiki przy placu Przyjaciół Sopotu nieprzypadkowa.

Coś bardzo złego się stanie

*Gmach Zatoki Sztuki. Noc z piątku na sobotę,
22-23 marca 2013 roku. Zimno, mgliście, mży*

– Jest Marcin? – były złodziej z małomiasteczkowego blokowiska, teraz sopocki prezes, wchodzi do recepcji domu kultury w towarzystwie wyższej od siebie gimnazjalistki w krótkiej spódnicy, bluzce na ramiączkach i w rozpiętym trenczu. Ona chwieje się na obcasach. Wygląda na nietrzeźwą i zmęczoną. Ale nawet w tym stanie jest piękna. Idealna figura, duże oczy.

– Nie ma pana Marcina – krótko obcięta recepcjonistka wstaje z fotela za drewnianym kontuarem i sięga po klucz od apartamentu na piętrze. „Krystek” ubrany w ciemną kurtkę z pluszowym kołnierzem daje głową znak i piętnastoletnia Marta, tak jak ją wcześniej pouczył, odbiera kartę. Konsjerżka nie chce pieniędzy, niczego nie trzeba podpisywać. Wie, że Krystian jest kolegą Marcina Turczyńskiego. Uśmiecha się uprzejmie do obojga nocnych gości. Wracając na fotel, patrzy, jak nastolatka robi kilka niepewnych kroków w stronę schodów. Najwyraźniej nie wie, że tu jest winda. Wiachon pomaga jej wejść.

Apartament na piętrze: minimalistyczny wystrój, czarno-szaro-białe ściany, widok na ciemną toń wody i rozświetlone moło. Wielki tapczan.

– Czuję się tak źle, że od razu opadłam na łóżko – opowie później Marta. – Chciałam czym prędzej zasnąć, ale on położył się przy mnie i zaczął dotykać. Wtedy po raz pierwszy poczułam strach. Pomyślałam, że mógł mi wcześniej czegoś dosypać do drinka i teraz coś bardzo złego się stanie.

Pierwszy raz zobaczyła Krystiana miesiąc wcześniej, na plenerowej imprezie pod Trójmiastem. Miały być śnieżne atrakcje, ale że śniegu nie było – skończyło się na grillu i na piwie. Marta przyjechała tam ze znajomymi ze szkoły, Wiachon co chwila do nich podchodził, przyglądał się dziewczynom, odchodził w swoją stronę. W końcu jeden z kolegów zapytał, co to za gość. Czyżby się z Martą znali?

– No, co ty? Pierwszy raz go widzę – odpowiedziała.

Nazajutrz dostała przez Facebook wiadomość z profilu „Krystian Wi”. Pytał, czy jej się podobało na grillu i czy piwo smakowało. Była zdziwiona. Odpisała, że ma dopiero piętnaście lat i w piwie nie gustuje. Zapytała, jak znalazł jej profil. Odpowiedział od razu: „Znam jedną z twoich koleżanek. Czy wiesz, że możesz ze mną wchodzić do wszystkich nocnych klubów w Sopocie?”.

Nie odpisała.

– Wtedy zaproponował mi pracę. Odpowiedziałam, że jeśli miałyby to być prace w nocnych klubach, to ja dziękuję. Napisał, że charakter pracy może dostosować do moich oczekiwań. Że znajdzie mi to, co będę chciała.



Noc w Dream Clubie. Nad głowami tańczących, na wysokości galerii dla klientów VIP, huśtają się nastoletnie hostessy

Dałam się zahipnotyzować

Rodzice Marty nie są zamożni. A „Krystian Wi” przysyła kolejne propozycje: praca hostessy, może zdjęcia próbne do teledysków...

– Jedna z koleżanek, którą o niego spytałam, napisała, że rzeczywiście pomaga dziewczynom znaleźć pracę. I dba, żeby były bezpieczne. Więc w końcu zgodziłam się na spotkanie. Ale wyłącznie w sprawie zatrudnienia. Postawiłam warunek, że zobaczymy się w publicznym miejscu.

Wiachon przyjeżdża pod jej blok w Gdyni czarnym audi Q7.

Marta: – Otworzył mi drzwi do samochodu, dał maskotkę w prezencie. Zabrał mnie do Zatoki Sztuki na elegancką kolację. Rachunku nie zapłacił, wobec kelnerki powołał się na jakiegoś Marcina. Mnie powiedział, że to jego kolega, który jest właścicielem tej Zatoki. Przy obiedzie – jedliśmy mięso z sałatkami – przekonywał, żebym zaczęła tańczyć w dyskotecie tego gościa. Powiedział, że to na Monciaku, że zabierze mnie tam i pokaże, na czym ta praca polega. Rodzice wyjechali na weekend, pomyślałam, że nawet jak wrócę do Gdyni ostatnią kolejką, to jeszcze nic się nie stanie. Zgodziłam się pójść na próbę. Zobaczyć, jak takie miejsce pracy wygląda.

Spacer z Zatoki Sztuki do Dream Clubu zajmuje Krystianowi i Marcie nieco ponad pięć minut. Mijają Grand Hotel, siedem knajp przy placu Przyjaciół Sopotu, wąskie schody legendarnego SPATiF-u, o którym Marta jedynie słyszała, i wreszcie wchodzi do nie mniej słynnego Krzywego Domku, gdzie również nigdy nie była. Zakręcone stopnie wiodą na piętro, z jednej strony klub Zła Kobieta, z drugiej – bar Ego. Zimne światła, dużo imprezowiczów krążących między lokalami, wybuchy śmiechu, dzwonki telefonów, dudnienie muzyki za ścianami. Ze strefy dla palaczy snuje się papierosowy dym, od strony toalet dobiega woń perfum, odświeżaczy powietrza i dużo słabiej wyczuwalny mysi odór. Marcie kojarzy się to ze skarpetkami, bo skąd ma wiedzieć, że tak pachnie amfetamina.

Przed szerokim czarnym wejściem przypominającym wstęp do jaskini selekcja chętnych do zabawy. Faceci w błyszczących koszulkach i pastelowych swetrach tak samo jak towarzyszące im dziewczyny

na obcasach grzecznie stoją wzdłuż ściany i przenośnych złotych barierek. Czekają na jakiś gest ochroniarzy i selekcjonerów. Krystian czekać nie musi. Nie musi też płacić za wstęp. Bramkarze przepuszczają go z Martą, nawet się im nie przyglądając. Jakby oboje byli niewidzialni. Gimnazjalistka z gdyńskiego Witomina wkracza do świata nienaturalnych kolorów, rozwibrowanej muzyki i stroboskopowych uderzeń w dno siatkówki. Ściany spotykają się pod dziwnymi kątami – domek jest przecież krzywy. Na onyksowym barze stoją butelki z niemieckim piwem i kolorowe drinki w wysokich szklankach, leżą smartfony i małe kobiece torebki. Ze srebrnych kociołków na tacach kelnerów tryskają iskry zimnych ognii. Krystian prowadzi Martę do windy dla gości VIP. Wjeżdżają na galerię. Pod nimi głowy i ramiona setek tańczących. Wyżej, między żyrandolami ze sztucznych kryształów, dziewczęta huśtające się w samych majtkach, koronkowych biustonoszach i pończochach. Płyną w tę i z powrotem, wśród świateł i dymów, ponad głowami rozkołysanego tłumu na parkiecie.

– Oczywiście, czerwona lampka mi się zapaliła. Mamo... gdzie ja trafiłam? Ale on był przyjacielski, do rany przyłóż – powie potem nastolatka. – Usiedliśmy przy wolnym stoliku, który na nas czekał. Wszystkie inne były zajęte. Zaczął mi stawiać alkohol. Chodził do baru, ale nic nie płacił. Pokazywał że dziewczyny na bujaczkach i coś tłumaczył, ale było tak głośno, że niewiele słyszałam. Zrozumiałam, że to lekka i dobrze płatna praca. Powiedziałam: „Nie dla mnie”. I że chcę już wychodzić, bo zrobiła się noc. Teraz wiem, że przerwałam ten wieczór za późno. Dałam się zahipnotyzować atmosferze. Niczego takiego przecież wcześniej nie znałam. Kiedy wreszcie wyszliśmy na powietrze, poczułam się słabo. On powiedział, że kolega ma apartamenty w Zatoce, tam gdzie jedliśmy. Mogę się przespać, a rano zawiezie mnie do domu. Nie zaprotestowałam, nie miałam siły.

Przecież tego chcesz

Teraz Krystian mocno chwyta za ramię leżącą na wielkim tapczanie Martę i odwraca ją przodem do siebie. W ręce ma telefon.

– Nakręcimy to – sapie.

Przerażona próbuje chwycić go za przegub, przeszkodzić w filmowaniu, ale zdaje sobie sprawę, że on już nagrywa. Kieruje kamerę na jej twarz. Potem jest seks. Po nim nastolatka zastygła w bezruchu do rana. Nie śpi. Wsłuchuje się w oddech gwałciciela.

– Strasznie się bałam tego nagrania w Zatoce – opowie. – Spotykałam się z nim jeszcze przez miesiąc, po kryjomu, próbowałam wydobyć film. Płakałam, prosiłam, robiłam, co chciał. Wiadomo... Mówił, że jestem wyjątkowa, ale filmu skasować nie chciał. Raz zasugerował, że może się zastanowi nad tym, jeśli pojedę z nim do Pucka.

Jadą. W samochodzie „Krystek” zakłada Marcie opaskę na oczy. Gdy ją zdejmuje, uczennica orientuje się, że są w czymś pomiędzy bogato wyposażonym mieszkaniem, agencją towarzyską, kinem i nocnym klubem. Rzutnik i ekran, w drugim kącie – bar z kontuarem, wysokimi stołkami i zapasem alkoholi. Po przeciwnej stronie schody wiodące na piętro. Pośrodku sali chromowana rura do tańca i brązowa kanapa o oparciu zwieńczonym fioletowo-błękitnym panelem świetlnym. Na niskiej szklanej ławie obok szkatułka, z której Wiachon wysypuje kupkę białego proszku. Wyjmuje z portfela stużłotowy banknot. Roluje i wciąga połowę. Resztę proponuje Marcie, ale ona odmawia – więc on dokańcza kreskę sam. Przeciąga się na siedząco, aż coś trzaska mu w karku.

– Chodź tutaj – przyciąga dziewczynkę.

– Wywinełam mu się i odskoczyłam na kilka kroków, ale wyrwał natychmiast z kanapy – i do mnie. A ja wtedy na drugą stronę pokoju – pod schody. Uciekałam przed nim może dwie minuty, płakałam, on jakby tego nie widział. Mówił mi: „Przecież tego chcesz”.

Ile ten człowiek ma lat?

Kolejne spotkania z Wiachonem są dla gimnazjalistki koszmarem. On już nie próbuje być miły. Żąda, by oddała mu pieniądze, które na nią wydał. Należy się za paliwo, przecież odwiózł ją z Pucka do Gdyni.

– Kasa albo inne rozwiązanie, tak mówił. Wywierał niesamowitą presję, potem to zrozumiałam. Miał taką przewagę wieku, doświadczenia... Wmawiał, że to przecież nie on chciał się ze mną spotykać, tylko ja chciałam. Ja go poderwałam. Jeżeli chcę od niego odejść, muszę mu oddać 2 tysiące. Albo mam odpracować ciałem. A jak mi się ten wybór nie podoba, zabierze mnie na policję, gdzie ma znajomości. Powiedział wprost, że umorzono mu sprawę gwałtu na młodej dziewczynie. I jak policja wezwie moich rodziców, to on im wtedy opowie, co z nim wyrabiałam w Sopocie, pokaże film z Zatoki, gdzie poszłam przecież dobrowolnie. Byłam przerażona. Miałam myśli samobójcze. Okaleczyłam się.

Tragedię dziewczynki nieobecnej na lekcjach, przybitej, milczącej, z bliznami na rękach jako pierwszy dostrzega szkolny katecheta. Namawia Martę, żeby zwierzyła się matce. Mama w pierwszej chwili jest zaskoczona, potem przestraszona.

– Ile ten człowiek ma lat?

– Chyba już prawie czterdzieści.

– W coś ty się wpakowała, dziecko?

– To miała być rozmowa o pracy...

– Ale jak mogłaś mi nie powiedzieć później?

– Na szczęście mama знаła jedną policjantkę. Pogadała z nią, a ta wytłumaczyła, że to, co Krystian ze mną robi, to są przestępstwa – opowie po półtora roku siedemnastoletnia już Marta. – Spisała listę złamanych paragrafów prawa. Mama spotkała się z Wiachonem twarzą w twarz i mu to powiedziała. Wsiadł w samochód i sobie pojechał. Jeszcze parę razy pisał do mnie na Facebooku, ale nie odpisałam.

13. ARMEN. MŚCICIEL

Czy śmierć ją bolała?

16 marca 2015 roku, poniedziałek, godzina 13.30.

Cmentarz Łostowicki na jednym ze wzniesień między gdańską Starówką

a obwodnicą. Temperatura – 16 stopni, słońce i białe obłoki

Kondukt żałobny Anaid Tutguszjan jest skromny. Dziewięć lat temu pochówek innej gimnazjalistki z Gdańska, która odebrała sobie życie po tym, gdy molestowało ją kilku kolegów, zgromadził blisko tysiąc osób, w tym kilkudziesięciu dziennikarzy. Nabożeństwo odprawił metropolita arcybiskup Tadeusz Gocłowski. Teraz między rachitycznymi lipami niedaleko cmentarnej kaplicy stoi kilkudziesięciu żałobników. Poza wypuszczoną na dwa dni ze szpitala psychiatrycznego Kamilą, poza Joanną i Armenem, który dzień wcześniej wyszedł z aresztu, są jeszcze jego ormiańscy koledzy, mama Asi i jej siostra Emilia. Do tego Dominik i znajomi Anaid. Między innymi Nikola, Patryk i piętnastoletni Krystian – Krystek z gimnazjum we Wrzeszczu. Jest także jakiś niewysoki, ale dobrze zbudowany łysawy blondyn z porytą twarzą i białą różą w ręku. Trzyma się z boku, w trakcie nabożeństwa znika.

Joanna – blada jak ściana – nie rozumie, co ksiądz mówi nad grobem. Mszę w kościele Świętego Ignacego Loyoli na Oruni Dolnej też przetrzymała w półśnie. Siadała w ławce, wstawiała, klękała, płakała. Otepiają ją tabletki, od wczoraj nie zmrużyła oka, bo gdy tylko przymykała powieki, od nowa widziała ciało córki, które pokazali jej w sobotę w firmie pogrzebowej. Pracownik zakładu – w okularach i niemodnym czarnym garniturze – bardzo odradzał, ale się uparła. Gdzieś w zakamarku jej mózgu tliła się przecież nadzieja: to wszystko pomyłka. Anaid żyje. Zabiła się jakaś inna dziewczynka.

Chciała ją obejrzeć – to pokazali.

Leżała ubrana, tylko bez butów, w skarpetkach i w rękawiczkach, brzydtko pachniała. Oczy miała zapadnięte, jakby ściągnięte w dół, ku policzkom, z dziury w czole wystawały sznurki. Na odartej z włosów głowie – wielki guz. Ciało rozpląszczone, szersze, niż za życia. W środku żadnego całego organu. I żadnej wątpliwości: to ona.

– Czy śmierć ją bolała? – Joanna zapytała mężczyznę w czerni, nie patrząc mu w oczy, żeby nie wyczytać z nich prawdy. Powiedział, że nie cierpiała. Że mózg się jej rozlał natychmiast, w ułamku sekundy.

Takiego użył słowa: rozlał się.

Potem – Asia nie pamięta dokładnie, jak do tego doszło – stała już przy otwartym oknie w jakimś korytarzu z papierosem w jednej ręce i kubkiem nie dobrej kawy z automatu w drugiej. Światło wokół było dziwne. Kamila też tam była. Chyba ze swoim chłopakiem. A może nie? Weszła do sali z ciałem i szybko wyszła. – To nie jest Ania, powiedziała. To nie jest moja siostra.

Joanna nic nie odrzekła. Przypaliła sobie papierosa od papierosa i wtedy w korytarzu pojawił się Armen. Prosto z aresztu.

O śmierci córki dowiedział się cztery dni wcześniej. Kiedy mu się przyśniły córka i ormiańska matka, zażądał, by klawisze pozwolili mu zadzwonić do Anaid. Nie połączył się, bo nie odbierała. Joanna też nie – ani w niedzielę, ani w poniedziałek. We wtorek zadzwonił do Ewy, byłej teściowej. Odebrała

Kamila. Powiedziała: „Anaid skoczyła pod pociąg”. Gdy to usłyszał, zemdłał. Kiedy oprzytomniał, zaczął płakać w więziennym korytarzu. Krzyczał, długo nie mogli go uspokoić. Po kilkunastu godzinach zapadł w otępienie. Nie odpowiadał na pytania, gdy ktoś próbował wyrwać go z letargu, mówił: „Dajcie mi spokój, pozwólcie spać. Chcę śnić o córce”.

Trzymali go na Kurkowej jeszcze trzy dni. Kiedy Joanna go zobaczyła w tę sobotę, wyglądał bardzo źle. Miał przekrwioną twarz – od białek oczu po czubek nosa. Wargi spierzchnięte, w kącikach ust – strupy. Wszedł do pomieszczenia ze zwłokami, długo nie wychodził. Asia wypaliła papierosa do końca, kawy nie dopiła, poszła za nim. Właśnie ściągał Anaid skarpetę. Ten w czarnym garniturze przyglądał się bez słowa.

– Miała pieprzyk na dużym palcu – powiedział Armen. – A ta tutaj nie ma – dodał ni to do faceta w okularach, ni do Joanny, może do siebie.

– Zostaw ją – wzięła go za łokieć. – Nic nie zmienisz. To jest nasza córka. To jest Ania. Możemy ją tylko pożegnać.

Pocałowali dziecko w oba policzki, najpierw matka, potem ojciec. Ona płakała, on milczał. Kucnął pod ścianą na piętach, wtulił głowę w ramiona, zapadł się w siebie. I nadal jest w tym stanie, chociaż teraz – na cmentarzu, nad rozkopaną mogiłą – stara się trzymać prosto. Kiedy ksiądz kończy i nadchodzi czas kondolencji, jego kumple pierwsi idą do mamy Asi, do niej samej, do jej siostry i do Kamili. Drobnymi i większymi złodziejami, przemytnikami fajek – nagle są pełni godności. Jakby dopiero tutaj, w tych okolicznościach, ciemne twarze, skórzane płaszcze i marynarki pod nimi, sygnety na palcach, złote spinki krawatów – jakby to wszystko było wreszcie na właściwym miejscu. Jeden zezowaty, drugi potężny – każda dłoń niczym pół chleba, trzeci – posiwiały na skroniach. Ludzie stworzeni do żałoby i zemsty.

Gimnazjalne dzieci podchodzą do Joanny całą grupą.

– Pani wie, że to nie jest moja wina, prawda? – Dominik ma jasnoniebieską kurtkę, trochę nieodpowiednią na pogrzeb. Asia nie odpowiada. Spogląda na chłopca przez łzy. On mówi coraz szybciej: – Ania nie była już ze mną pokłócona. My się pogodziliśmy wcześniej. Ona umówiła się w sobotę pod Lidlem z tym „Krystkiem”. Ja to już powiedziałem na policji, bo oni robią jakieś dochodzenie. Już mnie pytali.

– Jakie robią dochodzenie? – Armen przybliżyła poczerwieniałą twarz do gładkiej buzi nastolatka.

– W sprawie śmierci Ani. Wszystkich nas przesłuchiwali, czy ktoś jej w szkole jakoś nie dokuczał, czy coś tam. Jak powiedziałem o tym Krystianie, że Ania poszła, to sprawdzili monitoring w różnych miejscach. Na fejsie ktoś pisał, że ten Krystian to podejrzany typ. Że mógł nawet ją zgwałcić. Ja Anię ostrzegałem.

Kamila stoi obok i nie mówi nic. Asia w myślach obraca słowa „Krystian” i „zgwałcić”.

– To nie mógł być żaden gwałt. Przecież ona prawie z domu nie wychodziła. I zawsze wieczorem wracała.

– Ale do mnie wieczorem dzwoniła... – podchodzi Nikola, przyjaciółka Anaid. – W tamtą sobotę, zanim to się stało, powiedziała, że on ją zgwałcił.

– Naszą Anię zgwałcił? – Ewa, matka Joanny, opiera się o Kamilę.

– Jaki on? – Armen patrzy na Nikolę.

– Nie powiedziała. Płakała i sama się rozłączyła. Ja próbowałam oddzwonić. Jeszcze wysłałam jej zapytanie na fejsie: o kogo chodzi? Ale Ania nic mi już nie odpisała.

– Widziałem taki wpis, że on jej miał załatwić sprzątanie albo pracę w kebabie – wyższy i szczuplejszy od Dominika chłopiec ma pryszczki na czole i kołnierz koszuli pod kurtką postawiony na sztorc. Joanna widziała go kiedyś z Anią, wydaje jej się, że ma na imię Patryk, lecz nie ma co do tego pewności. Zaczyna odpływać.

– W jakim kebabie? – Armen pyta głucho, jakby był w środku pustki.

– Ja nie wiem.

– W jakim kebabie? – Tutguszjan powtarza pytanie.

Ty w niebie śpij, słodko śpij...

Ten sam dzień, plaża przy molo na Zaspie w Gdańsku.

Godzina 19. Ciemno, temperatura poniżej dziesięciu stopni

„Była piękna, młoda, aniołem jest.../ Tyle chciała, żeby osiągnąć swój cel.../ I zabrakło chwili, by zmienić los.../ Aby cofnąć czas i odmienić to...”.

Pierwsze takty i frazy śpiewanej dziewczęcym głosem piosenki przywodzą na myśl smutną melodię kataryniarza. Po kilkunastu sekundach utworu – niespodziewanie – rzewna nuta ustępuje miejsca transowemu rytmowi rapu. Głos męski, zachrypnięty, z wyćwiczonym blockerskim akcentem:

„Teraz wolna i spokojna, bo zupełnie już daleko/ I bezpieczna i spokojna, bo pod Jego opieką.../ Wybrałaś tę drogę, by zapukać w drzwi do Niego, / Teraz On cię będzie chronił przed złem całym świata tego.../ Taka młoda i waleczna, ty odeszłaś, my czekamy.../ Zostań z nami w naszych sercach, aż się razem znów spotkamy...”.

Piosenkę o Anaid, która płynie z ustawionego na piasku głośnika, nagrali jej szkolni znajomi. W połowie utworu dwadzieścia chińskich lampionów – białych, błękitnych i bladoczerwonych – unosi się nad wodami Zatoki. Słaby wiatr wiejący od strony parku Reagana niesie rozświetlone papierowe bańki w stronę otwartego morza. Ktoś odpala neon z rac tworzących siedem liter. „D-L-A A-N-A-I-D”. Chłopak we flanelowej koszuli z kapturem odpala sztuczne ognie. Słychać kilka męskich okrzyków podziwu i przeciągłe dziewczęce: „Łaauuu!”. Iskry z sykiem opadają na ziemię, podniecone głosy szybko cichną – to jednak uroczystość pogrzebowa.

W kościele i na Cmentarzu Łostowickim gimnazjaliści z Oruni i Wrzeszcza trochę się nudzili. Pełno rodziców, nauczyciele, ksiądz i jeszcze ci patrzący spode łba Ormianie. Teraz, w trakcie plażowego pożegnania, na które młodzi umówili się przez Facebook, wszyscy są dużo swobodniejsi. Krąży małpka z żołądkową gorzką na rozgrzewkę. Joanna – w ciemnym płaszczu z kołnierzem ze sztucznego futra – po raz pierwszy od tygodnia się uśmiecha. Oprócz uczniów jest tu sporo jej znajomych z czasów Zielonego Trójkąta, z Biskupiej Górki, z Wrzeszcza. I dwie aktualne koleżanki z pracy. Między dorosłymi biegają kilkuletnie dzieci. Trzaskający białym ogniem neon bardzo się maluchom podoba.

Lampiony są już ledwie widocznymi punktami na niebie. Piosenka o Anaid leci z głośnika jeszcze raz.

„Zostaniesz w naszych snach, gdzie twoja piękna twarz uśmiecha do nas się.../Ty w niebie śpij, słodko śpij...”.

Raz się żyje, raz kocha, raz umiera

Nadal 16 marca 2015 roku, późny wieczór i noc

Prawa zemsty rodowej – krew za krew – nie należy mylić z Kodeksem Hammurabiego. Ten drugi każe karać sprawcę. Prawo zemsty – niemal równie stare – pozwala na ukaranie niewinnego. W zastępstwie albo gdy winny jest nieosiągalny. Zbyt potężny, uciekł czy umarł – nie ma znaczenia. Ani zniknięcie, ani śmierć z przyczyn naturalnych nie załatwiają sprawy. Trzeba się mścić aż do końca, bo jak powiada tradycja: „Krew się nie starzeje”. Zemsty można – i należy – dokonać nawet w drugim, trzecim czy kolejnym pokoleniu. Nieważne koszty, liczy się honor plemienia, klanu i rodu. Stryj jednego z najbliższych przyjaciół Armena Tutguszjana, zezowatego i nieobliczalnego Nareka, zginął od noża

w wendecie ciągnącej się w jego stronach od czasów wojen białych z czerwonymi.

Przeszło dziesięć lat po tej zbrodni starszy brat Nareka poszedł się zemścić, zabił i wylądował w więzieniu. Przynajmniej na jakiś czas był bezpieczny. W odróżnieniu od Nareka, który musiał się wynieść z Erywania do Moskwy. Tam się ponownie spotkali z równie porywczym Armenem i jego paczką. Kradli, handlowali i wymuszali haracze. Strzelali się nawet z moskiewskimi Czeczenami, co było dużym błędem. Gdy na początku 1998 roku dwóch kolegów znikło na krótkim odcinku między Dworcem Kijowskim a prospektem Kutuzowa, reszta grupy uznała, że w stolicy Rosji jest już za gorąco, choć akurat przez cały miesiąc było minus dwadzieścia. Część wyjechała do Petersburga, część do Kaliningradu. Armen, Narek, Samwel i Dikran – do Trójmiasta.

Zaczynali od handlu – zegarki, kalkulatory i elektroniczne notesy, podrobione płyty – i wymuszeń. Po stoczniowym epizodzie Armen otworzył – z poznanym w barze kebabowym informatykiem Wojtkiem Kownackim – internetowy biznes Express Shopping. Dzięki napisanemu przez Wojtka programowi udało się rozkręcić handel artykułami erotycznymi – gumowymi penisami, plastikowymi waginami – i suplementami diety, głównie zieloną viagrą z Indii – kamagrą.

W tym samym czasie Narek wszedł w papierosy i ściąganie długów. Niedawno zorganizował transport fajek. Tysiąc pięćset rakiet białoruskich Dukatów, Smartów, Memphisów, Festów czeka u kontrahentów w dziupli między Braniewem a Elblągiem. Mają je puścić do Niemiec. Narek zorganizował już furgonetkę – nierzucającego się w oczy volkswagena transportera. Trzeba zajechać do dziupli, zapakować towar, a równocześnie zabrać jakiegoś Piotrka, który będzie na nich czekał w Gdańsku i poprowadzi dalej. Pojadą z nim nad Odrę we czterech: Armen – skoro już wyszedł na wolność, Narek, jego kuzyn Samwel i stuczterdziestokilowy Dikran, żelazna pięść Nareka.

Mieli wyjeżdżać po towar szesnastego, ale musieli pójść na pogrzeb córeczki Armena. Więc Narek i Samwel przesunęli termin. Kontrahenci byli wkurzeni, lecz raz przesunąć można. Stało na tym, że wyjadą dziewiętnastego, w czwartek. Dziś na cmentarzu Dikran, Samwel i Narek złożyli rodzinie Joanny kondolencje, jak należy. Potem zabrali Tutguszjana do małej knajpy na Stogach i spili. W tej chwili słuchają jego coraz bardziej bełkotliwej opowieści o tym, jak piękna, kochana, dobra i mądra była Anaid. Jaka podobna do matki Armena, po której dostała imię. Jak mu się ta matka przyśniła w areszcie. Jak wcześniej, jeszcze w Moskwie, Tutguszjan wyśnił śmierć swojego ojca w Erywaniu. I jak teraz matka chciała go we śnie ostrzec przed następnym nieszczęściem – ale on nie zrozumiał ostrzeżenia. A teraz pozostała mu zemsta.

Samwel, Dikran i Narek słuchają i kiwają głowami. Prawdę mówiąc, wszyscy wiedzą od dawna, że Armen ma – jak to powiadają Polacy – nierówno pod kopułą. Jeszcze w Erywaniu zwolnili go ze służby wojskowej z powodu napadów paniki i hysterii, które powtarzały mu się coraz częściej, od kiedy w górach Kaukazu spadł z piętnastometrowej skały na kamienie. Wtedy dwa dni był nieprzytomny. Lekarze zdiagnozowali spazmofilię, uporczywe bóle głowy, doszła bezsenność. Pić zaczął po osiemnastych urodzinach, ale za to od razu ciągami. Już w Polsce, kiedy Anaid była jeszcze brzdącem, podciął sobie żyły po sprzeczce z Asią, która chciała od niego odejść. Jego ulubionym powiedzeniem było: „Raz się żyje, raz kocha, raz umiera”. Od śmierci uratował go Narek.

Jest po północy, gdy koledzy niosą niedoszłego samobójcę do taksówki, by zawieźć go do taniego hotelu w Redzie. Samwel wynajął tam dwuosobowy pokój na fałszywe nazwisko i zaparkował volkswagena transportera.

Aralezy liżące rany

Wczesny poranek 17 marca. Reda, między Wejherowem a Gdynią.

Hotel Ikar na skraju lasu, dziesięć kilometrów na północ od Chyloni

Leżący na łóżku w ciuchach i w butach Armen znów ma majaki. Najpierw długo szuka Anaid po erywańskich ulicach. Pod arkadami na placu Republiki, w ciasnych zaułkach między rozgrzаныmi kamienicami wokół meczetu, dalej – w parku nad jeziorem i wreszcie na rodzinnym blokowisku. Potem nagle, jak to we śnie, jest już w Trójmieście. Na Dworcu Głównym, na tym samym peronie, gdzie przeszło piętnaście lat temu wysiadł po raz pierwszy w Polsce. Anaid stoi na podwójnym torowisku. Pada mokry śnieg, ona jest nieżywa, spłaszczona, poszyta chirurgicznymi sznurkami i pusta w środku. W oddali za nią stoi Wojciech Kownacki, współnik od internetowego handlu viagrą. Stał na oddalonym o rzut kamieniem peronie i się gapi takim samym wzrokiem, jakim taksował jego córkę, gdy jechali razem samochodem po towar i podrzucali Anaid z Wrzeszcza na Orunię. Armen powiedział wtedy Wojtkowi: „Nie gap się tak na nią”. Pomyślał: „Ona nie jest dla takich jak ty. Takich jak my obaj. Ona będzie miała inne życie, lepsze niż jej matka i ojciec. Ona skończy szkoły, znajdzie uczciwego Polaka, ona się wyrwie z tego gównianego świata”.

Tutguszjan nadal śni. Wie, że jeśli nie Wojtek, ale on, jako pierwszy, dotknie córki i ogrzeje ją – wówczas życie powróci. Aralezy, duchy zrodzone przez ormiańską sukę, wskrzeszają przecież zmarłych, nie tylko wojowników, liżąc ich rany. Musi jedynie zabrać swego aniołka z torowiska, wziąć na ręce i całować, całować... Tyle tylko, że między jego ramionami a córeczką – po bliższym torze – pędzą pociągi.

Raz się kocha, raz się żyje! Ojciec skacze w szparę między dwoma wagonami – i budzi się sztywny, spocony, skacowany. Wstaje z posłania, sapiąc. Szuka skręta i zapalniczki.

Ałki i dziewczynki

Jest w pokoju sam. Kumple gdzieś poszli. Przez dwie godziny pali, pije wodę z kranu, znowu pali. Postawił zdjęcie Anaid na stole, wciągnął resztkę amfy, teraz wypija piwo na pusty od dwóch dni żołądek i zaczyna myśleć o Wojciechu Kownackim.

Wspólnik nie zadzwonił do niego po śmierci Anaid, na pogrzeb przyniósł tylko jeden kwiat i szybko zniknął. Gdy po oględzinach ciała córki Armen musiał coś podpisać, a potem włożył długopis do swego starego notatnika, tusz rozlał się akurat na nazwisku Kownackiego i na akcie zgonu. Tak jakby któryś z duchów – może pan losu Baht – chciał połączyć te dwie osoby: Anaid i Wojtka. A Armen w duchy i stare bóstwa wierzy. Ciotka mówiła mu nie tylko o aralezach, ale i o ałkach – złych demonach prześladowających dziewczynki. Kownacki jest ałkiem.

Mija pierwsza po południu, kiedy Armen do niego dzwoni. Proponuje spotkanie w kebabowni Barbossa przy gdańskim Dworcu Głównym. Obaj znają to miejsce. Tutguszjan jadał tam wyłącznie wtedy, kiedy już wszystko wokół było zamknięte, bo żarcie z Barbossy w niczym nie przypominało prawdziwego szisz kebab – baraniego szaszłyka doprawionego akebią, jaki można zjeść w Erywaniu. Ale kawę mieli nie najgorszą, a miłe dziewczyny, które tam pracowały, pozwalały mu doładowywać telefon. I to właśnie tam – w Barbossie – poznał Kownackiego rok temu. Ale dzisiaj wspólnik nie może się spotkać. Najprędzej jutro.

Kwadrans po rozmowie Tutguszjan chce wyjść z hotelu na powietrze. Przejść się, kupić papierosy, coś zrobić. Ale na parkingu drogę zastępuje mu Narek. Przyszedł z Dikranem. Obaj podejrzewają, co zamierza, znają go przecież. I znają prawo krwi. Dlatego nigdzie Tutguszjana nie wypuszczą. Dzisiaj ponownie napiją się na troski, a rano pojedą po ruskie kartony. Odstawią towar, skasują forszę, rozliczą się. Dopiero wtedy przyjdzie czas dorwać tego, kto skrzywdził Anaid. Krew się nie zestarzeje w pół tygodnia.

Tutguszjanowi trudno się kłócić. Nie będzie się szarpał z Dikranem. Wracają do pokoju na piętrze. Narek przypala skręta i wyciąga piersiówkę. Dikran dzwoni po pizzę.

Anaid daje znaki

18 marca 2015 roku, środa. Szaruga i zimny wiatr

Nocą Narek i Dikran czuwają na zmianę przy pijanym Armenie. Nie trzeba go było nawet długo poić. Urządził się szybko – od dwóch dób jedzie przecież na tytoniu, marihuanie, amfie i alkoholu. Tym razem pijąc nie opowiadał im o tym, jakim aniołem była Anaid, jak dobrze jej szło w szkole i jak się wszyscy oglądali za jej piękną twarzą. Mówił o swoim bólu.

Teraz już nic nie mówi, bo śpi w fotelu. Oddech ma tak płytki, że pierś mu prawie nie chodzi i tylko gałki oczne pod powiekami wirują. Znowu śni mu się córka. I znowu budzi się nagle. Kiedy podnosi powieki i spogląda na stojącego nad nim Dikrana, olbrzym ma wrażenie, że z oczu Armena bije siła zupełnie nieprzystająca do jego złachanego ciała.

Śniadanie – wyschnięte od wczoraj reszki pizzy z salami i oliwkami – jedzą w milczeniu. Czarna kawa, raz po skręcie i po niuchu, kilka papierosów, potem ostatnie ustalenia. Narek z Samwelem, który tu zaraz po niego przyjedzie, pojedą furgonetką do dziupli. Dikran z Armenem poczekają na ich telefon. Kiedy towar już będzie na pace, wezmą taryfę, zajadą po Piotrka przewodnika do Gdańska i spotkają się wszyscy w Straszynie, przed hotelem na Objazdowej.

Godzina jedenasta rano. Dikran – na krześle przed telewizorem – ogląda skoki narciarskie w Planicy. Jest już w połowie drugiego kartonu chińszczyzny, kiedy Armen telefonuje do Asi. Nie przeszkadza mu, że kolega podsłuchuje.

– Rozmawiał ze mną w taki sposób, jakby się zegnał – powie nam potem Joanna. – Prosił, bym dbała o siebie i o Kamilę. Mówił, że Anaid daje mu znaki we śnie, że ormiańskie duchy wskazały mu, kto ją zgwałcił. Przestraszyłam się, że coś zrobi. Ale nie mogłam rozmawiać, bo właśnie wchodziłam na policję, niosłam im zdjęcia w telefonie i tylko o tym myślałam, co zaraz powiem policjantom. Więc Armenowi szybko odparłam, żeby się uspokoił i nie robił nic, czego by później żałował. Obiecałam, że oddzwonię, jak tylko wyjdę z komendy.

Twierdzi, że był kolegą

*Tego samego dnia. Komisariat Policji Gdańsk-Orunia, ulica
Platynowa*

Mimo podłej aury Joanna przeszła pieszo ponad kilometr. Musi teraz oszczędzać dosłownie na wszystkim, nawet na biletach. Z przedszkola wzięła zwolnienie.

Mija rząd radiowozów zaparkowanych wzdłuż skarpy. Przedstawia się starszemu mężczyźnie w dyżurce. Pokazuje dowód. Dyżurny dzwoni, poleca usiąść i czekać. Ale ona nie siada. Krąży po poczekalni, zatrzymuje się na dłużej przed tablicą, na której ktoś wywiesił ulotkę ze spisem uprawnień osób poszkodowanych. Jeszcze czyta, gdy zjawia się policjantka po cywilnemu – blond włosy spięte w koński ogon, miła twarz, przyjacielski uśmiech na powitanie.

– Młodszy aspirant Anna Okuradzka. To ja prowadzę postępowanie w sprawie śmierci pani córki.

W małym pokoju, gdzie zaraz siadają, jest także mężczyzna – wypełnia przy biurku jakiś formularz. Stuka w klawisze elektrycznej maszyny do pisania bardzo wolno i tak niezdarnie, jakby robił to po raz pierwszy.

– Pani coś mi chciała pokazać? – policjantka wyciąga z szuflady grubą papierową teczkę, ale na razie jej nie otwiera.

Joanna kładzie na stół swój smartfon. – Dostałam to od kolegi mojej Ani ze szkoły. Tu jest skopiowany

profil fejsowy i zdjęcie pana, który przedstawia się „Krystian Wi”. Chciałam zapytać, czy to on się spotkał w sobotę z moją córką.

Kilka długich sekund ciszy.

– Tak, to jest Krystian Wiachon – Okuradzka wyjmuje z teczki czarno-białe wydruki fotografii. Każda z nich zajmuje pół kartki formatu A4. Nie są wyraźne. Ale czytelne. Anaid z torebką na ramieniu i mężczyzna w bejsbolówce. W tle rząderek półmetrowych iglaków okalających częściowo zaśnieżony trawnik. To skraj parkingu przed Lidlem przy Sandomierskiej na Oruni. Trzysta metrów od domu Joanny i córek. Przechodziły tędy wiele razy.

Pod fotografią data i dokładna godzina: 7 marca, 11:36,25.

Kolejne zdjęcie: Ania i mężczyzna stoją przy czarnym audi. Chyba rozmawiają, bo twarze zwrócili ku sobie, ona poprawia włosy tym charakterystycznym gestem, który matka zna dobrze. Inne ujęcie: Anaid i Krystian wsiadają równocześnie do wozu. Godzina 11:38,58. Ania wygląda na wesołą – mama nie widzi jej uśmiechu, bo jakość obrazu jest zbyt niska – ale wie przecież, jak chodzi, staje i siada jej córeczka, kiedy się cieszy. Jak chodziła, stawała i siadała.

Policjantka coś mówi od dłuższej chwili.

– ...między jedenastą a trzynastą. Mamy też raport sekcyjny. To, co jest najważniejsze, brak śladów gwałtu. Żadnego obcego DNA na ciele. Nie ma przesłanek wskazujących na stosowanie przemocy.

– Nieprawda. Przecież on ją jakoś zmusił, może pobił, niech pani mi nie mówi...

– Zaraz, zaraz... – policjantka wyciąga z teczki spięte kartki. Joanna najpierw rzuca krótkie spojrzenie na mężczyznę, który skończył stukać w klawisze, a potem przygląda się temu, co aspirantka rozkłada przed sobą na blacie. Zapisana drobnym drukiem tabela.

– Tu nie ma mowy o wcześniejszym pobiciu, ale oczywiście obrażenia spowodowane... wie pani czym... były tak znaczne, że jakieś ślady mogły zostać po prostu... no... utracone. Sama pani wie, jak córka wyglądała. Jeszcze będą oczywiście badania dodatkowe, ale co do zgwałcenia to chyba pani powinna się raczej cieszyć, że córki nikt nie skrzywdził przed... przed 8 marca.

– On ją skrzywdził. Kto to w ogóle jest?! – Joanna pierwszy raz podnosi głos.

Policjant poprawiający swój raport odrywa wzrok od formularza i wymienia porozumiewawcze spojrzenie z Okuradzką.

– To jest, proszę pani, mężczyzna nam znany, wcześniej karany sędownie. Oficjalnie jest bezrobotny, aktualnie pozostający na zasiłku z opieki. Lat trzydzieści osiem.

– I bezrobotny takim samochodem jeździ?

– Ten samochód jest zarejestrowany na firmę, instytucję. Wyjaśniamy wszystkie kwestie, także dotyczące tego samochodu...

– Tam przecież mogą być ślady gwałtu w środku, na tapicerce.

– ...niech pani nam pozwoli wykonywać czynności po kolei – w głosie funkcjonariuszki pojawia się ostrzejszy ton, ale tylko na moment. – Mówiłam pani przecież, że wykluczono zgwałcenie.

– Ale on to mógł zrobić inaczej – Joanna ścisza głos do szeptu. – Pani wie, o czym myślę.

Aspirantka znów długą chwilę milczy. Ten, który tak męczył się z pisaniem na maszynie, bierze w garść sporządzony raport i wychodzi. Okuradzka odzywa się dopiero wtedy. – Naprawdę jest mi przykro w związku z sytuacją, w jakiej się pani znalazła. Sama mam córkę, więc powiem pani, że to jest niestety możliwe. To, o czym pani myśli. Ale ten mężczyzna kilka dni temu sam się do nas zgłosił. Nie zaprzecza, że spotkał się z pani córką 7 marca. I wcześniej, w styczniu, w Sopocie. Twierdzi, że był kolegą pani córki.

– Kolegą? Nieprawda. Miał jej tylko pracę załatwić. Co on wam jeszcze o Ani powiedział?

– Że się poznali przez internet.

Czekam w Barbossie

*Nadal 18 marca, przedpołudnie. Ulica Platynowa na Oruni
i centrum Gdańska, Podwale Grodzkie*

Joanna wraca do domu i po raz czwarty próbuje się dodzwonić do Armena. Słyszy informację: „Abonent poza zasięgiem lub ma wyłączony telefon”. Chce jej się krzyczeć ze złości. Wiachon, Krystian Wiachon. Ty skurwysynu! Gwałcicielu dzieci! Armen, proszę cię, odbierz! Nie rób niczego głupiego.

Staje na środku deptaka i pisze SMS-a do byłego męża, który właśnie wsiada do taksówki z Dikranem. Papierosy z dziupli są już w transporterze, oni ruszają z Redy po Piotrka. Wezmą go między siebie i zawiozą do Straszyna, potem – kierunek Niemcy.

Taksówkarz, spory chłop, odsunął swój fotel maksymalnie do tyłu i przez to Dikran za nim nie ma co zrobić z kolanami. Raz je podnosi w górę, raz pcha się na Tutguszjana, który przybliżył twarz do zaparowanej szyby i milczy z dłonią wepchniętą pod pachę. Palcami wyczuwa podłużny kształt w wewnętrznej kieszeni kurтки. Choć Dikran pilnował go dobrze, to jednak zdołał wejść w Redzie do żelazniaka i kupić młotek. Akurat zmieścił mu się pod pachą. Potem wysłał SMS-a do Wojtka Kownackiego. „Czekam w Barbossie. Pilna sprawa”. Kownacki odpisał, że przyjdzie po trzynastej.

Taryfiarz jedzie szybko, chce mieć ten kurs za sobą. Co rusz zerka na obu pasażerów przez wsteczne lusterko. Śniadzi – może to Cyganie, a może Czeczeni – śmierzdzą mu przetrawionym alkoholem, papierosami i światem przestępczym.

Jadą przez Rumię, Chylonię, potem – obwodnicą, a jeszcze później przez lasy do Gdańska. Za oknami Hucisko. Czerwone światła, rząd stojących aut i tramwajów, jakiś rowerzysta przeciska się między karoseriami. Armen gwałtownym ruchem otwiera drzwi i wybiega z głową do przodu.

Ktoś trąbi, rowerzysta o mało nie przewraca.

Dikran – w aucie – klnie po ormiańsku. Chce wysiąść od swojej strony, ale taksówkarz chwyta go za rękę i też zaczyna krzyczeć. Ormianin odpycha Polaka, kładąc mu rozczapierzoną dłoń na twarzy. Tamten włącza pod deską rozdzielczą jakieś alarmowe gównno, które zaczyna przeciągle wyć tak głośno, że słyhać na całym Hucisku.

Armen biegnie Wałami w kierunku dworca. Pomiędzy ludźmi, chwilami trawnikiem. Co kilka sekund ogląda się za siebie. Dikrana nie widzi. Zwalnia zasapany. Owinięty w reklamówkę młotek gniecie go pod pachą. Ostatnie sto metrów dzielące go od Barbossy przechodzi spokojnie. Wyrównuje oddech. Jest gotowy na śmierć. Dikran zobaczył tę gotowość rankiem w jego oczach, dlatego teraz kołysze się, biegnąc śladem Armena tak szybko, jak potrafi, i myśli o Nareku, którego szanuje najbardziej na świecie, a który kazał mu pilnować swego jedyne go przyjaciela. Tak o Armenie powiedział: „Mój jedy ny przyjaciel – *im miak yinkery*”.

Im bliżej Targu Węglowego, tym gęściej. A Tutguszjana nie widać. Mógł pobiec prosto w stronę Błędnika, mógł zejść do przejścia podziemnego, mógł wszystko zrobić. Co powie szef?! Gdy Dikran wybiera jego numer, Narek każe wracać, łapać nową taksówkę i jechać po przewodnika. Nie mogą drugi raz przesunąć roboty.

W tym czasie Armen mija remontowany gmach dawnej kolejowej przychodni zdrowia i wchodzi na parking przed Barbossą.

Wyostrzone zmysły złodzieja rejestrują wiele rzeczy naraz. Patrol policji, zagrodzone przejście na peron, parkingowy w czapce, kamer nigdzie nie widać. Wejście do kebabowni w zagłębieniu frontu. Armen siada przy stoliku, nad którym wisi plastikowa tablica – menu. Wstaje, znów siada. Niczego nie zamawia. Klienci wchodzi, kupują, czekają, jedzą, wychodzą. On siedzi i się wierci. W końcu prosi o piwo. Ciepłe, ze skrzynki.

Starszy facet chce pożyczyć 2 złote. Ormianin stawia mu tyskie. Przez chwilę rozmawiają o tym,

że pogoda parszywa. Jedna z dwóch kobiet pracujących przy pionowym ruszcie z mięsem – ciemnowłosa Rita – powie potem policjantom, że ten stary to tutejszy łazik, a ten śniady był – jak to określi – zdenerwowany. Pił wolno, wychodził na papierosa, wracał i znowu pił. O podładowanie telefonu w gniazdku tym razem nie prosił. Gdzieś tak około wpół do drugiej podszedł do Darii, młodszej koleżanki, która tego dnia pomagała Ricie. Poprosił, aby na chwilę pożyczyła mu kuchenny nóż. Mieli tu taki długi, stary, jeszcze z ebonitową rączką. Dobry do krojenia warzyw. Wziął go, znów usiadł i zerkał w stronę drzwi.

Nóż w brzuchu

Nadal 18 marca. Między 14.30 a 14.45.

Bar kebabowy przy Podwalu Grodzkim

Łysiejący mężczyzna w kurtce koloru wiśni zamawia po wejściu warkę i siada przy stoliku Armena. Ormianin, który przed chwilą schował nóż do rękawa, coś do niego mówi, a potem podchodzi do lady. Prosi o następne tyskie, tym razem zimne. Nie czekając na obsłużenie, sam wyjmuje butelkę z podświetlanej lodówki w kącie, na blacie kładzie banknot dziesięciozłotowy, niedbale macha ręką na resztę. Rita – gdy sobie potem to wszystko odtworzy – będzie miała wrażenie, że po przyjsciu tego łysawego Ormianin wyprostował się i urósł.



Ojciec Anaid, pochodzący z Erywania Armen Tutguszjan, na ławie oskarżonych w Gdańsku. Luty 2016

Postawił butelkę na stole, lecz z niej nie pił, gdy usiadł. Coś mówił do łysawego. Ten mu coś odpowiadał. Potem wszystko się działo w szalonym tempie.

Armen wyciąga z kieszeni zawiniątko w folii, rozwija. Młotek wraz z rękojeścią waży w sumie niewiele ponad pół kilo, ale dziewięćdziesiąt procent jego masy skupia się w krótkim żelaznym klocku – i w tym rzecz. Zamach jest krótki i szybki. Łysawy chce się uchylić i zasłonić łokciem. Tutguszjan zadaje uderzenia w głowę, w ramiona – jedno po drugim. Szamotanina i krew. Krzyki po polsku i po ormiańsku.

Dwóch klientów – brodate młokosy z bułkami w rękach – ucieka z baru. Daria kuca za ladą i zaczyna przeraźliwie krzyczeć. Jeszcze głośniej niż tych dwóch, którzy teraz tarzają się po zakrwawionej podłodze. Rita podbiega do nich, chce ich rozdzielać, chyba też krzyczy – potem nie będzie już pamiętała. Przez drzwi wpada Tomasz, parkingowy. Czapkę zgubił w biegu.

– Co tu się dzieje!?! O kurrr... wa! Ludzie! Puść go, debilu!

Śniady facet w czarnych bojówkach siedzi okrakiem na drugim gościu, leżącym we krwi. Gęby obu wydają się parkingowemu znajome. Nóż w roztrzęsionej dłoni atakującego faceta jest ułamany. Większa część ostrza została w brzuchu tego drugiego.

Tomasz ściąga Tutguszjana z Kownackiego. Ormianin wstaje sztywno. Odrzuca ebonitową rękojeść z resztką metalu. Jest półprzytomny. Parkingowy krzyczy do niego: „Kurwa, człowieku, co narobiłeś?!” – ale on nie słyszy. Wyciąga z kieszeni zdjęcie Anaid, kieruje je w stronę leżącego i mówi:

– Zdychaj za moją córkę. Bóg jest sprawiedliwy.

Kałuża krwi rośnie. Na wpółotwartych ustach rannego – czerwony bąbel śliny i krwi. Daria wychodzi na dwór i pyta tych, co wybiegli, a teraz patrzą na wszystko z bezpiecznej odległości, jaki ma wybrać numer.

– Pani dzwoni: najlepiej sto dwanaście.

Nie rób nic głupiego

Tutguszjan mówi parkingowemu, że chce zapalić. Wychodzą obaj za próg. Rita z nimi. Są już nowi gapie. W sumie przed Barbosą stoi w tej chwili kilkanaście osób. Armen pośrodku. Na rękach krew, w lewej ręce drży zdjęcie Ani, w prawej – podany papieros.

– Nie żałuję – mówi do siebie samego. – Za to, co zrobił, nie ma prawa żyć. A jak przeżyje, będzie go bolało. Tak jak moją córkę.

Policjanci – sierżant i starszy posterunkowy – biegną od strony dworca. Nie mają apteczki, lecz jeden zajmuje się tym leżącym tak, jak go nauczyli – rozpina kurtkę, podciąga w górę sweter i przyciska krwawiącą ranę. Drugi przeszukuje stojącego spokojnie Armena. Zabiera mu klucze, komórkę, lufkę, zapalniczkę, papierosy, notes i kilka innych rzeczy. Gdy odwraca go tyłem do siebie i skuwa dłonie na krzyżu, Tutguszjan zaczyna głośną modlitwę. Odmawia po ormiańsku „Aniele Boży, strózu mój”. Karetka pogotowia już przebija się na sygnale przez zakorkowaną ulicę Marynarki Polskiej i Błędnik.

Dwaj ratownicy w czerwonych kombinezonach przenoszą krwawiącego na nosze, podciągają je w górę i pchają w stronę ambulansu.

Po dwudziestu, może trzydziestu sekundach karetka odjeżdża. Policyjna furgonetka z zakratowanymi oknami zjawi się dopiero za kwadrans. To wystarczy, by obaj policjanci – z początku gotowi w każdej chwili sięgać po broń – pozwolili Armenowi usiąść pod ścianą i dali do ust kolejnego papierosa. Sierżant wziął od niego zdjęcie Anaid. Dolny róg fotografii zagięty, górny – oderwany, na twarz spadło kilka kropel krwi, teraz już rozmazanych.

– Możesz pan włożyć mnie to do spodni? – Armen wskazuje brodą kieszeń na własnym udzie.

– Nie da rady, kolego. Pójdzie do dowodów. To twoja dziewczyna?

– To moja córka.

– A ten, coś go dziabnął, to kto był?

– Skrzywdził moje dziecko. Nazywa się Kownacki.

W kieszeni posterunkowego pika komórka Armena. Przyszedł spóźniony SMS od Joanny. „Widziałam tego bydlaka, wiem, jak wygląda. Nazywa się Krystian Wiachon. Widziałam jego zdjęcie z Anią. Nie rób nic głupiego”.

PRAWDZIWY DETEKTYW

14. JOANNA. MATKA

Nie była galerianką!

*Koniec marca 2015 roku. Komenda Miejska Policji w Gdańsku,
róg 3 Maja i ulicy Nowe Ogrody. Słonecznie*

– Moja córka nie była galerianką! – Joanna powtarza to zdanie po raz trzeci. Krzesło jest twarde, za oknem przejeżdżają tramwaje. Solidny, pruski budynek komendy przy ruchliwym skrzyżowaniu połączony jest z kompleksem sądów i brzydkim betonowym gmaszyskiem, w którym od tygodnia siedzi – z zarzutem usiłowania zabójstwa – Armen Tutguszjan.

Naprzeciw Asi – po drugiej stronie zawałonego papierami blatu – wysoka, bardzo szczupła policjantka z krótkimi włosami. Przedstawiła się Joannie jako starsza aspirant Wioletta Mazurek i od początku nie przypadła jej do gustu. Ale to ona przejęła dochodzenie po sympatycznej Okuradzkiej – i na nią Asia będzie teraz skazana. Powód przejęcia starsza aspirantka wyjaśniła zwięźle:

– Dalsze czynności w sprawie wymagają koordynacji na szczeblu miejskim.

Dzięki tej koordynacji na biurku Wioletty Mazurek pojawiły się niedawno nowe wydruki z kamer z 7 marca. Tym razem zdjęcia zrobione zostały jakieś dwie godziny po pierwszych, wewnątrz centrum handlowego Matarnia – przy zjeździe z obwodnicy Trójmiasta i wielkim sklepie Ikea. Anaid i Krystian Wiachon stoją pod dużą reklamą letnich butów. Dalej: idą wśród ludzi oparci o siebie. Kolejne foto: we dwoje na schodach. On jej coś daje. Złożoną plastikową torbę – zawiniątko wielkości bochenka chleba. Na innym zdjęciu trzyma rękę przy jej pupie, jakby popychał albo dawał klapsa.

Pan Wiachon współpracuje

O tym, że policjanci mają nowe nagrania z monitoringu, a śledztwo w sprawie śmierci córki zostało przeniesione, Asia dowiedziała się wczoraj po południu. Przez poprzedni tydzień odwiedzała Kamilę w psychiatryku na Srebrzysku – córka chodzi tam teraz do szpitalnej szkoły – i próbowała odwiedzić Armena, ale były mąż nie dostał zgody na widzenie. Poza tym wciąż korespondowała ze znajomymi i szkolnymi koleżankami Anaid. Wpisy na Facebooku i SMS-y szły już w setki. Z konkretów o Wiachonie dowiedziała się jednak tylko tyle, że mieszka w Wejherowie, jeździ wieloma dobrymi samochodami i jest zawsze w otoczeniu nastolatków.

Wioletta Mazurek odczytuje protokół przesłuchania Sabiny, koleżanki Kamili. Od początku roku szkolnego obie dziewczyny były ze sobą pokłócone. Kilka dni temu Sabina powiedziała policjantce, że starsza siostra Anaid puszcza się za ciuchy i kasę, o czym na Oruni każdy wie. Więc na pewno młodsza zaczęła robić to samo.

– Kamila się nie łajdaczy, a Ania nie jest galerianką! Nie była...

– Ja nie twierdzę, że córka kimkolwiek była. Ale nie mamy śladów zgwałcenia, a z dokumentacji monitoringowej wynika, że wszystko odbywa się tu dobrowolnie – aspirantka przekłada wydruki ze zdjęciami. – Środek dnia, trzynasta czternaście, pełno ludzi wokół. Pani córce wystarczyło odejść w swoją stronę, jeśli Wiachon byłby napastliwy. Wezwać ochronę. Odepchnąć jego rękę. A ona tego nie robi. Mamy przeszło dziesięć klitek z kamery, oni spokojnie stoją w kolejce, on kupuje legginsy za prawie 200 złotych. Taka jest prawda. Ja nie pamiętam, żeby mi ktoś kupił spodnie za tyle.

– Nieprawda! Widzę po niej, że jest w stresie, jest w strachu. Głowę ma taką, jakby była wciśnięta. Na tych zdjęciach wcześniejszych spod Lidla tak nie było. Ania się go boi. On jej coś wcześniej zrobił.

– To pani interpretacja. Rozumiem serce matki...

– Nie rozumie pani!

– ...ale proszę pomyśleć chłodno. To nie jest dla nas pierwsza podobna sprawa. Ktoś musi to powiedzieć. Pani córka wsiadła dobrowolnie do samochodu starszego od siebie mężczyzny, z którym była umówiona, bo to wynika z danych z jej Facebooka – aspirantka wyciąga wydruk z treścią wiadomości do i od Anaid. Wskazuje palcem zakreślone różowym markerem zdania:

Krystian Wi: „Kiedy zakupki?”.

Anaid Tutgushyan: „Na razie nie mam czasu”.

Potem kilka zdań niepodkreślonych i znów jaskrawy flamaster:

Anaid Tutgushyan: „Może być w sobotę”.

Krystian Wi: „Przyjadę pod Lidla na Orunię. O której?”.

– Jak pani wie, Krystian Wiachon zgłosił się do nas sam. Nie zaprzecza, że byli na randce...

– Nie na randce. Ona poszła do niego sprzątać. W sprawie pracy znaczy się.

– A on kupił jej legginsy. Miał też być proszony o pożyczenie jej pieniędzy... ponieważ pani rzekomo skąpiła córce na jej wydatki, a ona potrzebowała 600 złotych. Rozpytywany nie wie, na co miały być przeznaczone te środki... Zaprzecza, jakoby doszło pomiędzy nim i pani córką do kontaktu natury seksualnej... Mówi o jednym dotknięciu w policzek. „Traktowałem ją jak starszy brat”. Tak tutaj mam zanotowane z rozpytania. I jeszcze dopowiedział, że stosunki między panią i obiema córkami były od dawna złe.

– Co on może wiedzieć, ten bydlak?!

– Droga pani... – ton policjantki jest protekcyjny – pan Wiachon współpracuje z organami ścigania. Jak twierdzi, bardzo przeżył śmierć swojej przyjaciółki. On w ten sposób pani córkę nazywa. Przyjaciółka. Dobrowolnie przekazał nam swój telefon do analizy. Zgodził się na zabezpieczenie swojego komputera. Ze zgranych informacji wynika, że w tę sobotę umówił się jednocześnie z dwiema uczennicami. Tamta druga nie przyszła na spotkanie. A pani córka przyszła. Niestety.

– Bo ona się pokłóciła z chłopakiem i chciała zrobić mu na złość. Myślała, że jak pójdzie do tego Krystka, to będzie sprzątać mieszkania albo pracować w kebabie. Ja próbowałam się dowiedzieć

więcej...

– Przykro mi, ale...

– Wcale nie jest pani przykro...

– ...ale ta sprawa kwalifikuje się do umorzenia z braku znamion czynu zabronionego. Zaprosiłam tu panią, żeby to zakomunikować.

– Ja się nie zgadzam!

– Oczywiście przysługuje pani prawo do zażalenia na decyzję.

– Z komendy wróciłam pieszo wzdłuż torów do domu i całą drogę ryczałam – powie nam potem Joanna. – Ale wieczorem, chociaż byłam spuchnięta od łez, napisałam do niego, do „Krystiana Wi”, na Facebooku: „Wiem, że tu zaglądasz, bydlaku, skrzywdziłeś moją córeczkę. Ty pedofilu!”. Odpisał mi jeszcze tego samego wieczora: „Co ty odpierdalasz, kobieto?”. Więc skoro Armen mi nie może pomóc, policja robi z moich córek prostytutki, a ten skurwysyn jeszcze mnie obraża, postanowiłam zrobić prowokację. Dać na fejsie ogłoszenie, żeby się ze mną kontaktowały inne osoby, które skrzywdził.

Równo o północy Asia zaczyna wpis od słów: „Chciałabym poprosić o pomoc wszystkie skrzywdzone dziewczyny. Wiem, że to może być dla was trudne, ale pomożecie w sprawie, w której Krystian Wiachon krzywdzi w podły sposób dziewczynki, kobiety. Rozmawiajcie, dziewczyny, ze swoimi mamami i starszymi siostrami. Możecie pisać do mnie...”.

Moja córka zna tego Krystiana

Kwiecień 2015 roku. Gdańsk – mieszkanie Joanny na Oruni

Na grobie Anaid – pod prostym krzyżem z dwóch ciemnobrązowych listew i ozdobionym jedynie zalaminowanym zdjęciem dziewczynki – wysychają cięte kwiaty. Kamila ciągle w szpitalu, a Armen – w areszcie. Jest pochmurna niedziela, szósta po południu. Od rana Joanna płakała już cztery razy. Tabletki, które lekarz zapisał jej jeszcze przed pogrzebem, miały zacząć działać po dwóch tygodniach i – jak mówił doktor – powinny pozwolić jej „przejsć w równowadze przez najgorszy okres po stracie”.



Mama Anaid Joanna Skiba. Gdańszczanka, pracownica przedszkola. Listopad 2015, osiem miesięcy po śmierci córki

Ale ona nie czuje równowagi, tylko niezdrowe zmęczenie i wędrujące po ciele bóle. Wszystko,

co zrobiła – choćby w ciągu ostatnich trzech godzin – jest bez sensu. Próbowwała choć trochę posprzątać mieszkanie, ale odłożyła szczotkę. Usiłowała coś zjeść, lecz chleb z serem urósł w ustach tak, że go w końcu wypluła. Chciała zwinąć się w kłębek i zasnąć przed włączonym telewizorem, ale dopadły ją dreszcze. Załała więc wrzątkiem herbatę i teraz siedzi przy kuchennym stole nad opartym o cukiernicę tabletem, który jeszcze miesiąc temu trzymała w rękach Anaid. Coś się pojawiło pod jej nocnym wpisem sprzed tygodnia. Komentarz Małgorzaty, dawnej sąsiadki z Biskupiej Górki, która – jak sobie Joanna przypomina – dorabiała do pensji kasjerki sprząaniem w szpitalu miejskim.

„Moja córka zna tego Krystiana. Mówiła mi, że wciska dziewczynom alkohol i narkotyki, proponuje pożyczki, doładowuje im karty w telefonach i składa propozycje puszczenia się za pieniądze”.

Trzy godziny po Małgorzacie wiadomość przysłała Joannie jakaś Mirella: „Byłam na dyskotecę we Wrzeszczu, gdzie on się kręcił między samymi młodymi laskami. Zaproponował, że mnie odwiezie do Redy. W samochodzie zaczął mnie obmacywać, całował, próbował mi rozpiąć spodnie. Wyskoczyłam, jak stanął na chwilę przed pasami dla pieszych”.

Kolejne informacje przychodzą nazajutrz. Z wpisów dwóch nastolatek, którym Wiachon załatwił pracę w Dream Clubie, wynika, że dziewczyny kołysały się na huśtawkach w samych stringach i stanikach i dostały za to po kilka setek. Potem miały się spotykać – również za pieniądze – ze starszymi facetami, których wskazywał im Krystian. Obie piszą, że odmówiły, lecz Joanna w to wątpi.

Czy ta policja jest ślepa?!

Nadal kwiecień. Gdańsk – Komenda Miejska Policji

Asia pokazuje Wioletcie Mazurek laptop i zgromadzone wpisy.

Oktawia: „Miałam 15 lat, jak poznałam w dyskotecę »Krystka« i on mi pożyczył 100 złotych na sylwestra. Potem chciał, żebyśmy z moją koleżanką Martyną odrobiły mu jako hostessy. Potem Martynę wywiózł do lasu. A do mnie pisał na Facebooku, czy mnie nie pomasować, bo ma własną salę kinową i chce, żebym oglądała z nim filmy. Napiszę zaraz Martynie, żeby też się do pani zgłosiła”.

Martyna: „Spotkaliśmy się pod moim domem w samochodzie, byliśmy umówieni tylko na przejażdżkę. Jedziemy tu i tam, aż on w końcu wjechał w jakiś las. Zaczął mówić: »Teraz to mi wiesz za benzynę, co ją przejechałem, ale możesz obciągnąć, a ci odpuszczę«. Mówię: »Czy ty jesteś jakiś nienormalny? Ja mam chłopaka i nie będę nic robić«. »No to zrobimy w gumce«. Zgasił silnik i powiedział, że możemy tu stać do rana, aż się zdecyduję. Zaczęłam płakać, prosić, by odwiózł mnie do domu. Odwiózł na koniec. Ale po tygodniu przyjechał do mojego ojca i zaczął mu kłamać, że ja chciałam to z nim zrobić za 100 złotych. Że biorę narkotyki. Ojciec go opierdolił i już nie było kontaktu”.

Kaja: „Boże, popłakałam się. To jest skurwiel. Ja go znam. Jak można tak krzywdzić niewinne dziewczyny? Historia tych wszystkich dziewczyn jest identyczna! On ma tę samą taktykę – praca jako promotorka klubu, bujanie się na huśtawkach. Nawet mi to proponował. Na samą myśl, że mogło mnie to spotkać, co Martynę, ręce mi się trzęsą i nogi. Czy ta policja jest, kurczę, ślepa?! On musi mieć znajomości w policji”.

– Szczególnie ten wpis o znajomościach „Krystka” policjantkę usztywnił – powie nam później Joanna. – Zaczęła mnie nawet straszyć, że ja się wtrącam do śledztwa, robię im utrudnianie, o coś ich niby oskarżam. „A tak” – powiedziałam. I zapytałam, czemu ten bydlak wciąż chodzi wolny. Odparła, żebym już poszła, bo ona ma na głowie też śledztwa w zupełnie innych sprawach.

15. AGNIESZKA I OLIWIA. UCIEKINIERKI

Wyjście zamknięte, głupia
Rok wcześniej. Popołudnie i wieczór 24 marca 2014 roku.
Puck, ulica Wejhera. Pogoda fatalna

Na pięćdziesięciocalowym ekranie seksbomby w obcisłych, skąpych sukienkach. Film porno made in USA.

Przed ekranem na długiej brązowej kanapie ze sztucznej skóry dwie dziewczyny – Agnieszka i Oliwia. Między nimi Krystian Wiachon w rozpiętej koszuli. Wciągnął już trzy kreski koksu, jest podniecony i rozgrzany, choć w zamkniętym dla postronnych dawnym klubie Blue Velvet – wcześniej znanym jako Stara Kuźnia – temperatura nie przekracza osiemnastu stopni. W dużym pokoju, prócz telewizora i kanapy z fioletowym neonem na szczycie oparcia, stoi jeszcze regał wypełniony filmami porno w pudełkach, sofa okryta czekoladową aksamitną narzutą i dwie nocne lampy. Jest chromowana rura do tańca i akcesoria sado-maso zawieszane przy ścianie. Na niskim stoliku – niedopita butelka wódki z Biedronki. Wąskie, kręcone schody prowadzą do górnej sypialni i do łazienki.

– Co na ekranie, to na tapczanie – „Krystek” powtarza to już któryś raz. I dodaje, że niedługo zabawią się we czwórkę, bo ktoś dołączy. Wkłada palce pod stanik Oliwii. Drugą dłoń wsuwa między jej uda.

Tego samego ranka obie dziewczyny wyszły z sopockiego domu dziecka przy ul. 23 Marca. Ale nie poszły, jak należy, do szkoły, tylko w odwrotną stronę – przejściem pod torami kolejowymi na Monciak. Padał drobny deszcz, a one miały na sobie tylko lekkie kurtki.

Krystian, którego poznały tydzień wcześniej na fejsie i który zaoferował im nocleg, nie kazał na siebie długo czekać. Czarne audi – prosto z myjni – zajęchało na deptak przed dawnym klubem Organica. Tu, gdzie się umówili. W samochodzie było ciepło i sucho. Ładnie pachniało. Śmiały się, że reszta frajerek z ośrodka siedzi teraz na lekcji matematyki, a one są na gigancie: zupełnie wolne i takie dorosłe, choć żadna nie ma jeszcze siedemnastu lat. Potem była droga przez Gdynię do Pucka i superobiad w McDonalddie: cheesburgery, frytki, lody. W Biedronce kupili jeszcze cienkie fajki dla Agnieszki, czystą wódkę, napój pomarańczowy i czipsy. Z muzyką wjechali we troje między mokre bloki i niskie domy nadmorskiego miasteczka. One, wciąż w świetnych humorach, dalej chichotały. Z błyszczącego wnętrza drogiej fury, z podgrzewanych foteli patrzyły na ponury dworzec autobusowy z zielonym szyldem Pomorskiej Komunikacji Samochodowej, na kobiety z siatkami i parasolkami, na skulonych uczniów w mokrych kurtkach czekających na autobusy do Rzucewa, Kłanina, Połczyna.

Było wczesne popołudnie, może piętnasta, gdy zaparkowali przed białym pawilonem z wysuniętym dachem nad wejściem. On wyjął klucze, wstukał kod i otworzył drzwi z kratą. Ta kratka trochę się Oliwii nie spodobała. Ale powiedział, że będą tu bezpieczne, i zamknął za nimi. Włączył pościelową muzykę, fioletowy neon i podświetlony obraz czerwonego kwiatu na ścianie. Proponował im amfę. A może to była koka? Żadna już nie kojarzyła szczegółów. Były najedzone, podjarane przygodą. Agnieszka zgodziła się na niucha.

Potem: kanapa, wódka, soczek, pierwszy film. Dymanie w amerykańskim więzieniu. Że niby strażniczki ze skazanymi, a potem strażnicy z więźniarkami. Ani Agnieszka, ani Oliwia nigdy nie były

w prawdziwym areszcie, ale obie zaliczyły już kilka izb zatrzymań i wiedzą, jak to wygląda w realu, kiedy się siedzi za kratą.

Oliwia zażyczyła sobie czegoś mniej głupiego, lecz okazało się, że w tym lokalu są tylko pornosy – i wtedy on puścił drugi, jeszcze głupszy, o dwóch blondynkach. A teraz zaczyna na nią dosłownie włączyć. Oliwii już nie jest wesoło, już nie chce jej się śmiać. A Agniecha, zamiast coś pomóc, powiedzieć, podciągnęła nogi na drugim końcu mebla i klepie sobie w komórce SMS-y.

Oliwka nie wie tego, bo jej telefon leży w torebce pod stolikiem, że koleżanka pisze w tej chwili właśnie do niej.

„To pojeb, zbok, spierdalamy”.

Tyle że jest już za późno na ucieczkę.

– Masz spełnić moje życzenie – Wiachon klęka nad wciśniętą w kanapę Oliwią, kolana zapadają mu się w miękkie obicie siedziska, ręka przy spodniach. Dziewczyna usiłuje się wcisnąć w szparę między oparciami. Wrywa sobie przy tym kosmyk włosów.

– Muszę natychmiast do łazienki. I zaraz przyjdę.

– Się pospiesz – on przybliży twarz do jej wystraszonej buzi, otwiera usta i jednym długim ruchem języka oblizuje usta, nos i oko. Śmierdzi mu z gardła jak przy anginie.

Torebka spod stołu, schody na górę, łazienka, klucz w drzwiach, światło. Roztrzęsiona patrzy we własne odbicie w lustrze. Dłonie zaciska na niezbyt czystej umywalce. Zimna woda na czoło i twarz. Dwa razy. Trochę jej lepiej. Zadzwoić? Ale do kogo? Rodzice mają ją w dupie, na numer dyżurny w ośrodku nie zatelefonuje na pewno. Nie wróci do Sopotu, żeby się z niej nabijali. Otwiera torebkę, wyciąga smartfon, czyta SMS-a od Agnieszki: „...spierdalamy”.

„Wyjście zamknięte, głupia” – odpisuje. Potem, nie otwierając drzwi łazienki, przykłada do nich ucho i usiłuje wywnioskować z dobiegających dźwięków, co się tam dzieje na dole.

Słyszy samochody przejeżdżające gdzieś blisko, niemal tuż za ścianami – i nagły, głośniejszy krzyk koleżanki. Treści nie rozumie, ale to na pewno Aga.

Gasi światło w łazience, uchyla drzwi na pół centymetra. O kurwa!

Typ ciągnie Agnieszkę za włosy po podłodze. Ona się zapiera, ale jest bez szans. W ośrodku nie raz dostawała łomot od którejś z silniejszych koleżanek. Regularnie zabierały jej fajki, bo była słaba. On też robi z nią teraz, co zechce. Oliwia nie ma wątpliwości. Widziała już parę razy, jak kolesie robią to z laskami na siłę. Gnojek przygniata głowę Agi do ściany, kolano wpycha jej w mostek. Ona wykręca głowę jak może, płacze i powtarza „nie chcę, nie chcę!” – ale ulega.

Oliwia boi się drgnąć. Myśli o tym, co teraz z nią będzie, przewiduje najgorsze i nie myli się. Dziesięć minut później, gdy Agnieszka drży skulona w kącie pod projektorem, Wiachon łapie Oliwię na schodach i gwałci.

Pierwszy proces

Marzec 2014 – kwiecień 2015 roku. Gdynia, Wejherowo i Puck

Wieczorem 24 marca „Krystek” uwolnił Oliwię i Agnieszkę z Blue Velvet. Nie tylko otworzył drzwi z kratą, ale jeszcze dał dziewczynom na taksówkę, żeby już sobie poszły. Pojechały do Gdyni, gdzie – z grupą nastolatków – zamieszkały na squacie. Ich koledzy pili, palili marihuanę, uprawiali seks i tak hałasowali, że w końcu zwrócili na siebie uwagę sąsiadów. Przyjechała policja, zaczęło się legitymowanie. Potem – dziecięca izba zatrzymań i przesłuchania w sądzie, z psychologiem i prokuratorem. Agnieszka opowiedziała o tym, co „Krystek” zrobił jej w Pucku. Oliwia potwierdziła jej słowa. Obie zapamiętały imię, wygląd gwałciciela i miejsce, do którego zostały zawiezione.

Identyfikacja sprawcy nie była trudna.

Jest koniec kwietnia 2014 roku, gdy troje policjantów jedzie na róg Wschodniej i Południowej w Śmiechowie. Zatrzymują radiowóz pod domem starego Józefa Wiachona. Odmalowaną na bordowo murowankę ochraniają wyrosnięte kundle. Nad wejściem biało-czerwona flaga. Syn gospodarza jest w środku.

Zatrzymanie przebiega spokojnie. Stary alkoholik i złomiarz coś mamroce, ale młody go uspokaja. Dowieziony do Prokuratury Rejonowej w Pucku składa zeznania. Tak, owszem, miał stosunki z dwiema dziewczynkami w Blue Velvet, ale żadnej do niczego nie zmuszał. Rozstał się z uciekinierkami w zgodzie. Jeszcze im przecież pożyczył 50 złotych na taksówkę.

„Oskarżony wyjaśnił, iż Agnieszka [w oryginale imię i nazwisko] się zniżyła i zaczęła »robić mu ustami dobrze« – zapisze potem prokurator Magdalena Benkowska. I dalej: „...następnie oskarżony wyjaśnił, iż chciał się poszkodowanej »spuścić do bużki«, ale Agnieszka nie chciała, jednakże »trysnęło« i »doszedł«. (...) Wyjaśnienia oskarżonego stanowią przyjętą przez niego linię obrony i stoją w sprzeczności z zeznaniami Agnieszki i Oliwii [w oryginale imiona i nazwiska], jak również z zeznaniami świadków [kolegów ze squatu], którym pokrzywdzone konsekwentnie relacjonowały zdarzenie będące przedmiotem niniejszego postępowania”.

Po przesłuchaniu prokurator Benkowska stawia „Krystkowi” zarzut z artykułu 197 paragraf 1: „Kto przemocą, groźbą bezprawną lub podstępem doprowadza inną osobę do obcowania płciowego, podlega karze pozbawienia wolności od lat dwóch do dwunastu”. Sąd obejmuje podejrzanego tak zwanym dozorem. Od maja Wiachon musi się co tydzień stawiać na wejherowskim komisariacie. Oddaje paszport, zostawia w depozycie 14 tysięcy złotych kaucji.

Pochodzenie pieniędzy na kaucję i łatwy dostęp do prywatnego klubu przy ulicy Wejhera nie są już przedmiotem śledztwa, które zresztą jest krótkie i niespecjalnie ciekawe. Analiza męskiego DNA z ubrań obu dziewcząt „nie wyklucza jego pochodzenia od wyżej wymienionego mężczyzny” – pisze biegły, który określa siłę dowodu jako „średnio mocną”. Pozostaje ustalić, czy podejrzanym jest poczytalny. Dwaj psychiatrzy stwierdzają, iż „nie jest upośledzony umysłowo ani nie cierpi na chorobę psychiczną”, co oznacza, że „może brać udział w toczącym się postępowaniu karnym”.

Proces rusza w kwietniu 2015 roku. Obrońcą „Krystka” zostaje mecenas Nicholas Cieslewicz.

Sopocko-gdyńsko-warszawska kancelaria Cieslewicz, Bartecki i Partnerzy zatrudnia około trzydziestu osób i ma w Sopocie siedzibę przy ulicy Bema odchodzącej od Monte Cassino niemal vis-à-vis Dream Clubu. W 2012 roku to biuro prawne – jako jedyna firma z Pomorza – zostało laureatem ogólnopolskiej nagrody Lider Zaufania. Statuetkę z rąk wiceministra gospodarki odbierał właśnie Nicholas Cieslewicz, który kilka miesięcy przed wzięciem tej banalnej sprawy w Pucku zdążył jeszcze odebrać nominację do nagrody „Profesjoniści” miesięcznika biznesowego „Forbes”. Wysoki, dobrze zbudowany kawaler przed czterdziestką, absolwent Uniwersytetu Gdańskiego, potem pracownik naukowy i wykładowca logiki na tymże uniwersytecie, jest współautorem książki „Łacińska terminologia prawnicza”. Nim podjął się reprezentacji Wiachona, z powodzeniem bronił tancerza celebryty Rafała Maseraka, który popiwszy w Toruniu, obraził policjantów. Teraz jest gwiazdą palestry, obieżyświatem, bywalcem strefy VIP pod markizą na dachu Zatoki Sztuki i facebookowym znajomym Marcina Turczyńskiego.

– Kiedy dostałem akta sprawy puckiej, od razu mnie zaciekawiło, jakim cudem prawnik tej klasy, z uznanej kancelarii w Sopocie, znalazł się w sprawie o zgwałcenie w jakimś kaszubskim miasteczku, gdzie ofiarą jest nastolatka z domu dziecka, a sprawcą notowany i karany niewykształcony syn złomiarza oficjalnie utrzymujący się z renty MOPS-u – powie nam później jeden z policjantów prowadzących śledztwo po śmierci Anaid Tutguszjan. – Trochę czasu mi zajęło zrozumienie, o co chodzi. Że facet, którego mamy w aktach jako samochodziarza i pasera, osiedlowy dresiarz, którego kiedyś przecweliły wejherowskie łebki, teraz ma wielkie plecy.

Pchają się same

Mecenas Cieslewicz, jak ustalimy, nie będzie jedynym adwokatem Wiachona w sprawie z Pucka. „Krystek” zatrudni także Pawła Giemzę – młodego i energicznego prawnika, który w rozmowie z nami wyrazi niezachwiane przekonanie, że „dziewczynki pchają się same”.

– One reklamują się w internecie, robią sobie profesjonalne portfolia, biegają na castingi, wciąż potrzebują pieniędzy, a zwykle nie są z zamożnych domów. Są zaniebywane, głównie emocjonalnie, przez matki, przez ojców, chłopaków swoich. Mają nieprawidłowe osobowości. Borderline i te rzeczy. A jednocześnie dla niejednej zrobienie loda to jest coś, jak dla nas podać rękę.

Poza Cieslewiczem i Giemzą Wiachon wynajmie jeszcze autorytet palestry – profesora Wojciecha Cieślaka. Byłego prokuratora, autora kilkudziesięciu prac naukowych, do niedawna szefa Katedry Prawa Karnego Procesowego i Kryminalistyki Uniwersytetu Gdańskiego, wcześniej obrońcę w procesach artystki Doroty Nieznalskiej i boksera Andrzeja Gołoty. To dzięki jego staraniom autorka pamiętnej instalacji „Pasja” została po ośmiu latach bojów prawomocnie uwolniona od zarzutu obrazy uczuć religijnych Polaków, a słynny bokser, oskarżony o pobicie spotkanego przed sopockim hotelem Haffner producenta reklam z Warszawy, nie usłyszał wyroku – sąd sprawę umorzył bez orzekania winy. Cieślak w imponującym stylu wygrał dziesiątki takich spraw.

– Jakim cudem Wiachona stać na usługi pana i jeszcze dwóch innych prawników? – zapytamy profesora jesienią 2015 roku.

– Nie płaci mi tak dużo, jak się może wydawać. W takich sprawach jestem w stanie obniżyć honorarium.

– W jakich sprawach?

– Uważam, że wobec tego człowieka media zaczęły polowanie z nagonką. Dlatego wziąłem sprawę. I proszę zaznaczyć, że płaci mi mój klient, a nie jego domniemani mocodawcy.

To samo powtórzy nam we wrześniu 2015 roku mecenas Paweł Giemza, znawca dziewczęcej psychiki. Wziął sprawę tanio z powodów marketingowych, ze względu na jej społeczny rezonans i medialny szum. Szum, który wszczął kontrowersyjny handlarz autami i zarazem wydawca internetowego tabloidu swego imienia Zbigniew Stonoga.

16. ZBIGNIEW. POLITYK

Jestem mamą zmarłej Anaid

Wtorek 12 maja 2015 roku. Warszawa-Białołęka.

Niebo lekko zamglone, ale jest ciepło i bezwietrznie

Były aktywista Samoobrony i niedoszły prawnik, skazywany wcześniej za drobne oszustwa i fałszowanie dokumentów, usiłuje właśnie stworzyć nową formację polityczną: Stonoga Partia Polska. Uważa się za współczesnego Janosika i pogromcę wszelkiej niesprawiedliwości. Na Facebooku ma ćwierć miliona fanów. W postach pisze o wszechobecnym układzie polityków, policjantów, sędziów i prokuratorów, który obiecuje zniszczyć. Wzywa swych sympatyków do informowania o wszelkich nadużyciach władzy, wymiaru sprawiedliwości, a przede wszystkim o błędach policji, której najbardziej nienawidzi. „Mordercy, kurwy, chuje, złodzieje, zasańcy” – tak ich określa w swoich wideoklipach i wpisach.

Miesiąc wcześniej próbował się włączyć w konflikt mieszkańców Legionowa z mundurowymi, który wybuchł, gdy przyłapany z marihuaną dziewiętnastolatek nie przeżył interwencji patrolu. Przed tygodniem w obecności własnej kamery Stonoga brutalnie zelżył szeregowego policjanta, który wjechał radiowozem na teren jego autokomisu. Za osobistego wroga uważa rzecznika Komendy Głównej Mariusza Sokołowskiego – nagrywa i wrzuca do sieci filmy, w których wyzywa go od najgorszych. Teraz zaprasza do siebie, do Warszawy, Joannę i Kamilę.

O śmierci Anaid i o policji, która nie chce prowadzić śledztwa, dowiedział się tydzień temu z listu Asi.

„Chcę Panu przedstawić sytuację, w jakiej znalazłam się po samobójczej śmierci mojej córki – napisała mi, za radą siostry Emilii, stałej czytelniczki „Gazety Stonoga”. – Do tej strasznej tragedii doprowadził bezkarny gwałciciel dzieci, który jest nietykalny dla policji, bo na pewno ma tam układy jakiegoś. Chociaż wiem, że zgwałcił i pobił moją czternastoletnią kochaną córeczkę, chociaż wiem o podobnych przypadkach, bo piszą do mnie skrzywdzone dziewczyny, chociaż podałam to w tym tygodniu na komendę w Gdańsku, podałam im adresy facebookowe ofiar, normalnie jak na tacy wszystko, to jednak ten bydlak ciągle chodzi po wolności i korzysta swobodnie z internetu, i się śmieje...”

Joanna liczyła, że Stonoga przyjedzie z kamerą na Orunię, ale on nie może się ruszyć ze stolicy. W samej prokuraturze dla Warszawy-Pragi ma ponad pięćdziesiąt spraw karnych, z których część sam zainicjował. Sąd kazał mu założyć na nogę elektroniczną bransoletę i zabronił opuszczania miasta. Asia musi więc pojechać do niego.

Jedzie z córką Kamilą i ze swoim znajomym Bartkiem, bo on ma samochód. Stonoga przez telefon pomaga im trafić pod bramę ogrodzonego srebrzystą siatką autokomisu na warszawskiej Białołęce.

Bartek od razu zaczyna przeglądać ceny zaparkowanych w czterech rzędach aut. Joannę i Kamilę właściciel placu prosi na zaplecze. Ma na sobie elegancką marynarkę, garniturowe spodnie, a na nogach włoskie pantofle z ostrymi noskami i czerwonymi sznurowadłami. Joanna – w sportowej kurtce i w butach do biegania – jest trochę stremowana. Gospodarz to dla niej gwiazda świata mediów, ktoś w rodzaju Tomasza Lisa. Stonoga czuje jej podziw – i jest w swoim żywiole. Jowialnie częstuje kawą z automatu, jeszcze raz przepytuje obie przybyłe, aby – jak mówi – upewnić się, czy wszystko dobrze

wyjdzie na nagraniu. Asia powtarza ze szczegółami to samo, co napisała mu na Facebooku. Przedsiębiorcę szczególnie cieszą informacje o beczynności gdańskiej prokuratury, o policyjnych sugestiach, jakoby Anaid i Kamila były galeriankami.

– Przesłuchiwali mnie w szpitalu psychiatrycznym, chociaż jeszcze jestem na lekach – mówi starsza córka. – Pytali, czy biorę prezenty od facetów.

– Niesłychane! Ale mnie to, proszę pani, nie dziwi ani trochę... To są kurwy leniwe te policjantki, prokuratorzki... im nie zależy na człowieku ani trochę, własne dupy tylko ochraniać, kwity wypełnić, śledztwo umorzyć i o piętnastej do domu! Oni tylko na polityczne zlecenia zapierdalają jak samochodziki.

– Czułam, że pan Stonoga w lot rozumie, o co tu chodzi – powie nam później Joanna. – Zapisał w brulionie numer telefonu Wiachona, który mu dałam, i jeszcze coś tam na nasz temat, a potem zaprosił nas wszystkich do swojego domu.

Willa Stonogi stoi kilka przecznic od autokomisu. W ozdobionym ikebanami i zielonymi jukami przestronnym salonie przedsiębiorca włącza kamerę. Prosi matkę i córkę, by patrzyły w obiektyw i opowiadały wszystko powoli, od samego początku. Bartek siada tuż przy nich, ale się nie odzywa. Zaczyna Asia:

– Jestem mamą zmarłej Anaid, obok mnie jest moja córka Kamila, jej siostra...

Każdy się kamufluje

Film internetowej Telewizji Stonoga pod tytułem „Pedofil zabija życie Anaid” pojawia się w sieci 18 maja i tylko pierwszego dnia ogląda go 40 tysięcy osób. Przez kolejne dwa tygodnie – ponad 200 tysięcy. I na tym koniec – gdy z początkiem czerwca biznesmen opublikuje na swym profilu akta tak zwanej afery podsłuchowej, administratorzy FB usuną mu konto. Policja dopilnuje, by stenogramy z knajpianych rozmów członków rządu Platformy Obywatelskiej znikły z sieci, a razem z nimi – pierwszy program poświęcony samobójstwu czternastolatki. We wszystkich serwisach, od YouTube’a po Wykop, pojawi się informacja „materiał usunięty” lub „materiał prywatny”. My – po kilku miesiącach starań – dostaniemy od Zbigniewa Stonogi kopię z twardego dysku jego domowego komputera. Nagranie ma piętnaście minut.

Joanna pod ikebaną:

– Moja córka była wesołą dziewczynką. Była kochana, miała dobre serce. Potrafiła nas rozweselić. Wszystkich nas zarażała wesołością. Dzień przed śmiercią spotkała się z Krystianem, który ją skrzywdził. Jest dużo dziewczynek, które on zgwałcił lub próbował zgwałcić...

Kolejna scena.

Autor filmu przed komputerem pali papierosa i telefonuje do Wiachona.

– Z tej strony Zbigniew Stonoga. Chciałem pana zapytać, jakie jest pańskie stanowisko wobec oskarżeń, jakie padają pod pana adresem.

Wiachon: – Ja byłem już w tej sprawie przesłuchiwany przez policję i powiedziałem wszystko, co wiem. Ja się spotkałem z tą dziewczynką na cztery godziny i nic złego nie zrobiłem.

Stonoga: – Ale co czterdziesto... prawie... letni facet robi przez cztery godziny z czternastoletnim dzieckiem? W ogóle pytam, jak doszło do kontaktu jej z panem.

Wiachon: – Przez Facebooka.

Stonoga: – I to się przeniosło na real, że tak powiem.

Wiachon: – No... dokładnie, dokładnie. Byliśmy na spacerze, rozmawialiśmy i byliśmy w Matarni, ona tam sobie upatrzyła legginsy. Jedyne kontakty fizyczne, jakie między nami był, to taki, że ona pocałowała swoją rękę i położyła mi na policzku.

Stonoga: – A dlaczego pan jej kupił legginsy?

Wiachon po drugiej stronie słuchawki dłuższą chwilę milczy. – Dlaczego? Bo była smutna i nie

wiedziałem, jak jej humor poprawić.

Stonoga: – Pan był wcześniej karany za przestępstwa seksualne?

Wiachon: – Nie, nie, nie, nie...

Stonoga: – I nie toczy się przeciwko panu żadne postępowanie w sprawie przestępstw seksualnych?

Wiachon: – Coś tam się toczy.

Stonoga: – Czyli spotykał się pan z nieletnimi dziewczynkami?

Wiachon: – Niejeden tak robi, tylko się każdy kamufluje. Tak po prostu jest na tym świecie.

Kolejna scena.

Stonoga do Joanny: – Jak wygląda śledztwo policji w sprawie śmierci pani córki?

Asia: – Stało i nic nie idzie do przodu. Ludzie, pomóżcie mi, proszę! Jeśli cokolwiek wiecie o Krystianie Wiachonie, jeśli zrobił wam kiedyś krzywdę, jeśli widzieliście, słyszeliście cokolwiek – bardzo proszę, żebyście pomogli, żebyście się odezwali.

Ostatnie minuty filmu: zdjęcie dziesięcioletniej Anaid w białym stroju aniołka, podniosła muzyka klasyczna i komentarz Stonogi z offu:

– Proszę państwa. Wiele rzeczy w życiu widziałem, wiele słyszałem, ale ten materiał sprawia, że nie jestem w stanie go obiektywnie ocenić. Myślę, że każdy, w kim drzemie przyzwoitość, sam wyprowadzi wnioski. Szokująca jest postawa prokuratury i policji w tej sprawie. I warto coś z tym zrobić. Apeluję do wszystkich: kontaktujcie się. Ta śmierć powinna być rozliczona.

– Dlaczego pan się zajął akurat tą sprawą? – spytamy sprzedawcę samochodów w październiku 2015 roku, na krótko przed wyborami parlamentarnymi, w których Komitet Wyborców Zbigniewa Stonogi będzie startował z hasłem „Zakończmy wyrzucanie człowieka na śmietnik”. – Przecież do pana zgłaszają się co tydzień dziesiątki ludzi i każdy ma tę najważniejszą, jedyną historię...

– Ooo... tysiące się nawet zgłaszają – biznesmen pokaże nam smartfon. Z informacji na ekranie wynikać będzie, że czeka nań ponad 12 tysięcy nieprzeczytanych wiadomości. – Możecie napisać, że wykazałem się instynktem dobrego reportera. Szkoda mi było tej matki. Jej rozpacz, bezradność przebijająca z wiadomości, którą do mnie napisała... Akurat trochę traf był, że jej wpis zacząłem czytać, ale kiedy zacząłem, to mnie historia wciągnęła. Chociaż to było wiosną, wtedy jeszcze nikt o tym nie mówił, nie pisał, nie słyszał. Dopiero potem zrobiło się głośniejsze... Ale ja się od początku połapałem, że tutaj jest drugie dno, że w tych sopockich klubach odchodzi handel żywym towarem, do tego dziećmi. Już po spotkaniu z matką Anaid przez kolegę z Gdańska znalazłem ochroniarza z jednego z klubów należących do tej spółki, co prowadzi Zatokę Sztuki. Facet mi powiedział, że do zamkniętej strefy w tym lokalu przychodzą najgrubsze ryby. Biznes, politycy z prawej i z lewej, ludzie znani z telewizji, takie nazwiska, że byście nie uwierzyli. Przyciągają ich drogie narkotyki, kokaina głównie – i bardzo młode dziewczyny. To jest wręcz wizytówka tego ich interesu. Ćpanie i małolaty. Ten ochroniarz miał mi się nawet dać nagrać w programie, ale w ostatniej chwili strach go obleciał. No to już jest skandal niebywały! Żeby ludzie się w państwie bali powiedzieć prawdę nawet anonimowo. Tym się powinni dziennikarze zajmować! I tym, że policja i prokuratura od lat na to pozwalają. Sopot to jest patologia. Dzieci są stręczone do seksu bogatym zbrodźcom, a prokuratora i sądy mają to w dupie. Wolą ścigać mnie.

Pracowałam w pokoju z widokiem na McDrive

Gdy film „Pedofil zabija życie Anaid” robi karierę w sieci, wpisy nastolatek pojawiają się na profilu Joanny jeden za drugim. Czasem co kilka godzin zgłasza się nowa dziewczyna. W sumie będzie ich pół setki. Z ich relacji wynika, że „Krystek” i Marcin Turczyński wspólnie zajmują się dziewczynkami, a niektóre z nich są oddawane sutenerom. Nie mając jeszcze piętnastu lat, stają się prostytutkami.

Iga: „[Wiachon] zabrał mnie i koleżankę do Pucka i tam poznałyśmy takiego Marcina, właściciela kilku klubów, który miał nas ocenić. Taka jakby rozmowa kwalifikacyjna czy coś. Tam, w tym Pucku, była sala kinowa, projektor na ścianę i telewizor. Proponowali nam drinki i tak dalej... wiadomo, do czego to szło. Ale my nie chciałyśmy pić. To nam powiedzieli, że pojedziemy do Sopotu zobaczyć, jak inne dziewczyny pracują. W Sopocie Krystian kazał nam zostawić telefony i rzeczy w swoim samochodzie. A potem, gdy chciałyśmy wracać do domu, powiedział, że mamy iść na noc do tego Marcina, bo jak nie pójdziemy, to nie oddadzą nam rzeczy. Więc poszłyśmy stamtąd same na SKM bez niczego, bez dokumentów i pieniędzy, i telefonów. Następnego tygodnia prosiłam Krystka, żeby oddał nam rzeczy. Umówiliśmy się w Wejherowie. Kazał mi wsiąść do auta i nagle w lesie: gaz do dechy. Zatrzymał się na jakimś polu i pyta: robisz loda czy chcesz się kochać? I jeszcze, że mogę sobie krzyczeć, ile chcę. I tak mnie nikt nie usłyszy. Zaczęłam płakać, pytać, czy tak lubi dziewczyny brać na siłę. Po wszystkim oddał mi rzeczy, ale ciągle dzwonił i mnie straszył: że mam patrzeć za siebie i że on wie, gdzie ja mieszkam”.

Michalina: „Poznałam go na portalu Fotka.pl i jak dziś pamiętam jego nick: »Krystian-śmiechow« i wielki uśmiech na zdjęciu z hostessami. Pojechaliśmy do Auchana na kawę i lody. Połaziliśmy też po sklepach i postanowił zrobić mi prezent, kupił kurtkę. Pochodzę z biednej rodziny, więc ta kurtka to był wtedy szal. Niestety, nie dostałam jej od razu. Zaczęliśmy się całować, a gdy przyszła już moja pora na pójście do domu, stwierdził: jak zrobisz mi loda, dostaniesz kurtkę. Nie zgodziłam się i wysiadłam z samochodu. Dalej utrzymywaliśmy kontakt, bo ciągle pisał do mnie, żebym się z nim spotkała, ale ja odpuszczałam. Wtedy poznałam innych podejrzanych ludzi, kolegów Krystiana. Przyjęłam ich propozycję i zaczęłam przyjmować facetów po mieszkaniach w Trójmieście. Pracowałam na Świętojańskiej 35 z taką Wiktoria, która miała ledwo czternaście lat. Mieszkała chyba na Chyloni. Ja miałam wtedy niecałe 15 lat. Potem zostałam przez tych kumpli Krystka oddana z Trójmiasta do Koszalina. Pracowałam w pokoju z widokiem na McDrive. Chyba ulica Niepodległości. (...)

Wiem, że Krystian dostawał kasę za każdą zwerbowaną dziewczynę. Szef tego interesu miał ksywkę »Bocian«. Dbał o każdą dziewczynę, zwłaszcza o jej bezpieczeństwo. Pracowałyśmy tylko, kiedy chciałyśmy, i przyjmowałyśmy tych, co chciałyśmy. Żadna z nas nie narzekała, a »Bocian« pomagał. Nawet jak któraś nie miała kasy albo chciała jechać do domu, to potrafił wyłożyć z własnej kieszeni. Z żadną z nas nie sypiał.

(...) Pewnego dnia przyjechałam do Władysławowa i łąząc z koleżankami spotkałam tego bydlaka Krystka. W czarnym luksusowym samochodzie, takim terenowym, z kremowymi siedzeniami. Pamiętam to jak dziś. Zaparkował i wysiadł z samochodu. Poznał mnie. Mojej koleżance Wiktorii zabrał telefon i powiedział że nie odda, póki ona nie zrobi mu loda. Na szczęście byłam pod ochroną »Bociana« i jak tylko do niego zadzwoniłam, to on zadzwonił do Krystiana i ten odczepił się ode mnie i od Wiktorii. Tylko że wcześniej Wiktoria zrobiła to, co on chciał – mam na to dowód, o którym ona nie wie. Chcę być anonimowa, bo mam sporo problemów w Polsce”.

Wszystko zarejestrowały kamery

Następny wpis jest opatrzony imieniem, nazwiskiem i adresem autorki. To wychowawczynie z Zespołu Szkół Gastronomiczno-Hotelarskich przy alei Legionów we Wrzeszczu.

„Kilka lat temu uczennica mojej szkoły została uderzona w twarz przez mężczyznę. Miało to miejsce na terenie placówki i byłam osobą, do której dziecko zgłosiło się po pomoc. Wezwałam policję oraz jej mamę i przesłuchano dziewczynę w mojej obecności. Zeznała wtedy, że mężczyzna, który ją uderzył, to Krystian z Wejherowa. Pokazała jego zdjęcie na portalu internetowym. Policjanci spojrzeli na siebie porozumiewawczo i miałam wrażenie, że znają tego człowieka. Uczennica mówiła, że oferował jej pracę w Dream Clubie na huśtawce i kusił wysokimi zarobkami. Woził ją samochodem, kupił spodenki.

Po jakimś czasie zaczął żądać od niej zwrotu długu. Nie odbierała telefonu, unikała spotkań. Finał był taki, że przyjechał pod szkołę, złapał ją za włosy i uderzył w twarz. Wszystko zarejestrowały wtedy kamery monitoringu. To, co mnie uderzyło, to stosunek policji z komisariatu we Wrzeszczu. Funkcjonariusze pytali mnie, czy dziewczyna nie jest prostytutką, sugerując wyraźnie podejrzenia, iż jest galerianką. Prawdopodobnie odesłali moją uczennicę z kwitkiem. Zastanawiam się, czy moja wiedza może być przydatna”.

Po nauczycielce wpisuje się – w ciągu trzech dni – pięć nastolatek. Jako piąta – Klaudia z Wejherowa. „Jest bardzo cwany. Przy każdej znajomości gromadzi dowody, żeby kogoś pogrążyć. Nagrywał podczas seksu, drukował nagie zdjęcia, widziałam te filmiki i foty”.

Joanna do Klaudii: „Znalazłam już dużo dziewczyn, które zostały skrzywdzone przez niego”.

Klaudia: „Wiem, teraz już wiem. Sam chciał, żebym przedstawiła mu moje ładne koleżanki. Wkleję pani zrzut rozmowy z nim, który mam od Soni, mojej kumpelki”.

Screen przychodzi niemal natychmiast, składa się z ledwie trzech wpisów.

Krystian Wi: „Jak lubisz, to ze mną wejdiesz do najlepszych klubów bez kolejki za darmo:). Przywiozę i odwiozę, jak będziesz chciała... Pracę mogę ogarnąć np. w weekendy, a zarobki od 15 do 75 zł za godzinę:)”.

Sonia: „No, nie brzmi źle. Tylko chodzi o to, że mnie to za bardzo nie interesuje”.

Krystian Wi: „A lubisz zdjęcia? Szukamy dziewczyn do kalendarza... można zarobić:), no i czasem do teledysków. Może masz ochotę obejrzeć jakiś film?”.

Pod ostatnim wpisem liczne emotikony, głównie pękate serduszka.

24 maja dziewczyna ukryta za profilem Kola Loka, pisze do Joanny: „Nachodził mnie, jeździł za mną i pisał. Mówił, że gdzieś mnie zabierze, pracę gdzieś załatwi w klubie. A ja mu stanowczo powiedziałam, że jest za stary i mógłby być moim ojcem. Ale się napraszał wciąż i oferował SMS-ami. Raz pozwoliłam, żeby odwiózł mnie z koleżanką z imprezy w Sopocie do Pucka, ale zapłaciłam mu. Potem chciał zszantażować, że to było za mało kasy i że mam mu oddać resztę z odsetkami. Ponad 200 złotych. A jak nie – spełnić jego życzenie. Wiadomo, jakie. Bo przyjedzie do rodziców. Ale koleżanka mnie ostrzegła, że jak zgodzę się na to, co on chce, to mnie nagra na telefon i będę musiała dla niego zarabiać na chodzeniu do łóżka ze starymi facetami. Więc mu odpowiedziałam, że może przyjsć do mojej mamy po pieniądze, bo ja 200 złotych nie mam i nie dam. Wtedy się odczepił. Ale moją koleżankę wciągnął w różne rzeczy”.

Ta koleżanka Kola Loka – Zuzanna – pisze do Asi jeszcze tego samego dnia późnym wieczorem: „Zmusił mnie na imprezie, żebym mu zrobiła dobrze w toalecie. Tylko raz. Ale potem szantażował mnie nagraniem w telefonie. Pisał, że jak nie zrobię tego, co on chce, to pokaże nagranie mamie albo mojemu chłopakowi”.

Idę na policję i zakładam sprawę

Asia Skiba czyta wiele podobnych dialogów. Skrzywdzone dziewczyny zaczynają się jej mylić, ich historie są powtarzalne. Niespodziewanie jednak wpisuje się osoba zalogowana na FB jako Nina Dominik. Z jej profilu wynika, że pracuje w nocnym klubie Just! w Łebie. Jest wysoka, atrakcyjna, lubi tatuaże, gorsety z podwiązkami, książkę „Pamiętnik lesbijki” i program „Warsaw Shore”. Pisze do Asi:

„Jest niemożliwe, żeby osobą opisywaną w tych wszystkich tekstach był »Krystek«. Ja go znam dobrze, on jest w porządku. To wszystko wygląda jak jakaś pomyłka albo ktoś celowo »Krystka« oczernia”.

Po Ninie Dominik na profilu Asi wpisuje się sam Wiachon – Krystian Wi:

„Po co pani niepokoi ludzi? Za życia córki się nią pani nie interesowała, a teraz zgrywa kochającą mamusię. Mogę przypomnieć o tym, co mi Ania opowiadała. A nawet mogę udowodnić, mam nasze

rozmowy na Facebooku. Mamuśka sobie na imprezki jeździła, a córki same zostawały bez opieki. Myślała pani wtedy o niej? Albo jej chłopak, który jej obiecywał różne rzeczy, a potem sobie na seanse nocne chodził? Nie miała nawet z kim o tym wszystkim porozmawiać, głupie 50 złotych na siłownię nie miała, gdzie pani wtedy była? Nie będę pani dowalał, bo to życia Anaid już nie wróci. Ale powinno to dać pani do myślenia, skąd bym o tym wszystkim wiedział. Na pewno też pani wie, że ona sypiała ze swoim chłopakiem”.

„Kłamiesz, bydlaku...” – Joanna odpisuje natychmiast. W kilku zdaniach wylewa z siebie złość i żal. Potem nie będzie mogła sobie przypomnieć, co konkretnie wystukała na klawiaturze. Na pewno ją poniosło – system Facebooka, prawdopodobnie na wniosek Wiachona, który musiał być w tej sprawie bardzo uparty, skasował wpisy. Zachowała się tylko riposta Krystiana:

„Jeszcze jeden taki komentarz i idę zgłosić na policję i zakładam pani sprawę”

Asia: – Po raz kolejny poczułam się kompletnie bezradna. Pan Stonoga daleko, a ten bydlak blisko i mnie straszy. Zadzwoiłam do TVN.

17. TOMASZ. REPORTER

Uwaga! To tylko dziecko

Orunia i Wejherowo, druga połowa maja 2015.

*Pochmurno i wilgotno, temperatura w granicach czternastu stopni,
wietrznie*

Materiał wyemitowany przez Stonogę ogląda Tomasz Patora, reporter TVN, dziennikarz śledczy, który przez wiele lat pracował w „Gazecie Wyborczej” i dał się zapamiętać jako współautor słynnego tekstu „Łowcy skór”. Razem z Marcinem Stelmasiakiem w 2002 roku ujawnili największą polską nekroferę, czyli ciąg zabójstw i handel zwłokami w łódzkim pogotowiu ratunkowym. Teraz – po przeczytaniu wiadomości, którą na skrzynce TVN-u zostawiła Joanna – reporter postanawia zająć się sprawkami Wiachona.

Wraz z ekipą, operatorem i dźwiękowcem, jadą na Orunię, by nakręcić materiał do cyklu „Uwaga!”. W mieszkaniu z widokiem na tory robią wywiady z Asią i Kamilą. Matka wspomina ostatnie minuty spędzone z młodszą córką i jej łyzy. Starsza siostra wyrzuca sobie, że w marcową sobotę, dzień przed tragedią, nie porozmawiała z Anaid.

Potem – na ławce w oruńskim parku przy torach – reporter rozmawia z Dominikiem. Chłopak samobójczynie mówi, że jeszcze przed jej śmiercią zadzwonił do Wiachona. – Powiedziałem mu, że mi to nie pasuje, ta znajomość mojej Ani z nim. Że ile on ma lat w ogóle? To zaczął się wymądrzać, coś tam, coś tam. Że „jak ona by nie chciała, tobym ją na siłę nie brał” i takie coś. Poprosiłem Anię, żeby go ze znajomych usunęła, ale potem podejrzałem na jej tablecie, że on pisał do niej wciąż dalej. „Kiedy zakupki?” i takie tam inne zaczepki. Pytam ją: „Co ty wyrabiasz”. Ania na to, że on do każdej dziewczyny tak pisze, ale ona mu nie odpisuje. Tak powiedziała. Ja jej mówiłem, że on jej zrobi coś złego. A Ania na to: „Nie... no co ty? Dziwkę ze mnie robisz?”.

Dalej reporter spotyka się z dziewczętami ofiarami, które pisały do Joanny na Facebooku, i krąży po Wejherowie, próbując dopaść „Krystka”. Odnajduje parterowy dom jego ojca.

– Wiachon był tam zameldowany, u starego, ale ustaliłem, że częściej bywa u matki, przy ulicy Sikorskiego – powie nam potem Patora. – Polowałem na niego trzy dni i dwa razy po połowie nocy. W aucie z przyciemnianymi szybami warowałem przed wejściem. I nic. Później się zorientowałem, że „Krystek” ma nietypowy tryb życia. Urzęduje w Trójmieście, a w Wejherowie pojawia się nad ranem i bardzo wcześnie wybywa. Po kilku godzinach snu. Dlatego mi umykał. Dorwałem go, bo trzeciego dnia, chociaż byłem zmordowany po nocnej warcie, ustawiłem się na Sikorskiego już o siódmej rano.

Film Patory: „Krystek” idzie chodnikiem, krok rozkołysany, jeszcze widać po nim, że kiedyś regularnie odwiedzał siłownię, ale już nie ćwiczy. Kark przygięty, policzki obwisłe, idąc je banana. Spodnie od dresu, sportowe buty na grubej podeszwie i ciasno opinający ramiona zgnięty blezer na suwak. Granatowa czapka z daszkiem.

– Dzień dobry. Tomasz Patora, telewizja TVN.

Wiachon ściska dłoń dziennikarza. Jest czujny, ale spokojny. Nie wie, że reporter ma na sobie dwa miniaturowe obiektywy kamer.

– Witam. Słyszałem, że pan mnie szuka.

– Po co właściwie się pan spotykał z Anaid Tutguszjan?

– Aaaa... wie pan co? Ja dwa razy w życiu na oczy widziałem tę dziewczynę. Poznaliśmy się na portalu internetowym.

– Wiedział pan, że ma czternaście lat? Czy może nie wiedział pan?

– Potem już wiedziałem. Piętnaście miała.

– Nie... miała czternaście.

– No w tym roku piętnaście, dobra... tylko że to były takie, typu bardziej, jak relacja siostry z bratem.

Ukryta kamera filmuje półprofil, ramię i buty Krystiana, chodnik i mijane domy z ogródkami. Wiachon

– jak się okazuje – idzie na dworzec kolejowy.

Patora: – Pan nie był jej bratem. Dlaczego pan nie poinformował mamy Anaid, że pan się z nią spotyka?

„Krystek”: – Bo Anaid miała zły kontakt z mamą.

– Skąd pan to wie?

– Od Anaid.

– Co pan z nią robił w sobotę 7 marca przez cały dzień?

– Spotkałem się. Anaid, z tego, co mówiła, chciała pożyczyć pieniądze. Widziałem, że była smutna.

– Co robiliście przez pół dnia?

– Nie pamiętam dokładnie wszystkich spraw.

– Często wywozi pan dziewczynki poniżej osiemnastego roku życia do lasu?

– Ja nie wywożę do lasu. Ja jeżdżę... zawsze pytam, gdzie kto chce jechać.

– I nie gwałcił pan dziewczynek?

– Nie.

– Czyli wychodziłoby na to, że przynajmniej pięć dziewczynek kłamie.

Patora nie wymienia imion Basi, Andżeliki, Aldony, Inki i Moniki, a Wiachon nie sprawia wrażenia zdziwionego określeniem „przynajmniej pięć”.

– Miałem wrażenie, że on rozmawiał, by się wywiedzieć, ile ja wiem – powie nam później Patora. – To niegłupi facet. Szybko myśli. Nie próbował być agresywny.

Przy końcu ulicy Sikorskiego Wiachon schodzi z trawnika i prowadzi podążającego za nim reportera przez zabłocone klepisko.

– Czy to jest jakieś przestępstwo spotkanie się z dziewczyną poniżej siedemnastego roku? – Krystian wyrzuca w trawę skórę po bananie.

– A pan uważa, że to jest normalne? – Patora po raz pierwszy unosi głos. – Skąd u pana ta pasja do spotkań z dziewczynkami?

– Widzę ładną dziewczynę, widzę, że jest miło, to się odezwę.

– Nie dziewczynę, tylko dziecko!

– Wie pan co? Zakończmy tę rozmowę.

Pani przyjdzie za tydzień

***Koniec maja 2015 roku. Gdańsk-Wrzeszcz i dzielnica Piecki-Migowo
zwana przez mieszkańców Moreną. Słonecznie, ponad 20 stopni***

– Mieliśmy się spotkać w sprawie pracy, tylko i wyłącznie, żeby omówić warunki, ewentualnie podpisać umowę – Patora słucha zwierzeń dwudziestoletniej dziś Andżeliki, tej, która na rozmowę o pracy koniecznie chciała założyć szpilki. Opowiada mu o gwałcie, do którego doszło pięć lat wcześniej nad sadzawką w Kalwarii Wejherowskiej. Siedzą na ławce w parku we Wrzeszczu, kamera pracuje.

Dłonie dziewczyny wyraźnie się trzęsą, więc zaciska je na kolanie. – Krystian powiedział, że pojedziemy gdzieś w jakieś spokojne miejsce. No i gdy wsiadłam do samochodu, wiedziałam, że jedziemy w kierunku Gdańska, ale on skręcił w stronę lasu. I gdy już się zatrzymał, to powiedział, że albo zrobię to, co on chce, albo do domu już nigdy nie trafię. Nie wiedziałam zupełnie, co mam zrobić...

Andżela zaczyna płakać.

– Zaczął dobierać się do mnie, rozrywać moją bieliznę, moje ciuchy...

Łkanie. Dziewczyna nie jest w stanie dokończyć zdania.

Kamera stop. Trzeba nagrywać ostatnią kwestię jeszcze raz. Andżela potrzebuje przerwy na papierosa. Gdy pali, Patora wyciąga tablet i pokazuje jej zdjęcia, które dopiero co zrobił w Wejherowie ukrytą kamerą. – To ten mężczyzna?

– Na pewno on.

Nazajutrz reporter i dziewczyna jadą samochodem TVN-u do prokuratury na Morenie. Betonowy kompleks mieści Sąd Rejonowy Gdańsk-Północ, prokuraturę dla Wrzeszcza, dla Śródmieścia i dla Oliwy. Patora wjeżdża na częściowo zadaszony parking. Potem są schody, lada z informacją, bramki z wykrywaczami metalu. Andżela jest wystraszona, ale obiecała, że się nie wycofa. Obecność kamery dodaje jej odwagi. Właściwy gabinet: brązowy regał pełen kodeksów, biurko z komputerem, godło i kalendarz. Umówiona wiceprokurator rejonowa Ewa Brudzińska podnosi się z fotela i podaje Andżelice dłoń. Patora jeszcze raz wyjaśnia jej krótko, co go tu sprowadza. Brudzińska podnosi słuchawkę służbowego telefonu.

– Zaraz poproszę prokuratora liniowego, aby spisał zeznania – mówi ciepłym tonem z domieszką chrypy. Andżelika kiwa głową – jest gotowa zeznawać. Prokuratorka wydaje krótkie polecenie, wezwany śledczy zjawia się po niespełna dwóch minutach. Zabiera młodą kobietę do swojego pokoju. Reporter jeszcze chwilę rozmawia z Brudzińską o „Krystku”.

– Może po kwadransie wyszedłem, żeby zapalić – powie nam pół roku później. – Idę z fajką, szukając okna, które dałoby się otworzyć – i co widzę? Andżelika czeka już na mnie przy wyjściu. Pytam ją, co się stało. A ona mówi, że prokurator nie spisał zeznań, tylko zanotował jej dane i kazał wrócić za tydzień, bo wtedy będzie psycholog. No żeż ty! Wróciłem natychmiast do prokuratorki i pytam: „Szanowna pani... co tu się dzieje? Wypuszczacie świadka po raz kolejny. Przyprowadzam wam wiarygodną osobę, która rozpoznała sprawcę gwałtu...”. Dopiero wtedy zawołała tego prokuratora ponownie i zaczęli spisywać zeznania. Ta akcja powiedziała mi najwięcej o tym, dlaczego Wiachon jest dotąd bezkarny.

18. MICHAŁ I SYLWESTER. AUTORZY

Wymiana przysług

Lipiec i sierpień 2015 roku. Wejherowo, Trójmiasto i Warszawa

Krystian – po obejrzeniu siebie samego w TVN – czuje się niepewnie. Bardziej od dziennikarzy boi się Ormian z grupy Tutguszcjana, którzy mogą dokończyć zemsty. Nie nocuje u matki, gdzie został zdybany przez Patorę, nie pokazuje się u ojca, nie widać go na Osiedlu Kaszubskim. Wynajmuje teraz pokój w willi przy ulicy 12 Marca – nieopodal pagórków Kalwarii Wejherowskiej. Ale po kilku tygodniach musi się wynosić i stamtąd. Właściciele stancji, którym ktoś podrzucił „Fakt” z artykułem o Anaid, wymawiają umowę najmu. Wyprowadza się do Bolszewa. Administracyjnie to wieś przyrośnięta od zachodu do Wejherowa. Praktycznie – przedmieście. Wzdłuż nieutwardzonych wąskich dróg o nazwach Polna, Szkolna, Długa i Główna mieszkają w większości starsi ludzie.

Marcin Turczyński też się niepokoi – Tomasz Patora, który już połączył „Krystka” z Art Investem, będzie robił drugi reportaż i chce się teraz umówić na wywiad. Zdradził, że interesuje go kierownik floty samochodowej Art Investu, były prezes Gastronom Mahiki pan Krystian Wiachon.

Tomasz Patora: – Po emisji pierwszego programu obdzwoniłem kluby Turczyńskich jako interesant, pytałem o „Krystka” i nigdzie nie usłyszałem: a kto to? Recepcjonistki mówiły: dziś go nie ma, ale jutro może będzie, ewentualnie: czy coś mu przekazać? Nabrałem pewności, jak działała wymiana przysług między Turczyńskim a Wiachonem. Krystian organizował młode dziewczęta na imprezy, a tamten dawał mu wszystko to, czego „Krystkowi” brakowało do łowów: pieniądze, samochody, wstęp do klubów, darmowe posiłki, drinki i noclegi.

TVN to zresztą niejedyny kłopot Turczyńskiego. W drodze są już kolejni dziennikarze śledczy z Warszawy. Sylwester Latkowski i Michał Majewski z serwisu Kulisy24 już zaczęli wydzwaniać do ludzi, którzy znają „Turka” z dawnych lat, i do tych, którzy obecnie bywają w Zatoce. Pytają o związki z Wiachonem.

Milczenie polityków

Sylwestra i Michała ściągnął do Trójmiasta Mikołaj Podolski, autor tekstu „Zostań moją dziwką”, który ukazał się na łamach „Reportera” 8 lipca.

– Poprosiłem ich o pomoc, bo trzeba było zwiększyć nacisk – powie nam później dziennikarz. W innej rozmowie doda bardziej szczerze: – Oboje z Martą Bilską uderzaliśmy głowami w mur obojętności i złej woli, byliśmy podłamani, szukaliśmy wyjścia.

Po pierwsze, Turczyński, którego istnienie Mikołaj uświadomił sobie dopiero po przejrzaniu rozsypanych notatek i fiszek – nie chce rozmawiać z „Reporterem” o Wiachonie. Jeden z podwładnych Marcina, menedżer Dream Clubu Jarosław Olszówka wysyła do Sochaczewa jedynie krótkie oświadczenie: „Na terenie klubu nigdy nie było żadnego niestosownego wydarzenia, w którym uczestniczyłby Pan Krystian. Pan ten sporadycznie miał dostęp do firmowych samochodów, ponieważ zawodowo zajmował się naprawami aut (...), miał też dostęp do samochodu firmowego, którym na co dzień jeździł Pan Marcin”.

Po drugie, publikacja tekstu „Zostań moją dziwką” – mimo mocy zarzutów i przekonania autorów o wielkości tematu – przechodzi bez echa. Żadne z poważnych czasopism nie podejmuje tematu.

Podolski: – Rozmawiałem z przedstawicielami trzech dużych trójmiejskich mediów. Pytałem, dlaczego nie chcą pociągnąć tej sprawy. Dwóch nie podało powodów, może mieli jakieś biznesowe relacje z Art Investem... nie chcę przesądzać. Trzeci odpowiedział mi szczerze: „Boję się”. Jak zrozumiałem z kontekstu, chodziło mu o strach przed gangsterami ukrytymi za lokalami w Sopocie.

Zdesperowany pisze także do znanego w Trójmieście dziennikarza śledczego Romana Daszczyńskiego z „Gazety Wyborczej”. I znowu – nic. Daszczyński właśnie żegna się z redakcją i nie ma głowy do łowcy nastolatek.

Po trzecie, aferą nie chcą się zająć politycy. Mimo że Szostak, Podolski i Bilka wysłali listy do nowo wybranego prezydenta Andrzeja Dudy, posłów, Prokuratury Generalnej, Rzecznika Praw Obywatelskich i Rzecznika Praw Dziecka. Napisali „Apel w związku ze zwiększającą się bezkarnością przestępców seksualnych”.

„W ostatnim numerze naszego magazynu opisaliśmy okoliczności wstrząsających czynów popełnianych przez 38-letniego Krystiana z Wejherowa, który według zdobytych przez nas informacji mógł dopuścić się co najmniej kilkudziesięciu przestępstw seksualnych na niepełnoletnich dziewczynach, również poniżej 15. roku życia. (...) Mimo to Krystian ani razu (!) nie został skazany ani sklasyfikowany jako przestępca seksualny, co pozwoliłoby ustrzec przed nim inne potencjalne ofiary. (...) Co jest jeszcze bardziej okrutne i wstrząsające, według ustaleń naszego dziennikarskiego śledztwa przestępstwa seksualne Krystiana miały być ledwie pierwszym etapem rekrutacji nieletnich dziewcząt do prostytucji – szantażem, groźbami i podstępem. Według informacji przekazanych redakcji magazynu »Reporter« mężczyzna ten od dawna sprzedawał dziewczyny do domów publicznych i do klubów z tańcem na rurze oraz oferował ich usługi zamożnym klientom dyskotek. Możemy dopisać, że nigdy, przy żadnym artykule, tak często nie odmawiano nam udzielenia informacji na temat podejrzanego jak w przypadku Krystiana”.

Podolski: – Napisaliśmy o przestępcach seksualnych w liczbie mnogiej, bo poza bezkarnym „Krystkiem” byli i inni. W jednym tylko miesiącu sądy wypuściły na wolność gwałciciela „Bolca”, tego samego, który skrzywdził kiedyś mamę Anaid, całe szefostwo gangu „Braciaków” – bydlaków, co tatuowali dziewczyny jako swą własność, i jeszcze fotografa ze Straszyna, zwyrodnialca, który wabił nastolatki pod pozorem robienia im sesji. Zaraz po wyjściu z paki znów zgwałcił. I co? I nic. Nikt z polityków adresatów nie zareagował na nasz apel. Na czterysta sześćdziesiąt rozesłanych maili dostaliśmy zero odpowiedzi. Słownie: zero. Dlatego razem z Martą poprosiliśmy Sylwestra i Michała. Na pierwszy mail mi nie odpowiedzieli, ale wysłałem drugi. Napisałem o Iwonie Wieczorek, o dwóch Krystkach, o całkowitej obojętności policji, o Marcinie Turczyńskim, który się ciągle przewija w opowieściach dziewcząt, a który uchodzi tutaj za człowieka kultury. Po trzecim mailu Michał wreszcie oddzwonił.

Uczciwi są bezradni

Sylwester Latkowski zawsze szukał kontrowersyjnych i mocnych tematów: mafia, grypsera, przemoc w blokach, skrywane skandale z życia gwiazd. Nakręcił film o ustosunkowanych pederastach, którzy bezkarnie łowią dzieci na warszawskim Dworcu Centralnym. Dotychczas szczyt jego kariery to stanowisko naczelnego tygodnika „Wprost”, gdzie Michał Majewski był szefem działu śledczego. W lutym 2015 roku obaj reporterzy zapozowali fotografom nad walizką z erotyczną bielizną, seksgadżetami i pornografią być może należąca do rozpracowywanego przez nich szefa „Faktów” TVN Kamila Durczoka. To zdjęcie przeszło do historii polskiej prasy. Durczok odszedł z telewizji, ale szef „Wprost” i jego najlepszy śledczy również stracili posady. Z pięcioma współpracownikami założyli

sieciowy serwis śledczy Kulisy24. Z podtytułem „Dziennikarstwo w służbie publicznej”.

– Początkowo byłem nastawiony do sopockiej historii Mikołaja sceptycznie, ale gdy rozpuściłem wici wśród informatorów, wszystko, o czym mówił i pisał, zaczęło się potwierdzać – powie nam później Majewski. – Wszystko oprócz związków „Krystka” z zaginięciem Iwony Wieczorek. Ale i bez tego było dużo materiału.

W połowie lipca Michał i Sylwester jadą do Trójmiasta przepełnioną autostradą Amber One.

Majewski: – Już po kilku spotkaniach wiedziałem, że ta historia ma gigantyczny potencjał. Policja i prokuratura dały ciała. Lokalne media – to samo. Radio, telewizja... w Trójmieście jest przecież silna prasa regionalna. Kompletnie zaniedbali tę sprawę. I jeszcze całe śliskie tło...

Latkowski: – Do Gdańska po wojnie zjechali ludzie, co musieli kombinować, by przeżyć, i tamtejsze elity kombinowanie po prostu wyssały z mlekiem matki. Jak zapytasz o przeszłość, słyszysz tylko: „Nigdy nie byłem karany”. Pewnie, że nie! W Trójmieście pewne sprawy nieczęsto kończą się wyrokami. Tu adwokaci spotykają się prywatnie z dziennikarzami, dziennikarze z prokuratorami, a wszyscy razem lubią zaszaleć w Sopocie, który jest znany z tego, że jeśli masz pieniądze i chcesz wyrwać sobie małodatkę, to dobrze trafiłeś. To wie się także w kręgach artystycznych, w kręgach biznesowych. Że powstały w ostatnich latach lokale, które takie rzeczy umożliwiają. Że jest przyzwolenie na takie klimaty. Że policja nie przeszkadza.

Między 15 i 20 lipca Michał i Sylwester rozmawiają z matką Anaid, z byłymi i z czynnymi policjantami, z bywalcami Zatoki i Makahiki. Zdobywają zdjęcia nastolatek huśtających się pod sufitem w Dream Clubie. Idą z fotografiami do kawiarni w Łazienkach na spotkanie z Turczyńskim. Ten częstuje wodą mineralną, cierpliwie słucha zarzutów, a potem – nieco drewnianym głosem – stwierdza, że dziewczyny polecane przez „Krystka” istotnie dostawały pracę w jego dyskotecce, ale – jak mówi – „wyglądały na pełnoletnie”.

Dziennikarze pytają, czy to prawda, że Wiachon bywał na firmowym jachcie Zatoki Sztuki. Turczyńskiemu trudno zaprzeczyć, skoro Joanna Skiba dała reporterom zdjęcie „Krystka” w charakterystycznej, wyłożonej egzotycznym drewnem kabinie. Wysłał je kiedyś jednej z dziewcząt jako dowód swoich możliwości i bogactwa.

– No cóż... – zaczyna Turczyński. – Ten pan raz dostał łódź do umycia, bo Zatokę odwiedzała ekipa telewizji 4fun.tv. Innym razem pomagał komuś przy transportowaniu łodzi do mariny w Pucku. I jeszcze, zdaje się, dwa lata temu, przez kwadrans, był na łódce z jedną ze swoich dziewczyn. To wszystko.

– A samochody? – dopytują Latkowski z Majewskim.

– Odprowadzał je nam do warsztatów, żeby klocki hamulcowe wymieniać i takie tam... Chyba jeździł też na myjnię.

– I mógł zapraszać dziewczęta na przejażdżki, bo nikt tego nie kontrolował.

– Panowie! – Turczyński macha ręką. – Ja tego pana osobiście ledwo znam. To jest człowiek z innego świata, nie mojego. On jedynie wykorzystywał mnie i moją reputację, żeby siebie uwiarygodnić. Zawsze gdy masz taki biznes, pojawiają się tego typu pijawki. Chyba to rozumiecie... Zresztą Zatoka Sztuki to nawet nie jest miejsce na jego portfel, nie jego styl, nie jego możliwości...

– Miał jednak cenną rzecz – Latkowski poprawia okulary na nosie. – Dostęp do bardzo młodych dziewczyn.

– Tu nikt, panowie, na takie rzeczy by się nie zdecydował!

– Oczywiście Turczyński kłamał. Niemożliwe, żeby właściciele klubu nocnego nie wiedzieli, że ktoś im przyprowadza czternastolatki, piętnastolatki... – powie nam trzy miesiące później Majewski. – Takie dziewczęta są dla tego typu lokali bardzo cenne, przyciągają klientów samą swą obecnością. A „Krystek” przyprowadzał duże ilości, dlatego mu też na wiele pozwalano. W Zatoce, w The Roof, było to samo. Dom kultury? Bez jaj! Nawet w trakcie tej naszej lipcowej rozmowy z Turczyńskim przy barze obok siedziała wyfiokowana dziewczyna po kilku operacjach poprawiających urodę i klęła do komórki jak

szewc. Menedżerka pewnego klubu na Monciaku powiedziała mi mniej więcej tak: „Krystian wchodził z czternastolatkami i piętnastolatkami i dziewczynom nikt nie sprawdzał dowodów. Przyprawdzał laski facetom około pięćdziesiątki”. Potwierdził mi to policjant. Z tego, co mi mówił, bogaty dewiant za noc z dzieckiem płaci ponad 3 tysiące. W Trójmieście działa system, a Wiachon był jego trybikiem. Wiemy z Sylwestrem o bogatym przedsiębiorcy, który dosłownie kupuje Sopot i który zaprasza na orgie z małolatkami zagranicznych gości. Policjant powiedział nam ładne zdanie: „Należałoby to miasto zbombardować, a potem jeszcze podpalić”. Bo ucziwi policjanci są tam bezradni.

Kasa za milczenie

Nim jeszcze Latkowski z Majewskim opuszczają Trójmiasto, do Mikołaja Podolskiego dzwoni mecenas Oskar Skibicki z warszawsko-sopockiej kancelarii prawnej Cogents. Przedstawia się jako prawnik Turczyńskiego.

– Z rozmowy jasno wynikało, że dzwoni, bo Marcin jest przerażony po spotkaniu z warszawskimi dziennikarzami – powie nam później freelancer. – Odniosłem wrażenie, że adwokat chce wy badać, ile wiem. Powiedział mi, że oświadczenie podpisane przez menedżera Olszówkę, to, w którym podali, że „Pan Krystian” i „Pan Marcin” używali wspólnego samochodu, wysłał jakiś, cytuję: „szeregowy wysyłacz maili”, i ono nie jest stanowiskiem spółki Art Invest. Potem reklamował mi Marcina jako człowieka wsławionego wieloma akcjami charytatywnymi i tłumaczył, że zawsze przy klubowym biznesie kręcą się sutenerzy. Stwierdził, cytuję z pamięci: „Nie obronimy się przed tym, choćbyśmy się nie wiem jak starali”. To wszystko brzmiało tak, jakby po rozmowie z Latkowskim oni się pogubili z nerwów. Bo jeszcze tego samego wieczora zadzwoniła do mnie jedna z poszkodowanych dziewcząt. Powtórzyła to, co wiedziałem już sam o „Krystku”, a potem, na jednym oddechu, mówi niepytana: „...ale Marcin Turczyński to jest zupełnie inny człowiek. On jest w porządku”. Po tej rozmowie byłem już pewien: oni się boją.

Majewski: – Jeszcze przed publikacją w Kulisach24 była seria telefonów od prawników i różnych tak zwanych znajomych naszych znajomych. – Dzwoniący chcieli nas przekonać, że należy zminimalizować rolę Turczyńskiego, Zatoki Sztuki i Art Investu. Odciąć to wszystko od Wiachona.

Latkowski: – Warszawka była bardziej przerażona niż Trójmiasto. Najwięcej telefonów mieliśmy stąd. Aż w końcu pojawił się osobiście pan z gotówką i propozycją „kasa za milczenie”. Pogoniliśmy go.

Artykuł Sylwestra i Michała „Trójmiasto. Seksualne wykorzystywanie dzieci” pojawia się w sieci 25 lipca. Jest mocny, jednoznacznie osądza Wiachona i nie oszczędza Turczyńskiego. Wpisy internautów pod spodem: „Krystek to zwyczajny alfons pedofilski ochraniający przez policję i prokuraturę, bowiem jego klientami są możni, bogaci i wpływowi. I to cała tajemnica”. „W Trójmieście wymknęło się to spod kontroli po samobójstwie dziewczynki. Nihil novi, wszyscy rączki już wycierają, nikt nic nie wie”. „Coś okropnego... a najgorsze w tym wszystkim jest to, że osoby, które powinny chronić te dziewczyny, przymykają oko i pozwalają temu zbrojcowi na takie działania. Mam nadzieję, że ten artykuł, zgromadzone materiały i dowody ukróć raz na zawsze ten proceder”.

Wiem, jak wyglądasz, a ty mnie nie znasz

31 lipca 2015 roku, piątek, wczesne popołudnie.

Konferencja prasowa na parterze gmachu Zatoki Sztuki. Sopot.

Tylko 16 stopni w cieniu, pochmurno i wietrznie

Najgorętszy od stulecia lipiec kończy się w Trójmieście tygodniem chłodów i deszczów. Wczasowicze masowo uciekają z Wybrzeża. Plaża za gmachem Zatoki Sztuki jest mokra, szara i pusta – jeśli nie liczyć pary starszych ludzi z psem.

– Nie wiemy, co musiało się wydarzyć, ale w ciągu kilku tygodni miasto uznało, iż instytucja, którą dotychczas Sopot się szczyił, stała się solą w oku – Natalia Turczyńska-Schmidt otwiera zieloną butelkę cisowianki bez gazu. W czarnej obcisłej bluzce, w dużych okularach i z rozpuszczonymi włosami jest gotowa do walki. Siedzi wraz z bratem i trójką współpracowników za długim białym stołem ozdobionym fotogramami z najbardziej kulturalnych imprez, jakie odbyły się przez ostatnie lata w Zatoce. Na zdjęciach koncerty, wernisaże, festiwale literackie i warsztaty plastyczne dla dzieci. Przed Natalią – tak samo jak na konferencji sprzed równo czterech lat – dziennikarze z Trójmiasta, ich mikrofony, dyktafony i kamery.

Po Latkowskim i Majewskim o gwałcieliu z Wejherowa napisały między innymi „Dziennik Bałtycki” i „Polska The Times”. Prezydent Jacek Karnowski udostępnił na swoim facebookowym profilu artykuł dziennikarki „Gazety Wyborczej” Katarzyny Włodkowskiej, w którym autorka opisała Wiachona jako bywalca Zatoki Sztuki i „współpracownika szefostwa”. Karnowski dopisał przy artykule własny komentarz: „To wszystko dzięki działaniu nieodpowiedzialnych ludzi chcących się nachapać, nie zważając na tragedie, do jakich doprowadzają. Sopot, a w tle »Krystek«. Zawsze jakieś gówno się przylepi”.

Poruszony historią prezydent nie poprzestał na wpisie. Ratusz wypowiedział Zatoce umowę dzierżawy kluczowego fragmentu plaży, czyli Beach Club. Przyczyna: skargi mieszkańców na hałas, sprzeczne z warunkami najmu zakończenie jednego z koncertów po godzinie dziesiątej wieczór i brak uzgodnienia z plastykiem miejskim elementów małej architektury na piasku – chodzi o słupy z głośnikami, ogródek gastronomiczny i drewniany podest.

Jakby mało było problemów z mediami i magistratem, szykują się kłopoty z policją. Adwokaci „Krystka” ustalili, że skazane na niepowodzenie śledztwo w sprawie przyczynienia się do śmierci Anaid to już przeszłość. W miejsce biurokratycznego ciągu rutynowych czynności ruszyło potężne, wielowątkowe dochodzenie dotyczące kilku, a wkrótce kilkunastu skrzywdzonych nastolatek.

Tego postępowania nie będą już prowadziły Wioletta Mazurek i jej koledzy z Komendy Miejskiej. Akta przejmą wyższe szarże: Agnieszka Nickel-Rogowska z Prokuratury Okręgowej w Gdańsku, która nadzoruje wciąż niezamknięte śledztwo po zniknięciu Iwony Wieczorek, i Ewa Pachura, naczelniczka wydziału dochodzeniowo-śledczego Komendy Wojewódzkiej w Gdańsku. Ludzie tej drugiej zapukają nie tylko do drzwi dziewcząt znalezionych na Facebooku przez Joannę Skibę. Poszukają też ich koleżanek. Odnajdą zgwałconą w apartamencie Zatoki Martę. Zeznania dziewczynki – o darmowym jedzeniu i alkoholu, o czekającym w Dream Clubie stoliku, o nocowaniu bez rachunku i oczywiście o seksie – będą fatalne dla Art Investu i Fundacji MCKA ZS. Inna nastolatka opíše narkotykową imprezę z udziałem „Krystka”, Turczyńskiego i nieletnich. Kolejna powie o stręczeniu i o tym, jak z pracy na huśtawce w Dream Clubie przeszła do pracy w burdelach.

Marcin Turczyński będzie musiał reagować. Razem z czterema mężczyznami przyjedzie na ulicę Wejhera i przez całą noc będą opróżniali Blue Velvet. Wyniosą meble, sprzęt grający, kolekcję filmów porno, projektor i ekran. Zerwą wykładziny, zdezynfekują zakamarki. To będzie koniec procesu zacierania śladów pod Wiachonie, który już trwa od jakiegoś czasu. Bo może i część zebranych na konferencji dziennikarzy słyszała o gwałcie w Blue Velvet, ale przecież nikt z nich nie wie, że Natalia Turczyńska przepisała zarządzającą tym przybytkiem spółkę T&C z brata Marcina na zaufanego współpracownika obojga rodzeństwa Rafała Fuhrmanna. Sam Marcin zrezygnował też ze stanowiska wiceszefa fundacji Zatoka Sztuki. I zakazał swoim menedżerom wpuszczania Wiachona do klubów Art Investu. Krystian dostał też bezwzględny zakaz pokazywania się pod domem Turczyńskich, gdzie wcześniej był częstym gościem. Odtąd ma omijać Puck wielkim łukiem. Natalia wie, że musi odciąć

spalonego już „Krystka” od rodziny, a swego brata schować. Już teraz, gdyby ktoś z popijających cisowiankę żurnalistów chciał sprawdzić – niemalże wszystko w imperium Art Investu jest zapisane na nią, nie na niego. I to ona wydała na Facebooku oświadczenie:

„Panowie Latkowski i Majewski rozpoczęli kampanię oszczerstw, której jesteście ofiarą. Nie znamy jeszcze motywów ich działania, ale zapewniamy, że nie pozwolimy nikomu zniszczyć tego miejsca [Zatoki Sztuki] i jego wizerunku. Od rana dochodzą do nas z mediów niepokojące informacje (...). W Zatoce Sztuki przez cztery lata jej działalności odbyło się ponad 300 imprez kulturalnych, warsztatów, wystaw. Wspólnie stworzyliśmy zupełnie unikatowe miejsce na mapie Sopotu, polskiego wybrzeża i Polski. Dziękujemy za wsparcie, jakie od Was dostajemy. To Wy wiecie, ile energii wkładamy w to, żeby Zatoka Sztuki była nie tylko animatorem atrakcyjnych wydarzeń, ale także miejscem przyjaznym i bezpiecznym. Prosimy Was o dalsze wsparcie i trzymajcie kciuki, aby wszystko udało się pozytywnie wyjaśnić! Wszystkie zaplanowane w Zatoce Sztuki wydarzenia odbędą się zgodnie z planem. Do zobaczenia!”.

Teraz Turczyńska-Schmidt bierze łyk mineralnej i mówi: – W tym roku nie było ani jednego zgłoszenia o łamaniu ciszy nocnej... Ten dom kultury to nie był biznes, który miał w dwa lata zarobić ogromne pieniądze. To był mój pomysł na życie. Zainwestowałam w to swoje kontakty i swoje oszczędności. Zaryzykowałam dwudziestoma latami mojego życia, żeby to stworzyć. A teraz próbuje się to zniszczyć.

Po siostrze mikrofon przejmuje Marcin. Ubrał się, jakby chciał, by go nie zapamiętano: w szarą koszulę bez krawata i nijaką marynarkę. Mówiąc, stara się nie patrzeć dziennikarzom w oczy, nie podnosić głosu i używać form bezosobowych: – Zrobiono nam rzecz straszną. Jednocześnie z wypowiedzeniem nam plaży pojawiły się doniesienia medialne łączące Zatokę i mnie osobiście z naszym byłym współpracownikiem. Zostałem zaatakowany w sposób haniebny, bezprawny i niemający nic wspólnego z rzeczywistością. Atak pana Latkowskiego i innych jest jakąś totalnie wymyśloną historią opartą na życiorysie jakiegoś człowieka, który przez moment z nami współpracował i nas wmanewrował w to wszystko. My przez agencję, którą do tego wynajęliśmy, rozszyfrowaliśmy w ostatnich dniach tysiąc internetowych kont, z których jest hejtowana Zatoka Sztuki...

– Turczyński jest mistrzem w kłamstwach, półprawdach, niedomówieniach i słownych manipulacjach, tu jednak ordynarnie przestrzelił – powie nam później Mikołaj Podolski. – Bo nie pojawiły się tysiące, ale co najwyżej dziesiątki, i nie hejterów wrogich Zatoce, tylko odwrotnie – pomocników Art Investu, którzy dezawuowali moje i Latkowskiego teksty. Założyli nawet profil „Ratujmy Zatokę Sztuki”. Atakowali na forum Kulisy24. O, tutaj mam skan, przeczytajcie: „Panie Latkowski! Robisz pan teksty na zamówienie i to nie jest tajemnica... Bydlę i dupa trzęsąca portkami jesteś, Marcin Turczyński to porządny człowiek, a ty bredzisz... poza tym przypomnę ci, że jesteś konfidentem i kryminalistą... opisz swoją historię, ty mały grubasku... nieszczęśniku, idź w swoją stronę i nie wracaj więcej”.

Gdy telewizyjna dziennikarka Karolina Korwin-Piotrowska udostępniła na Facebooku tekst Latkowskiego i Majewskiego z komentarzem „...jawne wykorzystywanie nieletnich. Straszne. Czytajcie, linkujcie...”, internauta o profilu Adam Nowak napisał do niej: „Posłuchaj uważnie, kurwo, dobrze ci radzę, usuń tekst o Sopocie i nie wpierdalaj się w nie swoje sprawy. To dobra rada. Chyba nie chcesz mieć problemów? Pisz sobie o swoich gwiazdach (...) Pamiętaj, że wiem, jak wyglądasz, a ty mnie nie znasz (...). Kiedy byłaś ostatnio w lesie? Masz usunąć ten tekst!!! Piszę to ostatni raz. I uważaj, bo nie wiesz, z kim tańczysz”.

– A tutaj mam reakcję na pierwsze publikacje w waszej gazecie – mówi Podolski i pokazuje skany z Facebooka Patryka Kowalskiego. Twórca agencji artystycznej Akant z Gdyni, były narzeczony pogodyni z TVN, który współpracuje z Zatoką Sztuki przy organizacji koncertów, pisze do Podolskiego tak: „Ktoś był twoim natchnieniem do tych działań. Ktoś ciebie motywował (...), gdy czytam twoje wypowiedzi, to sposób, w jaki się komunikujesz, podkreśla twój iloraz. Kto za tym stoi, Mikołaju Podolski? (...) ohydny układ Platformy”.

19. ANNA. PARTNERKA

Ofiara gangu sutenerów

Sierpień 2015 roku. Powrót upałów.

*Od Sochaczewa po Sopot temperatury w granicach 30-35 stopni
w dzień*

i ponad 20 stopni nocami

W Sochaczewie poziom Bzury pod zamkiem książąt mazowieckich opadł na tyle, że z wody wyszły kamienie. W redakcji „Reportera” przy ulicy Żeromskiego korektorka czyta po raz ostatni nowy tekst Podolskiego i Bilskiej z odważną tezą. We wstępie artykułu „Ofiara gangu sutenerów” autorzy napisali: „Dzięki naszemu dziennikarskiemu śledztwu wkrótce może się wyjaśnić sprawa najgłośniejszego zaginięcia III RP...”.

Z dalszych akapitów wynika, że alfons pedofil Krystian W., który „potrafi wciągnąć dziewczynę do samochodu wprost z ulicy, a jego domeną jest śledzenie, wywożenie do lasów i szantażowanie (...), kilkadziesiąt godzin po zaginięciu Iwony Wieczorek pojawił się w klubie na Monte Cassino nieogolony i w zwykłym, pomiętym T-shircie”. To do niego nie pasowało, bo dotąd zawsze zjawiał się w odprasowanych koszulach.

Inne przywołane w tekście poszlaki, które mają łączyć Wiachona z zaginięciem słynnej Iwony, są jeszcze słabsze. Do tego Podolski i Bilaska wchodzą w skomplikowany spór z detektywem Krzysztofem Rutkowskim, który już wcześniej ogłosił, że „młodszy z dwóch sopockich »Krystków« nie miał nic wspólnego z zaginięciem”. Marta i Mikołaj próbują jednak wytłumaczyć czytelnikom sprzeczności: „...sprawa Iwony jest piekłem. W tym piekle swoje kręgi mają pedofile, gwałciciele i dorabiający w klubach na bramkach policjanci. Sporo tu specjalistów od odwracania uwagi opinii publicznej. Są bogaci biznesmeni, a także zwolennicy rozwiązywania spraw poprzez sny i wróżby. Nie życzymy takiego piekła żadnemu dziennikarzowi ani żadnemu śledczemu. Nie mieliśmy jeszcze sprawy, w której aż tyle razy by nas zastraszano, okłamywano, poniżano na forach internetowych... Nam z tego piekła udało się wyjść z dwiema hipotezami: szanse, że ktoś ze środowiska obu »Krystków« mógł mieć związek z zaginięciem Iwony, wynoszą co najmniej 80 procent...”.

Drugiej hipotezy w tekście brak – najwyraźniej tekst został w Sochaczewie niezbyt fortunnie skrócony.

– W tym czasie byłem już w fatalnym stanie psychicznym – przyzna nam w grudniu 2015 roku Podolski.
– Za dużo się na mnie zważyło. Zepsuł mi się samochód, a ponieważ nie miałem pieniędzy na naprawę, musiałem się przesiąść na rower, którym jeżdżę do teraz. Na początku sierpnia do redakcji przyszła cała seria sprostowań...

Żądania sprostowania informacji i przeprosin podpisał pięćdziesięciodwuletni Leszek Grzymowicz, prezes Art Investu od 2013 roku, wcześniej nikomu nieznanym właściciel firmy gastronomicznej zarejestrowanej w domku jednorodzinnym na skraju Wejherowa.

– W jednym z pism oskarżyli mnie nawet o to, że zastraszam dziewczyny wskazane przez Joannę, nękam je telefonami i zmuszam do kłamliwego obciążania Zatoki wymyślonymi oskarżeniami. Rutkowski zwołał przed Krzywym Domkiem konferencję prasową, na której jeszcze raz zapewnił, że Wiachon nie ma nic wspólnego z zaginięciem Iwony, a nasze teksty są bzdurne. Po tej konferencji mama Iwony nie

chciała już ze mną rozmawiać. Dostawałem głuche telefony. W sieci pojawiły się informacje, że skoro mieszkałem w Wejherowie, to na pewno znałem wcześniej Wiachona i teraz mszczę się na nim za jakieś nasze osobiste sprawy. Że może chodzi mi o dawną dziewczynę, która wybrała jego.

Współpracownik Turczyńskiego Patryk Kowalski pisze do dziennikarza na FB: „Podolski! W mojej ocenie jesteś nieanonimowym oszustem. Chcę się z tobą spotkać. Brak spotkania to dowód na twoje kręactwa. Życzę zdrowia, a przede wszystkim powrotu do niego”.

Mikołaj: – Pewnej nocy zerwałem się z łóżka w gorączce i – jak mi potem powiedziała moja Ania – wrzeszczałem na cały blok: „Wypierdalać!”. Wydawało mi się, że jestem najbardziej poszukiwaną osobą w mieście. Że Kowalski chce mnie ściągnąć na spotkanie do Zatoki Sztuki, a tam mnie załatwią. Fizycznie. Że ktoś mi zawirusował komórkę. Że mnie obserwują na różne sposoby...

W imię Anaid

Anna jest zmartwiona stanem Mikołaja. Kilkakrotnie przekonuje go, by rzucił sprawę „Krystka”. Ten powtarza, że obiecał Joannie Skibie wsadzić Wiachona do aresztu, i musi się wywiązać z danego słowa. Jako mężczyzna. I w imię Anaid.

- Czy w imię Anaid zamierzasz zniszczyć swoje zdrowie, nasz związek i wszystko wokół?!
- Przestań, już tyle razy prosiłem!
- Popatrz na siebie, jak wyglądasz... Ja nie mam siły już z tobą walczyć, Mikołaj! Dzwoniła dziś twoja mama z Niemiec. Ona się martwi o ciebie.
- Ja się nie poddam, rozumiesz?!
- To chyba nie rozumiesz, co mówisz! Tracisz zdrowie, mnie martwisz, a Wiachon się śmieje!
- Już niedługo będzie bydlakowi nie do śmiechu!

Którejś z gorących, bezsennych nocy Mikołaj leży spocony w ciemnościach i czuje, że nie może wytrzymać napięcia. Idzie do kuchni, wypija w samotności kilka piw i siada do laptopa. Paląc sztucznego papierosa, pisze wiadomość do Krystiana Wi:

„Nie znasz mnie, »Krystek«, ale ja znam ciebie. Nie myśl sobie, że nic na ciebie nie ma. Po prostu niektóre rzeczy nie zostały jeszcze ujawnione. Jeszcze... Nie myśl sobie, że media skończyły. Że ja swój kontakt z mediami zakończyłem po ściągnięciu Latkowskiego z Majewskim. Nie myśl sobie, że mnie obchodzi, jakie masz plecy, ilu policjantów i prokuratorów w tym siedzi. Mam w dupie, ilu ludzi będzie chronić pedofilię i zmuszanie dzieci do prostytucji. To, co się dzieje wokół ciebie i twojego szefa Turczyńskiego, to dopiero preludium. Upadek burdelu o nazwie Zatoka Sztuki będzie wstępem do rozpierdolenia kolejnych klubów, jeśli nie zaczniecie mówić prawdy – jak zmuszaliście dziewczynki do robienia loda celebrytom. Masz dosłownie kilka dni ostatniej szansy, by zgłosić się do policjantów KWP i opowiedzieć im, jak było z Anaid. Jak było z innymi dziewczynami, które wywoziłeś. Jak było z Iwoną Wieczorek? Dostaniesz osobną celę i tylko kilka lat, jeśli powiesz o zleceniodawcach.

Chyba już wiesz, że jesteś skończony w całej Polsce, pozostaje ci odsiedzieć swoje i spierdalać za granicę.

Zgłoś się i powiedz chociaż raz w swoim zasranym życiu prawdę. Powiedz, dla kogo pracowałeś, kto ci to kazał robić i co się stało z Iwoną Wieczorek”.

Po wysłaniu tekstu na profil Wiachona Mikołaj z trudem – ale jednak – zasypia u boku Anny. Śni mu się, że jest na sali sądowej, co samo w sobie nie jest bardzo dziwne. Jako dziennikarz bywał na różnych procesach dziesiątki razy.

Nazajutrz do sądu w Płocku – właściwego dla sochaczewskiej redakcji „Reportera” – wpływa wniosek o ochronę dóbr spółki Art Invest. Pozwani: Podolski i Szostak, jego naczelny.

20. ŁUKASZ. SĘDZIA

O dobre imię

7 września 2015 roku, Płock. Budynek Sądu Okręgowego przy ulicy Teatralnej, dwieście metrów od wysokiego brzegu Wisły. Słonecznie i ciepło

– W przedmiocie wniosku powódki sąd postanawia zabezpieczyć roszczenia Art Invest, spółki z siedzibą w Sopocie... – w klasycystycznej sali o wysokich trójdzielnych oknach sędzia Łukasz Wilkowski dyktuje do protokołu orzeczenie. Przed czterema tygodniami dostał na biurko pozew nadany przez kancelarię prawną Cogents – Plocke, Skibicki, Dończyk.

Mecenas Michał Plocke to młody posiadacz tytułu Master of Business Administration, członek stołecznej Izby Adwokackiej i syn wieloletniego posła Platformy Obywatelskiej, byłego wiceministra rolnictwa Kazimierza Plockego. Plocke senior zwany jest w politycznym świecie Pomorza księciem, a czasem królem Kaszubów. Od lat jego znajomi obsadzają stanowiska w administracji państwowej. Plocke junior też ma sukcesy – w połowie sierpnia kancelaria Cogents wybroniła Zatokę Sztuki przed koniecznością natychmiastowego oddania miastu plaży. Prawnicy skutecznie dowiedli przed sopockim sądem „prawdopodobieństwa bezprawności wypowiedzenia umowy dzierżawy”. Gdy niebezpieczeństwo straty Beach Club, przynajmniej przed zimą, zostało oddalone, nadszedł czas na „Reportera” i teksty Podolskiego, z których najnowszy, już trzeci, nosi tytuł „Krystian W. może zatopić Zatokę Sztuki”.

W wysłanym do Płocka „pозwie wraz z wnioskiem o udzielenie zabezpieczenia” mecenas Plocke napisał w imieniu Art Investu:

„Zatoka Sztuki to miejsce o wysokiej renomie i prestiżu, rozpoznawane w Europie wśród znanych osobistości życia publicznego, artystycznego i show-biznesu, [tymczasem publikacje pozwanych] imputują, że istnieje bezpośrednie powiązanie pomiędzy Zatoką Sztuki i jej kierownictwem a przestępczymi działaniami Krystiana W. Pozwany Mikołaj Podolski wskazuje, że Krystian W. dopuszczał się czynów zabronionych w otoczeniu i przy wsparciu Zatoki Sztuki i jej kierownictwa. W publikacjach zasugerowano lub stwierdzono, że Zatoka była miejscem, w którym Krystian W. mógł dopuszczać się przestępstwa sutenerstwa (...), przez co przestępcza i niemoralna działalność była uwiarygadniana. (...)

Wielkość, ranga i ciężar gatunkowy zarzutów, sposób ich sformułowania, intensywność ataku na powódkę wskazują, że dalsza prezentacja spornych pomówień może zniszczyć doszczętnie reputację powódki, a także uniemożliwić jej dalsze prowadzenie działalności. Powódka od czasu zamieszczenia i na skutek wspomnianych publikacji otrzymuje od kontrahentów nieustanne korespondencje z wyrazami dezaprobaty, a także z zapowiedziami braku możliwości dalszej współpracy...”

Michał Plocke nie sprecyzował, o jaki „brak współpracy” tu chodzi, ale kulturalny świątek Trójmiasta już wie, że Zatoka straciła tego lata kilka prestiżowych imprez – między innymi finał festiwalu Literacki Sopot i cykl koncertów Sopot Classic. Wkrótce utraci także jesienny przegląd jazzowy i co gorsza – strategicznego sponsora. W gmachu przy Mamuszki 14 pojawią się za to wszystkie możliwe kontrole: strażacy, nadzór budowlany i Państwowa Inspekcja Pracy. Wykażą tak zwane nieprawidłowości – jak choćby przeciążenie dachu podczas dyskotekowych imprez w The Roof.

Ale to potem. Na razie sędzia Wilkowski kładzie przed sobą teczkę, z której wyjmuje „pозew wraz z wnioskiem o udzielenie zabezpieczenia”. Jeszcze raz czyta, co napisał Plocke junior, który wnosi o „...zabezpieczenie powództwa poprzez wydanie trwającego sześć miesięcy zakazu rozpowszechniania przez pozwanych w jakiegokolwiek formie twierdzeń oraz sugestii dotyczących powódki rozpoznawalnej jako Zatoka Sztuki, takich, że: • miała związek z przestępczymi i niemoralnymi działaniami osoby o pseudonimie »Krystek« • przestępcza działalność była uwiarygadniana przez Zatokę Sztuki • osoby zarządzające Zatoką Sztuki wiedziały o przestępczych i niemoralnych działaniach »Krystka« oraz na nie przyzywały • osoby zarządzające Zatoką Sztuki mogą posiadać skrywaną wiedzę na temat zaginięcia Iwony Wieczorek”.

Zabezpieczenie powództwa polegać ma na „wydaniu nakazu usunięcia na okres sześciu miesięcy przez pozwanego Janusza Szostaka z portalu e-reporter.pl materiału prasowego prezentowanego obecnie pod tytułem »Krystian W. może zatopić Zatokę Sztuki« autorstwa Mikołaja Podolskiego wraz z zamieszczonymi tam zdjęciami...”.

Sędzia zamyka teczkę, w której oprócz pozwu leżą kopie artykułów, a potem dyktuje protokolantce uzasadnienie wydanego właśnie orzeczenia:

„W ocenie sądu nie ulega wątpliwości, iż artykuły naruszają dobre imię powódki, [sugerując] że właśnie w jej lokalu mają mieć miejsce imprezy, w trakcie których świadczone są usługi seksualne czy też okołoseksualne o charakterze wręcz pedofilskim. (...) Bez wątplenia dla prowadzenia lokalu, w którym organizowane są imprezy o charakterze kulturalnym, edukacyjnym, społecznym (wernisaże, wystawy, recitale), niezbędne jest posiadanie odpowiedniej renomy, prestiżu i rozpoznawalności. Sugestie zawarte w artykułach owo szeroko pojęte dobre imię lokalu, a przez to dobro powódki, naruszają”.

Dlatego Sąd Okręgowy w Płocku, Wydział I Cywilny w składzie jednoosobowym postanawia „...zabezpieczyć roszczenie powódki w osobie spółki Art Invest poprzez zakazanie pozwanym Januszowi Szostakowi i Mikołajowi Podolskiemu rozpowszechniania w jakiegokolwiek formie [wzmiankowanych] twierdzeń oraz sugestii... (...) oraz usunięcie z portalu e-reporter materiału prasowego...”.

Bez pytania o zdanie

Podolski: – To było niewiarygodne. Sąd się zachował, jakbyśmy byli Białorusią. Nie stanął po stronie prawdy, po stronie gwałconych dziewcząt, nie zainteresował się ich krzywdą, lecz tylko ewentualnym uszczerbkiem na biznesie Marcina Turczyńskiego. W dodatku sędzia nie pytał nas nawet o zdanie, nie próbował ustalić stanu faktycznego, tylko uwierzył w pismo adwokatów Art Investu. Postępowanie w Płocku zrobiono całkowicie za naszymi plecami.

Przez kilka dni dziennikarz przygotowuje zażalenie na wyrok – pismo z potężnym uzasadnieniem i cytataми z internetowych spowiedzi molestowanych, gwałconych i stręczonych nastolatk.

Wysłanie tych materiałów początkowo niczego jednak nie zmienia. Sprzeciw „Reportera” będzie rozpatrywany przez sąd wyższej instancji, ale do tego czasu oboje z Martą Bilską mają powstrzymać się od pisania o Art Inveście i związkach Krystka z Turczyńskimi. Poza tym czeka ich jeszcze drugi proces. Plocke, Skibicki i Dończyk domagają się przeprosin i wpłaty 50 tysięcy złotych na konto schroniska dla zwierząt w Sopocie. Połowę miałby zapłacić Podolski, połowę jego naczelny.

Mikołaj: – Z jednej strony miałem temat roku i za wszelką cenę chciałem doprowadzić do aresztowania Wiachona. Ze względu na obietnicę daną mamie Anaid. Z drugiej strony – zakazano mi się tym zajmować.

W styczniu 2016 roku Sąd Apelacyjny w Łodzi uchyli płockie orzeczenie, a Podolski napisze dwa kolejne teksty, gdzie stwierdzi, że „Krystek” i Art Invest to tylko wierzchołek mafii sutenerów, pedofilów,

porywaczy Iwony Wieczorek, zepsutych biznesmenów i skorumpowanych policjantów „z kilku komisariatów w Trójmieście i okolicy”. Tytuł: „Naga prawda o seksbiznesie wśród elit”.

21. HESUS. KIEROWNIK

Bo rozpijali młodzież

Początek października 2015 roku, południe. Łazienki Północne

W Sopocie zanoszą się deszcz. W pustym o poranku gmachu Zatoki Sztuki Tomasz Patora nagrywa kolejny program. Marcin Turczyński niechętnie zgodził się usiąść przed kamerą, dziennikarz TVN przekonał go, że nie ma wyjścia. Mimo czasowego zwycięstwa w batalii o plażę sytuacja rodzeństwa pogarsza się. „Turek” sam ogłosił, że na „konflikcie z miastem i burzy medialnej” jego firma straciła 2 miliony złotych. Do tego sąd w Sopocie ukarał szefa Art Investu Leszka Grzymowicza z Wejherowa trzystuzłotową grzywną za to, że „jako prezes (...) odtwarzał głośną muzykę, czym zakłócił spoczynek nocny mieszkańców”. Kara jest śmieszna, ale orzeczenie oznacza, że skargi mieszkańców na hałasy – wbrew temu, co mówiła na konferencji Natalia – jednak były i miasto ma podstawę do dalszego nękania niechcianych najemców. Urzędnicy prezydenta już wezwali fundację MCKA do zamknięcia części hotelowej, klubokawiarni i działającego na parterze sklepu z odzieżą. A sam Karnowski udzielił dziennikarzom „Gazety Wyborczej” wywiadu, w którym opisał oboje Turczyńskich jako ludzi, którzy go oszukali.

„Mogliśmy oddać Zatokę właścicielowi Fabryki Trzciny, ale chciałem naiwnie, by poprowadził to miejsce ktoś od nas. A oni byli przecież z Pucka. Miała być instytucja kultury, w ofercie przetargowej była mowa o pokojach dla studentów w cenie 50 złotych. A nie 500 czy 800. Zrobili z tego klub z hostessami i z hotelikiem dla wybrańców. Byłem ze dwa razy w The Roof z gośćmi spoza Trójmiasta, którzy bardzo chcieli tam zajść. Widok morza, plaża z jednej, park z drugiej strony – to robi wrażenie. Tylko to towarzystwo... Czterdziesto- i pięćdziesięciolatkowie z dziewczynami na pewno nawet nie dwudziestoletnimi... Sam mam córkę i nie ma we mnie zgody na takie »klubowe przyjaźnie«, bo przecież wiadomo, o co tu chodzi... Turczyńscy byli sprytni. Oni krok po kroku, po cichutku, przesuwali granice – od instytucji kultury do tego, co mamy teraz. Że ich lokal ma tyle wspólnego ze sztuką, co sztuka mięsa. Że jest domem schadzek. Tolerowali pedofila dopuszczającego się gwałtów na nastolatkach. Rozpijali młodzież, obniżając na różne sposoby ceny alkoholu. A to pierwszy drink dla dziewczyny za darmo, a to leją szampana bez ograniczeń, bo są Ladies Nights... Należałoby może zapytać policję: dlaczego nigdy nie było nalotu na Dream Club?”

Brak kokainy a samopoczucie

Patora i jego ludzie rozstawiają dwie kamery, halogeny i ekrany do modulowania światła. Naprzeciw obiektywów obok byłego wiceprezesa fundacji MCKA ZS i obok menedżera Dream Clubu Jarosława Olszówki siada Dariusz Wojnarowski, ksywa „Hesus”, kierownik dyskoteki w Krzywym Domku. W odróżnieniu od spiętego i wyraźnie poszarzałego na twarzy Marcina jego nieformalny podwładny – potężny brodaty i obwieszony bransoletami mężczyzna – jest rumiany i wyluzowany. Zawsze był pewnym siebie ekstrawertykiem. Przed laty zamieścił na swoim Facebooku post: „Kurwa, zaczynam odczuwać pewien drobny problem, brak kokainy w organizmie powoduje złe samopoczucie”. Później – na YouTube – zawiesił filmowy wywiad z nastolatką. „Hesus” w bejsbolówce, dziewczyna w obcisłej

bluzce, oboje w dyskotece.

„On: – Jak u ciebie jest z oralnym, czyli z lodzikiem?

Ona: – W sumie dobrze, ale połykać jeszcze nie umiem.

On: – W szkole nie było tego tematu? Na religii?

Ona się śmieje.

On: – A facet co później z tym robi? Na twarz, na cycki? Bo cycki to masz duże, to chyba w cycki szło i wmasowywałaś dobrze...”

...i tak dalej. Nagranie ma siedem minut.

Teraz, na spotkanie z Patorą, „Hesus” nie założył bejsbolówki, lecz czarny filcowy kapelusz. Na rzemieniu u szyi ma oprawiony w metal kiel drapieźnika.

W drodze do prawdy

Reporter TVN: – Skąd się wziął w panów klubach Krystian Wiachon?

„Hesus” się tylko uśmiecha. Odpowiada Turczyński: – On był klientem większości klubów sopockich. Charakterystyczne, że on był zawsze człowiekiem uczynnym. Zawsze deklarował pomoc, nie upijał się, nie było z nim burd. Nie było podstaw, żeby mieć jakiegokolwiek zastrzeżenia do niego jako do klienta.

Pytanie dziennikarza: – I nie pojawiał się z nastolatkami poniżej piętnastu lat?

„Hesus” Wojnarowski: – Nie... On tak kręcił się po Monciaku, tu wszedł, tam wszedł, przeszedł się góra-dół... Ja go tak kojarzę... Przeszedł się, zobaczył, czy coś jest fajnego. I poszedł dalej w górę albo w dół Monciaka.

Patora do Marcina Turczyńskiego: – A jak to się stało, że Krystian został prezesem pańskiej spółki?

Turczyński: – Tak naprawdę znaleźć kogoś, kto jest w pełni dyspozycyjny, nie jest tak łatwo. (...) A ta spółka, której był prezesem, nie podjęła działalności. To była pusta spółka.

Patora: – Nie podjęła działalności, ponieważ sąd odmówił wpisania Krystiana do KRS jako karanego w przeszłości.

Turczyński milczy.

Patora: – Czy wie pan, że Krystian Wiachon proponował w pana imieniu pracę? Między innymi na huśtawkach w Dream Clubie? Powoływał się na znajomości z panem...

Turczyński: – Żaden z nas nie ma tego pana wśród znajomych na Facebooku. Nie wiemy, na co się powoływał.

Patora: – Ale udało mu się zatrudnić część dziewczyn w Dream Clubie czy nie?

Na to pytanie odpowiedzieć ma siedzący obok Turczyńskiego i „Hesusa” Jarosław Olszówka, młody blondyn o okrągłej buzi.

– Raz przyszedł z dziewczyną, przedstawił ją i zrobiliśmy normalną rozmowę kwalifikacyjną. Musiała przedstawić dokument. Nie miała tego dokumentu, ale ja się zgodziłem, fakt... – Olszówka krzywi się przed kamerą, jakby łykał coś zepsutego.

– Ci dwaj kolesie Turczyńskiego siedzieli jak gzymsy chyba po to tylko, żeby wziąć na siebie część winy i mu dodawać odwagi – powie nam później Patora. – Brałem pod uwagę, że będą mi chcieli coś wycinać przy autoryzacji, więc na wszelki wypadek ograłem ich wcześniej tak zwaną brudną kamerą. Mój człowiek po prostu sfilmował z aparatu naszą luźną rozmowę przed właściwym nagraniem. I Turczyński przyznał mi się, że Wiachon był przyjacielem jego rodziny, że woził mu dzieci na wakacje. A potem, jak to on ujął, wszystkich oszukał podle. To już i tak był postęp w drodze do prawdy, bo przecież przy poprzednich razach wypierał się znajomości, opowiadał jakieś dyrdymały o myciu przez „Krystka” samochodów i odwożeniu ich do warsztatu. A faktycznie byli dobrymi, zaufanymi znajomymi.

22. GRZEGORZ. KONSULTANT

Koki nie sprzedaje się chamom

Niedziela 25 października 2015 roku, godzina 20. Gdańska Starówka.

Wilgotno i wietrznie, temperatura – osiem stopni

– Śledztwo w sprawie doprowadzenia do śmierci Anaid i wścibstwo dziennikarzy ściągnęły na Turczyńskiego nowe problemy – mówi Grzegorz. Z byłym policjantem, a obecnie niezależnym konsultantem do spraw bezpieczeństwa spotykamy się w kawiarni Pi Kawa przy ulicy Piwnej.

Z wykształcenia prawnik, w policji pracował między innymi w zespole prawnym, przez jego biurko przechodziły raporty z wydziału narkotykowego, kryminalnego i wywiadu. Grzegorz dobrze wie, że byli i obecni trójmiejscy policjanci stali i nadal stoją na bramkach w sopockich klubach, gdzie sprzedaje się narkotyki. Wie również o tym, że jedni robią to na polecenie szefów, bo grają na dwa fronty i zbierają informacje; inni dlatego, by dorobić, bo nikt się nimi nie interesuje; jeszcze inni dlatego, że są skorumpowani, zaszantażowani albo wysługują się mafii narkotykowej z powodu – jak to Grzegorz enigmatycznie określa – zaszłości z dawnych czasów. Z czasów gdy w Trójmieście wybuchały bomby, gdy działał Klub Płatnych Zabójców.

Konsultant wie także i to, że sześć lat temu na Wybrzeżu pojawiły się – w kilkunastu transportach – wielkie partie kokainy. Jednym z importerów był pochodzący z podłej gdyńskiej dzielnicy Obłuże Artur Bugała, pseudonim „Artuś” i „Gruby”. Sprowadzał kokainę tonami, niewielką część tego udało się wychwycić. Funkcjonariusze gdyńskiej izby celnej znaleźli 118 kilogramów w bananach. Gdańskie CBS przechwyciło trzydzieści dwie kilogramowe paczki w fotelu samochodu. Potem było półtora kilograma na pokładzie statku wiozącego herbatę z Panamy, a jeszcze później trzy i pół kilo w profilach krzeseł sprowadzonych z Peru.

Grzegorz: – Większość towaru szła przez Trójmiasto tranzytem. Część jednak tu zostawała, jako zapłata za przerzut. Trzeba to było upłynnić. Co nie jest proste, gdy do sprzedania ma się, już po rozrzedzeniu, powiedzmy: 40 kilogramów. To kilkadziesiąt tysięcy jednorazowych transakcji... Jeżeli chcesz sprzedać taką masę porcji, a każdą po kilkaset złotych, musisz mieć przede wszystkim bardzo rozgarniętych dilerów. Bo koki nie sprzedaje się chamom, tylko ludziom sukcesu. Po drugie, musisz mieć kulturalne kluby – nie sprzedasz „białka” w barze z falafelami ani w dworcowej toalecie. Po trzecie, trzeba jakoś wyprać zarobione pieniądze, a do tego nocne kluby są idealne. Po czwarte, lokale muszą mieć mocną i pewną ochronę. Nie chodzi o mięśnie, tylko o układy w Trójmieście. Dlatego policjanci stoją przy szatniach. I wreszcie – trzeba zrobić taką atmosferę, żeby bogatym klientom chciało się niuchać i szaleć. Czyli muszą być panienki. I to nie stare kurwy, bo do burdelu możesz iść napruty wódką, a i tak cię przyjmą i jakoś tam obsłużą. Mają być młode laseczki. Takie, przy których faceci chcą znowu przeżyć młodość, chcą się wykazać. Więc muszą sobie wciągnąć.

– A co to ma wspólnego z największym problemem Turczyńskiego? – pytamy.

– Miejsca, gdzie chodzą drogie narkotyki, potrzebują dobrego PR-u. Tam się bawią adwokaci, reżyserzy, dyrektorzy ze spółek skarbu państwa. Takie lokale mają być modne i popularne, ale tylko wśród konsumentów. A nie, żeby tabloid jakiś czy telewizja pokazywały dane miejsce w kontekście śmierci samobójczej dziecka. Ci, którzy inwestują w ten biznes, mają prawo być niezadowoleni.

Szybka śmierć w areszcie

„Gruby Artur” Bugała już nie kręci narkotykowym interesem w Trójmieście. Poszukiwany latami przez Interpol wpadł w Hiszpanii w 2012 roku. CBS wydało wtedy krótki komunikat: „Artur B. ma na swoim koncie przemyt co najmniej tony narkotyków z Ameryki Południowej oraz oszustwa na dużą skalę. Mężczyzna poszukiwany trzema listami gończymi i europejskim nakazem aresztowania został zatrzymany w Maladze. W momencie policyjnej akcji poruszał się po mieście luksusowym Astonem Martinem wartym około 130 tysięcy euro”.

U boku – czego już komunikat nie ujmuje – miał towarzyszkę, była Miss Polski, matkę swego dziecka. Dowieziony do polskiego aresztu zmarł po trzech miesiącach – a raczej ktoś pozwolił mu umrzeć, by nie podzielił się ze śledczymi swoją wiedzą. Oficjalna przyczyna zgonu: upadek z pryczy i nieszczęśliwe zetknięcie czaszki z posadzką.

Obrońcą Bugały w Polsce był Nicholas Cieslewicz, późniejszy adwokat Krystiana Wiachona w sprawie o gwałt w Pucku.

Grzegorz: – A po Krystianie... i to dopiero jest ciekawe, on podjął się reprezentowania Armena Tutguszjana, ojca Anaid, jako poszkodowanego w sprawie wszczętej po śmierci jego dziecka.

– Czegoś tu nie rozumiemy...

Grzegorz: – Mecenase Cieslewicz, znajomy Turczyńskiego i były obrońca „Krystka”, przeszedł na stronę rodziny Tutguszjan, czym jawnie złamał kodeks etyki adwokackiej. Paragraf dwudziesty drugi mówi, że – cytuję – „nie wolno podjąć się prowadzenia sprawy ani udzielić pomocy prawnej, jeżeli adwokat udzielił wcześniej pomocy prawnej stronie przeciwnej w tej samej sprawie lub sprawie z nią związanej”. A paragraf czterdziesty szósty dodaje, że adwokat nie może reprezentować klientów, których interesy są sprzeczne, nawet gdyby ci klienci się na to zgodzili.

– Zatem po co komu taka ryzykowna operacja?

Grzegorz uśmiecha się, ale nie ma w nim wesołości. – Albo adwokat zrobił to z porywu serca, wzruszony tragedią Anaid, albo reprezentując Armena, zabezpiecza Wiachona przed dokończeniem zemsty przez kogoś z Ormian, albo realizuje wolę osoby trzeciej. Kogoś, komu zależy na dostępie – przez prawnika – do akt tej dużej sprawy. Kogoś, kto chce mieć wiedzę, co policja knuje.

Duża sprawa lub duże śledztwo – tak trójmiejscy policjanci określają prowadzone przez podwładnych Ewy Pachury dochodzenie w sprawie zmuszania do seksu, filmowania, szantażowania i stręczenia małoletnich i nieletnich, głównie dziewcząt z okolic Wejherowa i Pucka. Sprawa jest nazwana „dużą” i ze względu na liczbę pokrzywdzonych nastolatków, i w odróżnieniu od trzech spraw „małych”: zgwałcenia Agnieszki i Oliwii w 2014 roku Pucku, wcześniejszego o cztery lata gwałtu na Andżeli i doprowadzenia do śmierci Anaid Tutguszjan.

– Sądzi pan, że za Wiachonem i sopockimi klubami kryje się jakiś jeden Wielki Zły?

Grzegorz: – Raczej grupa, której on może nawet nie rozpoznawać.

23. REALIZACJA

Wszystkim się spieszy

*Od niedzieli 1 listopada do środy 4 listopada 2015 roku, Warszawa,
Sopot, Puck*

Dzień Wszystkich Świętych, godzina osiemnasta, Warszawa, ulica Czerska, krajowa redakcja „Gazety Wyborczej”. Grafik wlewa na pierwszą stronę główny artykuł poniedziałkowego wydania. Tytuł: „ZATOKA ŚWIŃ”. Podtytuł: „Łowca nieletnich dziewcząt, znany w nocnych lokalach Sopotu »Krystek«, od lat jest bezkarny”. Jeszcze niżej: opowieść o śmierci Anaid, o Wiachonie, o Turczyńskim i klubach, o kneblowaniu Podolskiego z „Reportera”, o umorzonych dochodzeniach w sprawie zgwałceń i o zgłaszających się wciąż na policję nastolatkach. Do tego opinie mecenasa Giemzy o dziewczętach, które „same się pchają” w ręce łowcy i jemu podobnych. Między godziną dziewiętnastą a północą kolejne strony „Wyborczej” spływają do drukarni w Warszawie, Pile i w Tychach, skąd – już na papierze – wyjeżdżają do tak zwanych zwrotnic w poszczególnych województwach. Tam pliki gazet łączone są w paczki z innymi tytułami. Powielony w przeszło dwustu tysiącach egzemplarzy artykuł „Zatoka świń” rusza w dalszą podróż. W poniedziałek nad ranem gazety pojawiają się najpierw na stacjach benzynowych, potem w kioskach, na biurkach urzędników Ministerstwa Sprawiedliwości i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, w gabinetach rzeczników, prokuratorów i komendantów policji.

– A my musieliśmy fruwać na wysokości lamperii, bo nagle wszystkim zaczęło się spieszyć, prokuraturze i naszym szefom – powie nam kilka dni później jeden z gdańskich kryminalnych zaangażowanych w „duże śledztwo”. – Odpowiednia ekipa już zaczęła za Wiachonem jeździć.

Naśle na was „Fakt”

Około południa 2 listopada rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, którego biuro wcześniej nie odpowiedziało na apel „Reportera”, zapowiada, że zajmie się sprawą sopocką.

– Zwróciliśmy się do Prokuratury Okręgowej w Gdańsku z prośbą, by przekazała nam informacje na temat zbadanych spraw wykorzystywania seksualnego, w których pojawiał się Krystian W. znany jako „Krystek” – mówi Piotr Sobota, naczelnik Wydziału do spraw Postępowań Organów Ścigania w Biurze RPO. – Wnioskujemy również o to, by prokuratorzy informowali rzecznika o obecnie toczących się postępowaniach dotyczących Krystiana W. Chcemy wiedzieć, na jakim są etapie. Z medialnych doniesień wynika, niestety, że dotychczasowe działania organów ścigania w sprawach zgłaszanych przez pokrzywdzone dziewczyny nie były wystarczająco intensywne i skuteczne.

W tym samym czasie do redakcji „Gazety Wyborczej” dzwoni mecenas Giemza. Jest roztrzęsiony. Ma pretensje o zacytowanie swych przemyśleń na temat dziewcząt, dla których „zrobić loda to jak podać rękę” i brak autoryzacji. Grozi: – Ja was potraktuję waszą własną bronią! Naślę na was dziennikarzy „Faktu”! Wy mnie niszczycie, to i ja będę niszczył!

Kilka godzin wcześniej na obserwowanej przez ponad dwa tysiące osób facebookowej stronie „Ratujmy Zatokę Sztuki” pojawia się oświadczenie twórców prywatnego domu kultury: „Mieliśmy nadzieję, że atak na nas już się zakończył. Niestety wczoraj w »Wyborczej« znów pojawił się artykuł szkalujący Zatokę, polecamy wszystkim przeczytać, bo jest to mistrzowskie połączenie nazwy i leadu (pierwsze zdania na czarno) z tekstem, który kompletnie nie dotyczy Zatoki. Sam tekst jest o nieudolności prokuratury, policji i umarzaniu spraw, zanim jeszcze powstała Zatoka! Czyżby czas nominować redaktorów Bożena Aksamit, Piotr Głuchowski do nagrody Hieny Roku? (...) W dalszym ciągu nie wiemy, dlaczego padliśmy ofiarą ataku, ale mamy jeden przekaz: nieważne, ile jeszcze razy zostaniemy zaatakowani. Nie boimy się, bo nie mamy sobie nic do zarzucenia w tej sprawie (...). Nie pozwolimy nazywać siebie, setek twórców sztuki i artystów, z którymi mieliśmy przyjemność pracować, oraz dziesiątków tysięcy gości i sympatyków świniami! Podjęliśmy już odpowiednie kroki prawne. Nie wierzymy, żeby »Gazeta Wyborcza« lub autorzy tego materiału mieli odwagę kiedykolwiek przeprosić. Wierzymy natomiast, że nadejdzie ten dzień, kiedy wszystko wróci do normalności, a układ, który stara się zniszczyć ZS, za to odpowie”.

Wzrok wbity w podłogę

Nazajutrz Krystian Wiachon zajeżdża taksówką pod otynkowany na beżowo kwadratowy budynek sądu przy ulicy Żeromskiego w Pucku, gdzie za chwilę zacznie się kolejne posiedzenie w sprawie gwałtu w Blue Velvet. Poprzednią wokandę oskarżony opuścił – jak mówi do kamer Paweł Giemza – z obawy przed nagonką mediów.

Teraz „Krystek” najwyraźniej chce, by go zobaczono. Może dlatego, że jest połową siebie. Twarz nieogolona, czarne spodnie ściągnięte paskiem dosłownie na nim wiszą. Podniszczone półbuty. Niemodna zielono-biała koszula pod swetrem. Idąc, garbi się i powłóczy nogą, choć jeszcze wiosną, gdy w drodze na wejherowski dworzec rozmawiał z Tomaszem Patorą, nie kulał. Także i latem – jak nam powiedzą policjanci – stawał się na posterunek i na przesłuchania w Gdańsku wręcz dziarsko. Teraz jest niemal umierający.

Ostrożnie przekracza próg przy wejściu. Wzrok wbity w podłogę. Tylko nieznaczne przechylenie głowy zdradza, że kątem oka obserwuje tych, którzy na niego czekają. A jest ich sporo. Poza siedzącym na ławce mecenasem Giemzą w ciasnym korytarzu na drugim piętrze sądu jest dwuosobowa ekipa TVN, dziennikarka „Faktu”, telewizja publiczna z Gdańska, Twoja Telewizja Morska z Władysławowa i Radio Gdańsk. Kamery, mikrofony, dodatkowe światła. Chociaż na zewnątrz wiatr i ledwo pięć stopni, pod salą posiedzeń na pierwszym piętrze zrobiło się już duszno.

Piotr Sawicki, reporter TVN24, pyta Wiachona, co go tak kręci w małolatach.

Odpowiedź: – A co pan widzi złego w spotykaniu się z dziewczyną?

Dziennikarz: – Po co się pan spotyka z dziećmi?

„Krystek” jest wyraźnie zirytowany warszawskim dziennikarzem: – Po co? Po co? Pocał to się nogi nocą!

Sawicki też w nerwach: – Spotykał się pan z czternastoletnim dzieckiem, które się przez pana zabiło!

– Nieprawda, że przeze mnie! Anaid miała piekło w domu. Nie miałem z nią żadnego zbliżenia, a tu mnie oskarżają o gwałt!

– Trudno wgrzyźć się w psychikę nastolatek, które spotykają się ze starszym mężczyzną – Paweł Giemza wstaje z ławki i próbuje ostudzić emocje. – Może liczyły na coś więcej, może kieruje nimi zawiedziona miłość?

Kolejne pytania zadaje Arleta Bolda-Górna z Twojej Telewizji Morskiej. Dziennikarka jest spokojną ładną blondynką, może dlatego Wiachon rozmawia inaczej.

– Policjanci z komendy wojewódzkiej chodzą za różnymi dziewczynami, naciskają je i zmuszają, aby zeznawały przeciwko mnie, dowiedziałem się tego od moich koleżanek – tłumaczy reporterce. – Przecież prokuratura sprawdzała wszystkie te oskarżenia mnie o gwałty i nic z tego nie wyniknęło, gdyby coś mieli przeciwko mnie, czy rozmawiałbym teraz z wami? Wie pani, że Anaid miała konto na portalu randkowym Badoo? Konto ze zdjęciami, gdzie napisała, że ma 25 lat? Czemu nikt nie bierze się za matkę Anaid? Nie wiem, czy mama jej nie zmuszała do takich rzeczy... Ona spotykała się jeszcze z kimś oprócz mnie, miała sporo kolegów w różnym wieku. Te dziewczyny współżyją i dają się nagrywać, a potem to są święte dziewczynki. A dziennikarze kłamią. Dużo osób jest najaranych przez mamę Anaid i jednego zawziętego redaktora.

„Krystek” ma na myśli Mikołaja Podolskiego. Pokazuje Boldzie-Górnej wydruk ze swego profilu facebookowego: „Nie znasz mnie, »Krystek«, ale ja znam ciebie. Nie myśl sobie, że nic na ciebie nie ma. Po prostu niektóre rzeczy nie zostały jeszcze ujawnione. Jeszcze... Nie myśl sobie, że mnie obchodzi, jakie masz plecy, ilu policjantów i prokuratorów w tym siedzi. Mam w dupie, ilu ludzi będzie chronić pedofilię i zmuszanie dzieci do prostytucji. To, co się dzieje wokół ciebie i twojego szefa Turczyńskiego, to dopiero preludium. Upadek burdelu o nazwie Zatoka Sztuki będzie wstępem do rozpiardolenia kolejnych klubów...”.

Nie pytajcie o pieniądze

Rozprawa zaczyna się pięć minut po dziesiątej. Ciasna sala przystosowana do góra dziesięciu osób jest pełna. Przewodniczy Izabela Frąckowiak-Aleksiejew. Spod togi wystaje jej kołnierzyk błękitnej koszuli.

Po prawej ręce sędzi Michał Kierski – niewysoki, krótko ostrzyżony brunet.

Jest jeszcze rudowłosa protokolantka i jeden świadek – Alina Obiezińska, była wychowawczyni Agnieszki i Oliwii z sopockiego domu dziecka, staje przed stołem sędzi i zeznaje: gdy w końcu marca patrol policji przywiózł obie uciekinierki zatrzymane na squacie w Gdyni, dziewczyny opowiedziały jej o tym, co działo się w Blue Velvet.

Gdy opiekunka zaczyna relacjonować przebieg gwałtu, sędzia wyprasza dziennikarzy.

Przesłuchanie wychowawczyni trwa jeszcze półtorej godziny. Po zakończeniu rozprawy Wiachon schodzi na parter, przytrzymując się poręczy.

Teraz mikrofon przysuwa Grzegorz Armatowski z Radia Gdańsk. Jest wyższy o głowę od „Krystka”, idzie bokiem, równo z kulejącym.

– Anaid Tutguszjan pan zna?

- Z tego, co wiem, to nie żyje.
- A pan się w ogóle czuje winny w związku z jej śmiercią?
- Nie, nie czuję się winny.
- Bo podobno to po kontaktach z panem ona się rzuciła pod pociąg.
- Po kontaktach z rodziną z tego, co ja wiem. Miała piekło w domu.
- Czyli nie ma pan sobie nic do zarzucenia?
- Nie mam.
- A co pan powie o zeznaniach tych dwóch dziewczyn z domu dziecka?
- Kłamią.
- Kolejne osoby, które kłamią...
- Dokładnie tak.
- Czyli to jest jakaś zмова? Dlaczego one kłamią?
- Niech się pan zapyta tych ludzi.

Na parterze „Krystek” wyciąga komórkę i przywołuje taksówkę. Dziennikarz zmienia ton: – Panie Krystianie, słuchał pan zeznań tych pokrzywdzonych. One jasno wskazują, że pan tak naprawdę doprowadził do tragedii.

– Nie słuchałem.

Wiachon wchodzi do męskiej toalety i zostawia dziennikarza na korytarzu. Po kwadransie prosto z ubikacji przechodzi do białej taksówki, ale nie odjeżdża. Patrzy przez szybę, jak reporterzy przepytują prokuratora Kierskiego i adwokata Giemzę.

Kierski: – Prokuratura okręgowa poprosiła o nasze, puckie akta, głównie o dowody rzeczowe związane z gwałtem w budynku na ulicy Wejhera. Oskarżonemu grozi do dwunastu lat więzienia. Według mnie materiał dowodowy jest bardzo poważny.

Mecenas Giemza: – Same zeznania dziewczyn nie są dowodem przestępstwa. Wierzę w pracę policjantów z komendy wojewódzkiej. Jakoś do tej pory mojemu klientowi nie postawiono zarzutów.

– Czyli zeznania pokrzywdzonych z domu dziecka są pomówieniem?

– Moim zdaniem tak, bo nie trzymają się kupy. Raz mówią, że zabrał im telefony, potem, że miały dwa, z których robi się jeden, i właśnie z niego esemesowały do siebie. To, że one tak zeznają, może być usprawiedliwieniem ich ucieczki z domu dziecka. A może przeżyły zawód miłosny? Jedna z nich w czasie ucieczki współżyła z chłopakiem... Czasami dziewczyny mówią: ona nie chciała, ale to zrobiła. Takich zgłoszeń jest mnóstwo, my w żargonie prawniczym mówimy na to „szyte sprawy”. Młode dziewczyny, starsi kolesie. One liczyły na coś więcej, są zawiedzione... Dlaczego wy, zamiast zająć się czymś poważnym, to zajmujecie się takimi tematami plotkarskimi?

– A pan czemu Krystiana reprezentuje?

– Ja klientów nie wybieram, to pan Krystian mnie wybrał.

– Ile panu płaci bezrobotny rencista?

– Proszę mnie nie pytać o pieniądze. Ta historia pokazuje przede wszystkim nierzetelność dziennikarską.

Mecenas w sieci

Jeszcze tego samego dnia mecenas Giemza pisemnie wzywa „Gazetę Wyborczą” do „zaprzestania publikacji” na jego temat.

„Artykuł »Zatoka świń« wywołał lawinę nienawiści w stronę mojej osoby – pisze. – Od wczoraj mam telefony z pogrózkami, wyzwiskami, jak i głuche telefony. Dotknęło to również moich najbliższych. W załączniku zamieszczam skopiowane treści niektórych komentarzy na mój temat, które zostały

sprowokowane”.

Wybrane i załączone przez adwokata wpisy z sieci rzeczywiście w większości są krytyczne, ale nie wszystkie. Internauta o nicku bomborek 83 pisze: „Taka jest jego robota, od tego są papugi. Jak sąd da mu wiarę, to wygra i wart będzie wysokiego wynagrodzenia”.

Renn.ie77 nie ukrywa oburzenia: „Obrzydliwe, co mówi dorosły, wykształcony mężczyzna, prawnik. Za coś takiego w UK wyleciałby z palestry, a ruchy feministyczne rozszarpałyby go na strzępy. Ostracyzm społeczny, całkowite zapomnienie i niewymawianie jego nazwiska. To mu się należy”.

Sarkafarka0: „Ten człowiek dehumanizuje ofiary swoich klientów. Za te słowa bez pokrycia w dowodach (a nie plotkach) powinien się spotkać co najmniej z ostracyzmem”.

Ktoś ze złośliwych znajomych adwokata wrzuca do sieci na YouTube nagranie zrobione telefonem parę lat temu. Giemza, wyglądający na nietrzeźwego, podrywa dziewczynę na dyskotece. Ona – wysoka, opalona blondynka z bależadem i ustami pociągniętymi jasną szminką – tańczy sama. On – w zielonej koszulce bez kołnierzyka i ciemnej marynarce – kręci się, podrygując wokół niej.

– Słuchaj, bejbe, powiem ci tak... Mam swoją siłkę i sto czterdzieści na klątę biorę. Pewnie chcesz ze mną iść na drinka do baru. Mam kasę i Paszport TVN-u. Jeżdżę golfem dwójką, a jak mi kolega pożyczy – to trójką też. Generalnie znam jednego dilerę, ale on nie zawsze może załatwić. Ale jak coś... to znam... nie? Z historii miałem trzy plus, a w podstawówce miałem czwórę. Nie chodziłem do gimnazjum, bo jeszcze wtedy gimnazjum nie było.

– To ty stary jesteś – blondynka, która dotąd niezmiennie patrzyła gdzieś w rozświetloną kolorowymi lampami przestrzeń, teraz pierwszy raz taksuje wzrokiem adoratora.

– Tak. Jestem stary. Kiedyś miałem włosy i dziewczynę. Mówiła, żebym uprawiał z nią seks oralny i tutaj mi się wytarło strasznie – Giemza gładzi się po zakolach. – Wytarło mi się od jej ud. Strasznie szorstkie miała uda. A ty co? Nie dasz się poderwać? Mam tu w lesie zaparkowanego mojego golfa.

Jak się Krystian rozliczał?

4 listopada, w środę, w sieci pojawia się oświadczenie Marcina Turczyńskiego

Skrót:

„Szanowni Państwo, w lipcu tego roku po raz pierwszy podjęto próbę łączenia mojej osoby z przestępczą działalnością Krystiana W. Od samego początku wiadomo było, że ta kampania kłamstw i pomówień wymierzona była w Zatokę Sztuki, którą współtworzyłem. Wielokrotnie przedstawiałem argumenty pokazujące kłamliwość rozpowszechnianych informacji. Jednak od dwóch dni »Gazeta Wyborcza« rozpoczęła ponowny atak opierając się na tych samych kłamstwach (...) Połączmy na siłę Krystiana W. z Marcinem Turczyńskim, a zniszczymy Zatokę. (...) Wszystko jest perfidną grą niedomówień i konfabulacji. Nie znam inspiratorów publikacji w »GW«. Nie pozwolę jednak na to, żeby kłamstwo zwyciężyło. Zatoka nie miała nigdy nic wspólnego z działalnością Krystiana W.”.

Pisząc te słowa, Turczyński wie już, że Majewski z Latkowskim namierzyli Martę, dziewczynę, która zeznała, że była zgwałcona przez Wiachona w budynku Zatoki. Że Wiachon wprowadził ją tam do pokoju, który miał do dyspozycji, wykorzystał, sfilmował seks, a potem pastwił się nad nią psychicznie. Turczyński wie to, bo reporterzy serwisu Kulisy.24 wysłali mu kilka nieprzyjemnych pytań. Pierwsze: „Czy Krystian W. został zarejestrowanym gościem apartamentów znajdujących się w Zatoce Sztuki, gdy był tam z 15-letnią Martą?”. Drugie: „Czy Państwo mają wiedzę, kim była towarzysząca pana W. i czy zostało to zarejestrowane przez obsługę?”. Trzecie: „Czy pan W. mógł spać w Państwa apartamentach bez rejestracji, np. jako współpracownik pomagający w kwestiach związanych z autami?”. Czwarte: „Jak

wyjaśnić, iż Krystian W., goszcząc w Państwa lokalu, nie płacił rachunków? Miał otwarty rachunek u Państwa? Może rozliczaliście się w inny sposób? Jeśli tak, to w jaki?”.

Turczyński nie odpowiedział.

Ucieczka nie ma sensu

Czwartek 5 listopada 2015 roku, Bolszewo pod Wejherowem

Grupa realizacyjna obserwuje przez poźółkłe krzaki jednopiętrowy dom z ogródkiem, gdzie Wiachon wynajmuje pokój i gdzie parkuje swoje ostatnie auto – srebrne audi na sportowych kołach. Wóz zaparkował przy domu kločku, jednym z setek podobnych.

Po słonecznym tygodniu nad całym Pomorzem wiszą chmury, noce są wilgotne i zimne – rankiem temperatura niewiele przekracza zero stopni. Skroplona mgła osiada na maskach trzech policyjnych samochodów bez oznakowań. To stąd, z Bolszewa, „Krystek” przyjechał na rozprawę w Pucku i tutaj wrócił białą taksówką. A policyjni tajniacy za nim.

Decyzja o zatrzymaniu zapadła wczoraj po południu. Na prokuratorów naciskali szefowie komendy wojewódzkiej – sami dociśnięci przez Warszawę. Główny argument przygotowany dla składu orzekającego o areszcie: zachodzi obawa mataczenia w śledztwie. Kryminalni odebrali sygnały, że ktoś już dociera do przesłuchiwanym dziewcząt. Ktoś je – być może w imieniu mocodawców Wiachona – straszy.

Prokurator Nickel-Rogowska długo wczoraj pracowała. Grupa z Trójmiasta wjechała do Bolszewa jeszcze w kompletnych ciemnościach. Trzy samochody stanęły – jak się to zwykle czyni przy realizacjach – na planie litery „T”.

Już się przejaśnia. „Krystek” w dzinsach i pikowanej czarnej kurtce wychodzi z domu, utykając. W rękach ma kule inwalidzkie. Wsiada do audi, kule kładzie na fotelu pasażera. Wyjeżdża tyłem na piaszczystą drogę wijącą się wśród ogrodzeń i krzaków. Po dwóch sekundach policyjny samochód ustawiony w podstawie „T” rusza z zaułka. Kierowca wciska ostro gaz – i już siedzi Wiachonowi na ogonie. Funkcjonariuszka na przednim fotelu uruchamia zainstalowanego wewnątrz kabiny koguta. Syrena startuje: uiiii-oooo, uiiii-ooooo!!!

Mieszkańcy uliczki dopadają do okien, by zobaczyć, co się dzieje. Wiachon widzi we wstecznym lusterku niebieskie rozbłyśki, słyszy wycie – ile to razy już go tak zatrzymywali? Pewnie kilkanaście.



Krystian Wiachon doprowadzony z aresztu na posiedzenie puckiego sądu w sprawie zgwałcenia uciekinierki z domu dziecka. W głębi prokurator Michał Kierski. Styczeń 2016

Wie, że ucieczka nie ma sensu. Wie, że gdy doda gazu, dwa auta zaraz zajadą mu drogę. Hamuje. Wyłącza silnik. Ręce kładzie na kierownicy, czeka. Policjanci w czarnych kamizelkach taktycznych, w kominiarkach i z bronią – otaczają go w kilka sekund. Gdy wyciągają na zewnątrz, robi na nich wrażenie zaskoczonego.

Bo jest zaskoczony. Adwokaci do ostatniej chwili zapewniali go przecież, że będzie dobrze. Że uda mu się wywinąć – jak zawsze.

Załogi z drugiego i trzeciego wozu są już na miejscu. Jeden z policjantów ma ze sobą kamerę. Dwaj odbierają „Krystkowi” gaz pieprzowy, telefon, chusteczki higieniczne, klucze, czerwoną smycz i kilka innych drobiazgów. Skuwają opartego o audi, chwilę przytrzymują, potem prowadzą do radiowozu. Wiachon na tylnej kanapie patrzy przez szybę, jak oficerowie w niebieskich rękawiczkach przeszukują bagażnik jego auta i sprawdzają, czy nie ukrył czegoś pod maską.

Po kwadransie ruszają w stronę gmachu Komendy Wojewódzkiej na Okopowej, skąd „Krystek” będzie dalej przewieziony do odległego o niecałe czterysta metrów budynku prokuratury przy Wałach. Tam już przygotowali zarzuty. Na początek: zgwałcenie Andżeliki w lesie między Górą Oliwną, Syjonem i Golgotą w niedzielę 16 maja 2010 roku.

24. LINIA OBRONY

Nie macie pytań?

Poniedziałek 9 listopada 2015 roku.

Kolejna konferencja w gmachu Zatoki Sztuki

Cztery dni temu „Duży Format”, reporterski magazyn „Gazety Wyborczej” – wydrukował pierwszy odcinek cyklu poświęconego związkom „łowcy z Sopotu” z rodzeństwem Turczyńskich. Dwa dni temu w „Gazecie” ukazał się emocjonalny komentarz Piotra Stasińskiego, zastępcy Adama Michnika. Tytuł: „A gdyby to była twoja córka?”.

„Przez nocne życie pięknego miasta płynie rzeka gnoju – napisał wicenaczelną „Gazety”. – Karmi i poi zbiorowego alfonsa, organizatorów nocnego życia. Dziewczyny mają być łatwe i tanie. Ze »złych domów« albo takich, gdzie nie ma ojca, matki czy tylko pieniędzy. (...). Wiele nie warto im obiecywać, same dużo nie dostaną, starczy, że otrą się o gości z grubą kasą. I mają nie podskakiwać, posłusznie zrobić loda, »żebyś, mała, wiedziała, że jesteś nic niewarta, jesteś zwykłą tanią dziwką, świnią«. (...) Tanie dziwki, dzięki którym się żyje drogo: drogie auta, drogie lokale, droga koka, a jak trzeba – drodzy prawnicy. Intratny interes, klientów z kasą pod dostatkiem, a skoro rekrutacja tania, to i marza bajeczna. (...) Zanim wzruszysz ramionami – że o co tyle krzyku, przecież te małe dziwki same się pakują w kłopoty, wsiadają do tych merców, audi i beemwic, pchają się do klubów, lgną do dzianych gości – pomyśl, proszę: a gdyby to była twoja córka, siostra, przyjaciółka?”.

Teraz radiowcy z Gdańska, wysłannicy dwóch pomorskich telewizji i lokalna prasa – wszyscy czekają, aż Natalia i jej brat usiądą za stołem. Marcin założył ciemną marynarkę, siostra – sweter z czarnej wełny. Weszła do pokoju w okularach, po chwili je zdjęła. Jest spięta. Wyczuwa atmosferę zupełnie inną od tej, jaka panowała w lipcu, gdy zbijała zarzuty ratusza w sprawie hałasów i zaśmiecania plaży reklamami. Reporterzy i komentatorzy już nie patrzą na rodzeństwo jak na ludzi kultury, którzy mają przejściowe kłopoty. Patrzą na nich jak na podejrzanych.

– Miło mi państwa powitać, szkoda, że w tak niemiłych okolicznościach – Marcin zaczyna z oczami wbitymi w papiery na blacie. – Bezpośrednim powodem naszego spotkania jest cykl artykułów w „Gazecie Wyborczej”. Naszym celem jest skłonienie państwa do refleksji i namówienie do zatrzymania się, rozejrzenia i oceny, czy nie jesteśmy wszyscy wmontowani w rozgrywkę, której celem jest przejście Zatoki Sztuki.

Pauza. Turczyński patrzy na dziennikarzy, z których większość zachowuje kamienne miny, a jeden – szczupły trzydziestolatek z kolczykiem w uchu – wyraźnie się nudzi. Jest stażystą, sprawa „Krystka” kompletnie go nie obchodzi. Kazali mu tutaj przyjść, to przyszedł – i nagrywa, co leci.

Marcin: – Czy ktoś z was widział w takim poważnym dzienniku jak „Gazeta Wyborcza” podobny artykuł? Ja naprawdę dużo czytam prasy światowej, ale też polskiej. Teraz mój świat się zawalił. To, co zobaczyliśmy w „Wyborczej”, to jest powrót do najczarniejszych czasów komunizmu. Ja myślę, że „Gazeta Wyborcza” sonduje inne media, jak daleko może się posunąć w tym zleceniu, żeby ktoś nie powiedział „sprawdzam”.

Turczyński mówi coraz szybciej i coraz wyższym głosem.

– Zatoka Sztuki to nie jest klub w lesie, to jest jedno z najbardziej rozpoznawalnych miejsc w Sopocie, więc próba budowania jakiejś organizacji przestępczej w oparciu o to miejsce jest totalną paranoją.

Bo nikt nie ma ani jednego dowodu, ani jednego faktu, a tylko są konfabulacje. Ja nie podejrzewałem Krystiana Wiachona, że jest przestępcą seksualnym. Do tego stopnia nie podejrzewałem, że pozwalałem, żeby woził moje dzieci. A później czytam w „Gazecie”, że pan Wiachon był przyjacielem domu, bo woził moje dzieci.

Marcin prostuje się w krześle, teraz głos zabiera Natalia. Zakłada z powrotem okulary, ciężko wzdycha.

– Jesteśmy centrum kultury. Wiele z waszych mediów było patronami dziesiątek, jak nie setek wydarzeń, jakie się u nas odbyły. „Gazeta Wyborcza” też była patronem naszych festiwali. Zatoka Sztuki jest pod stałym monitoringiem. To jest miejsce, gdzie się bawiły władze, gdzie rezydowali goście miasta. Gdzie „Wyborcza” robiła kilka swoich imprez. Tak jak Marcin mówi, nie jesteśmy w lesie, jesteśmy trzecim najczęściej odwiedzanym w Sopocie miejscem obok mola i Monciaka...

Pauza.

– W tej chwili ja i moja rodzina jesteśmy zastraszeni. Nie wiem, co się wydarzy. Nie wiem, czy w następnej „Gazecie” nie pojawi się zdjęcie któregoś z naszych dzieci. Czy nie pojawi się zdjęcie naszych rodziców? Skoro oni podali adres zamieszkania... Ja się obawiam, czy ktoś, kto stoi za tym – bo nie chce mi się wierzyć, że to jest pomysł „Wyborczej” – czy ktoś mi nie podrzuci narkotyków do samochodu. Ktoś może spowodować wypadek śmiertelny mój albo mojej rodziny...

Natalia przerywa. Widać, że albo jest skrajnie zdenerwowana, albo taką udaje.

Marcin: – Tu chodziło o to, żeby dać nam sygnał: możemy zrobić wszystko... To jest dokładnie to, co robili w komunizmie... Zauważcie, w historii naszego życia i naszych firm nie było ani jednego postępowania karnego przeciwko nam. Tak było w czasach komunistycznych, największym dowodem na kogoś było to, że nie ma na niego żadnych dowodów... No ludzie! Błagam: powiedzcie „Gazecie Wyborczej” – sprawdzam! Ta gazeta nigdy nie próbowała nikogo aż tak zastraszyć, stłamsić... Zniszczyli już moją rodzinę, odcięli ode mnie moich przyjaciół, odcięli ode mnie znajomych... zrobili najperfidniejszą zbrodnię, jaka może być. Bo oskarżyli o rodzaj przestępstwa, który w Polsce jest najbardziej piętnowany... zrobili to, wykorzystując jeszcze tego gnoja... przepraszam... Krystiana. Cholera wie, czy go nam nie podrzucili. Przepraszam... To się robi za pieniądze, to się robi za duże przysługi. Ktoś na kogoś ma po prostu bardzo dobre karty, że w ten sposób to się zaczęło. Komuś bardzo zależy na naszym miejscu w Sopocie i to musi być jakiś duży deal. Boję się, że lada dzień dostaniemy wypowiedzenie na ten budynek z jakiegokolwiek pretekstu...

Głos Marcina się rwie. Chwila ciszy. Nikt z dziennikarzy nie wykonuje żadnego przyjaznego gestu. Dwoje nalewa sobie herbatę, szeptem rozmawiają o cukrze. Turczyńskiemu trzęsą się ramiona.

– To emocje. Przepraszam. Będziemy wnosić do „Gazety Wyborczej” o naruszenie dóbr, o odszkodowanie, o sprostowanie, o zabezpieczenie dalszych publikacji... Ale to wy macie możliwości. Niech ktoś z was powie „sprawdzam” „Gazecie Wyborczej”. Bo oni są bezkarni. Oni byli tak wielcy, że uwierzyli, że każde małe medium im nie podskoczy.

Czas na pytania.

Dziennikarz: – Na jakiej zasadzie Krystian funkcjonował w Zatoce Sztuki?

Turczyński: – Prywatnie był tu dwa-trzy razy, może cztery... Zawodowo jego rola polegała na tym, że przyjeżdżał, brał klucze albo przywoził coś... i to były takie... zjadł obiad i pojechał. On nie żył życiem Zatoki, on nie uczestniczył w życiu Zatoki, on jeśli był tu, na plaży... go kojarzyli dwa razy w całej historii. Kilka razy był na naszej motorówce, za każdym razem przy świadkach i przy innych osobach, jako majtek albo ktoś do pomocy. Raz był z dwiema dziewczynami do posprzątania. Pokój wynajął dwa razy dla kogoś... z czego ani razu nie nocował tutaj.

Turczyński robi dłuższą przerwę. Wszyscy w sali milczą. Marcin zabija ciszę wybuchem nerwowego śmiechu: – No... błagam was... Bo ja muszę wyrzucić z siebie... a ludzie nie pytają.

Cisza.

– Naprawdę nie ma pytań?

Cisza. Czterdzieści pięć minut minęło. Dziennikarze się wiercą, jedni nalewają sobie darmową kawę, inni wybrali wodę gazowaną. Reporterka z pierwszego rzędu wysyła i odbiera SMS-y.

Turczyński kończy: – Ja nie mam sobie nic do zarzucenia, moja siostra nie ma sobie nic do zarzucenia, kontaktujcie się z nami.

Nikt nie sprawia wrażenia, aby był zainteresowany kontaktem. Relacja z konferencji nie przebija się w żadnych wiadomościach, nawet lokalnych. Za to w „Wyborczej” ukazuje się wywiad z prezydentem Sopotu.

Karnowski: „Zatoka Sztuki to zwykły dom schadzek. Ma tyle wspólnego ze sztuką, co sztuka mięsa. Miała być instytucją kultury, a jest imprezownią. Moje wstępne zarzuty są trzy. Po pierwsze, łamanie ciszy nocnej. Po drugie, samowola budowlana, czyli zainstalowanie klubu The Roof na dachu i zabudowywanie plaży reklamami alkoholu. Po trzecie, prowadzenie usług hotelarskich. W miejscu, gdzie miały być pracownie i rezydencje dla ludzi sztuki, są luksusowe apartamenty do wynajęcia przez Booking.com. O gwałtach już nie wspomnę. Nie ma mowy, by takie rzeczy zdarzały się w lokalu dzierżawionym od miasta. Nie będziemy tego tolerowali”.

Magistrat wzywa Fundację MCKA ZS do likwidacji „części hotelowej i klubokawiarni” na dachu ze skutkiem natychmiastowym. W połączeniu z żądaniem zwrotu plaży – to może oznaczać koniec Zatoki Sztuki w tym miejscu.

Turczyński postanawia zagrać *va banque*.

Można zgarnąć 50 tysięcy

Czwartek 12 listopada 2015 roku. Patio budynku Zatoki Sztuki.

Słonecznie, bezwietrznie, czternaście stopni w cieniu

– Szanowni państwo. Zatoka Sztuki stała się po raz kolejny obiektem ataku ze strony „Gazety Wyborczej” – „Turek” nagrywa film. Siedzi przy białej niskiej ławie. Za nim widok na morze i statek w oddali. Przed nim coś, co z daleka przypomina zielone pudełka. To banknoty stużłotowe ułożone w dwóch równych stosach.

– Postanowiłem ułatwić zadanie „Gazecie” i przeznaczyłem dużą część moich oszczędności na nagrodę. 50 tysięcy złotych będzie przyznane tej osobie, która wskaże coś, co łączy Zatokę Sztuki z procederem handlu narkotykami i sutenerstwa.



Marcin Turczyński oferuje pieniądze w zamian za haki na dziennikarzy opisujących jego związki z Wiachonem. Patio Zatoki Sztuki, listopad 2015

Bo to są rzeczy, które w sposób zawołany zarzuca nam „Gazeta Wyborcza”. Po co nie pisać bezpośrednio? Dowody się znajdą – pieniądze są tego, kto znalazł. To zadanie ma też drugą, łatwiejszą stronę. Te pieniądze będą przeznaczone dla osoby, która wskaże cały mechanizm stojący za atakiem na Zatokę Sztuki i która pierwsza pokaże dowody łączące konkretnych dziennikarzy z konkretnymi politykami, z konkretnymi biznesmenami oraz cały proceder. To wbrew pozorom jest bardzo proste, bo my do tego już doszliśmy. Teraz czas na was. Ofertę kierujemy do dziennikarzy śledczych, do byłych policjantów, do prywatnych detektywów, domorosłych Sherlocków Holmesów. Każdy może zgarnąć te naprawdę duże pieniądze. Wystarczy tylko troszeczkę zainteresować się: co kto robił, kto się z kim kontaktował i kto ma jakie plany. I wszystko wyjdzie... Szanowni państwo! Ja nie mam nic do stracenia. Ja mogę poświęcić oszczędności mojego życia, żeby tylko prawda wyszła na jaw...

Turczyński robi przerwę, wzdycha, jeszcze raz nabiera powietrza w płuca i celuje palcem wskazującym w oko kamery.

– ...a dla moich wrogów, którzy postanowili zniszczyć to miejsce, zaatakować moją rodzinę, mam informację: zapamiętajcie sobie tę chwilę. Bo to jest ten moment, kiedy zwierzyna staje się łowcą. Uważajcie na to, co robicie, bo wasze procedury nielegalne bardzo szybko wyjdą na jaw. Myślicie, że jesteście cwani? Ale jesteście nieuczciwi po prostu. Gra się zaczęła.

Elementem gry jest ofensywa medialna.

W kilku portalach i gazetach – między innymi w tygodniku „NIE” Jerzego Urbana – pojawiają się teksty obrażające Mikołaja Podolskiego i autorów „Wyborczej”. Na Facebooku wyrastają strony „Ratujmy Zatokę Sztuki” i „Układ Sopocki”. Pierwsza to Fanpage, jakich wiele. Artyści, którzy korzystali wcześniej z gościny Turczyńskich, na prośbę fundacji MCKA ZS ciepło pozdrawiają twórców prywatnego domu kultury i popierają ich w boju o utrzymanie siedziby. Wyrazy wsparcia wysyłają muzycy Adam Nergal Darski, piosenkarka Justyna Steczkowska, satyryk Krzysztof Skiba i wiele osób, które nie mają pojęcia o sprawie „Krystka”.

Druga ze stron – „Układ Sopocki” – to ewenement w sieci. Dzieło stołecznej agencji public relations specjalizującej się w likwidacji firmowych kryzysów. Podwykonawca z Trójmiasta opatrzył facebookowy profil zdjęciami: prezydenta Jacka Karnowskiego, przedsiębiorcy Dariusza Bujaka, którego spółka zarządza budynkiem sąsiadującym z Zatoką Sztuki, aresztowanego niedawno na trzy miesiące Wiachona i współautora tego tekstu Piotra Głuchowskiego. Wszyscy z czarnymi paskami na oczach – jako

przestępcy. Miejsce pod portretami wypełnia barwny opis „układu-mechanizmu”, który mieli wykryć za 50 tysięcy domorośli i profesjonalni detektywi – lecz nikt nic nie wykrył. Dlatego przestępcze sprzysiężenie rodzi się na łamach fanpage’u. Filarami zмовy są Mikołaj Podolski pseudonim „Podły”, Jacek Karnowski „SzeF”, biznesmeni ukryci pod ksywkami „Burak”, „Wiking” i „Pędrak” oraz redakcja „Gazety Wyborczej”. Taktycznym celem spisku – jak wynika z wpisów – jest przejęcie Zatoki przez konkurencję w osobie biznesmena „Buraka” i przy wsparciu prezydenta „Szefa”. Cel strategiczny to opanowanie Sopotu przez „Pędraka”, „Wikinga” i innych. Z zamieszczanych niemal codziennie postów ponad tysiąc śledzących profil facebookowiczów może się dowiedzieć, że Karnowski za dużo zarabia, przyjmuje od szemranych biznesmenów samochody i inne prezenty, wykańcza uczciwych przedsiębiorców, niszczy korty tenisowe – wizytówkę kurortu, zadłuża miasto i ogólnie: źle gospodaruje.

– To taki teatr medialny, jak to się mówi w żargonie PR-owców: próba covera. Próba przykrycia innych problemów nowym problemem – komentuje ofensywę Turczyńskich Karnowski, który w piątek 13 listopada udziela wywiadu Radiu Gdańsk. – Lepiej by było, gdyby ta nagroda została przeznaczona na ofiary Krystiana Wiachona. Na wyjaśnienie tej jego sprawy do końca. Na dojście do tego, czy Krystian, ostatnie bydłę, miał mocodawców. Czy komuś przyprowadzał te młode dziewczęta. Mam nadzieję, że się tego dowiemy, chociaż to będzie szalenie trudne, bo ci ludzie, których on... nazwijmy to... obsługiwał... pewnie im zależy na tym, żeby to nie wyszło.

Dwa tygodnie po uruchomieniu „Układu” na FB sopocki magistrat składa w prokuraturze zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez autorów strony. I nie zezwala na tradycyjne, coroczne rozstawienie sylwestrowej hali tanecznej przy gmachu Zatoki. Turczyńscy informują, że ich straty wywołane publikacjami mediów na temat Wiachona i złośliwością magistratu wzrosły do 3 milionów złotych.

Ruda Kasia z Madisona

Przełom listopada i grudnia 2015 roku. Trójmiasto, ulice Kurkowa i Okopowa

Najpierw szept przechodzący w syk: – Jeszcze dziś będziesz mi ciamął czorsty z dyla, kurwo...

Potem wrzask: – Zajębię ci w szamot razem ze zbukami!

Dwóch konwojentów wyprowadza zgarbionego, podpierającego się kulami „Krystka” z osobnej celi. Eskortują go na przesłuchanie przy Okopowej. W pozbawionym okien korytarzu aresztu jest prawie całkiem ciemno, na zewnątrz też, bo ledwo minęła piąta. Wrzask, który przerwał nocną ciszę, sprawił, że osadzeni za wierzejami – zbudzeni – zaczynają teraz wykrzykiwać nazwisko Wiachona. Nie po raz pierwszy w ciągu ostatniego miesiąca. Po chwili z górnej części klatki schodowej lecą zapalniczki, papierowe kulki i resztki jedzenia.

– Żresz mi kindybał, cwelu!

Krystian – w tym samym zgniłozielonym blezerze, w którym rozmawiał na ulicy z Tomaszem Patorą – nie reaguje, nie rozgląda się, idąc, patrzy tylko w wyglansowane lastriko posadzki, a potem w wykładzinę na metalowej podłodze więźniarki. Półtorej godziny później, w trakcie przesłuchania – chyba ósmego w ciągu trzech tygodni, nie licząc wizji lokalnych – opisuje swoje wersje spotkań z nastolatkami. Zaprzecza gwałtom, zaprzecza szantażom, zaprzecza, że skłaniał czy tym bardziej przymuszał dziewczynki do prostytucji. Mówi o dobrowolnych spotkaniach, randkach i krótkotrwałych romansach. Wskazuje miejsca schadzek i trasy przejazdów. Siedzący obok niego adwokat, pozornie zajęty przeglądaniem papierów, które przyniósł w teczce listonoszce, w rzeczywistości uważnie słucha i pilnuje, by klient nie podawał zbędnych szczegółów na temat sopockich klubów, ich ochroniarzy,

kierowników, menedżerów. Żadnych imion obsługi, tym bardziej żadnych nazwisk gości.

– No dobra... to teraz kolejna pańska przyjaciółka, jeszcze żeśmy o niej nie porozmawiali... Katarzyna Marcinkowska... – jeden z policjantów wyciąga fotografie z kartonowego segregatora otwartego w połowie szerokości stołu. Nieostry wydruk z profilu facebookowego, dwa ujęcia grupowe, na których ktoś zaznaczył czarnym kółkiem szczupłą dziewczynę, i powiększone zdjęcie legitymacyjne. W płatkach uszu kolczyki gwiazdki.

– Zaczepił ją pan, jak sprzedawała herbatę na stoisku w Madisonie, pamięta pan?

Wiachon: – Pamiętam, przecież już pokazywałem, którądy jechałem.

Adwokat: – Od słowa „zaczepił pan” lepsze będzie „poznał pan”...

– Dobrze – policjant macha ręką, jakby chciał uciąć resztę zdania mecenasa i zachęcić Krystiana do dalszych słów. – A to wydrukowaliśmy, też na pewno pan pamięta, z pańskiego telefonu – pokazuje kartkę formatu A4. Na papierze – w trzech rzędach – piętnaście kwadratowych obrazków. Następujące po sobie screeny z nagrania niskiej rozdzielczości. Rudowłosa Kasia Marcinkowska z penisem w dłoniach, Kasia z penisem w ustach. Wyraźnie widać srebrne gwiazdki w uszach i fragment samochodowego okna za jej ramieniem. W oknie zarys bocznego lusterka auta, dalej słup elektryczny z jakimś transformatorem na szczycie i drzewa.

Policjant: – Wyspa Sobieszewska, dzielnica Komary, ulica Kwiatowa, sierpień 2014.

Adwokat: – Mój klient już to potwierdził.

– Tam robiliśmy ten ostatni... – Krystian przerywa w pół zdania i patrzy na przesłuchujących. Obaj są po cywilnemu, obaj młodszy od niego. Obaj wysocy, jeden szczuplejszy, w szarym swetrze z golfem. Drugi, bardziej atletyczny, podwinął rękawy flanelowej koszuli w kratkę. Na przegubie lewej dłoni, w której trzyma wydruk z piętnastoma screenami, ma złożoną bransoletę.

– ...robiliśmy ten ostatni eksperyment procesowy – dokończy zdanie za podejrzanego. – Zgadza się.

– I wam wtedy mówiłem przecież, że ona dziewczyną moją była.

– A przypomni nam pan jeszcze raz: kiedy się przyjaźniliście? – policjant we flaneli przyjmuje ton, jakim mawia się do dzieci.

– Mój klient już to wyjaśnił.

– Mogę powtórzyć. Od sierpnia do września... byliśmy z sobą do września, bo potem żeśmy się posprzeczali i dlatego ona została, jak już mówiłem, z tymi głupimi pretensjami. Z żalem do mnie. Dlatego kłamie.

Mecenas kiwa głową.

Policjant w swetrze: – Czyli poznaliście się w sierpniu, a posprzeczaliście we wrześniu?

– Po miesiącu znajomości. Ona się puszczała z różnymi, a ja nie wiedziałem...

Pauza. Adwokat pochyla czoło nad papierami, z którymi przyszedł.

– ...że taka z niej dupodajka, że wszystkim naokoło ciągnie. A teraz sobie wymyśliła, że ze mną akurat było obcowanie z użyciem siły. Namówiła ją ta Klaudyna, o której opowiadałem we wtorek...

– Osoba niezrównowazona – mecenas mówi pod nosem, ale na tyle głośno, że obaj policjanci go słyszą.

– Pańskie relacje z panną Klaudyną jeszcze zdążymy omówić – potężniejszy z policjantów nadal podpira ścianę. – Na razie skupimy się na znajomości z Katarzyną Marcinkowską.

Mecenas daje przyzwolenie skinieniem głowy. Wiachon bierze wdech: – Posłuchajcie panowie, przecież wiecie doskonale, jak jest, już przecież wam mówiłem właśnie na tej wyspie, jak żeśmy czekali, że jestem człowiek samotny, jeszcze nie całkiem stary... Lubiłem kiedyś dyskoteki, chcę coś poderwać czasem, przecież to człowiekowi wolno. Nie jestem bogaty, a te młodsze są tańsze po prostu. Trzydziestoletnia laska chce mieć od razu postawionego szampana, kawę za dychę w kawiarni, a jak już ci pójdzie z facetem, to najlepiej do pokoju hotelowego – i weź płać. Szesnastolatka possie za szalik, za bluzkę połknie... No, czy to moja wina, że tak one robią? Dlaczego wszyscy sobie korzystają, a ja nie

mogę sobie skorzystać?

– Ano właśnie – policjant w popielatym swetrze składa zdjęcia Katarzyny na kupkę.

Krystian: – Ja mówię, owszem, nie raz wykorzystywałem, ale to przecież nie jest karalne...

Adwokat: – Nie jest.

– I Kasia Marcinkowska obciągnęła za szalik czy połknęła za bluzkę? – potężny gliniarz odrywa ramię od ściany i opiera obie dłonie o zimny blat stołu. – Szalik czy bluzka?

– Mój klient nie musi na to odpowiadać.

Drugi oficer, z przekąsem: – Niemniej jednak prosimy pana o komentarz.

Mecenas: – Odradzam.

Wiachon: – To nie było tak, że coś za coś i zaraz... Po prostu... było miło, żeśmy się spotykali na randki, było ciepłe lato, to był i seks.

– A może wiosna była, a nie lato? – ręka z bransoletą podtyka kartkę z piętnastoma twarzami Kasi pod sam nos Krystiana.

Adwokat odrywa się od papierzyk.

Wiachon: – Nie rozumiem pytania.

Mecenas: – Nie musi pan na nie odpowiadać.

Policjant we flaneli, głośno: – Może to nie był sierpień? Ani wrzesień?! Tylko kwiecień! Dlatego liście na drzewach są małe...

Wiachon: – Był, był... był 12 czy tam 20 sierpnia 2014...

Adwokat niemal zasłania mu usta dłonią. – Nie ma potrzeby powtarzać pytań i odpowiedzi. Film widzieliśmy, panowie, na oryginalnym nośniku. Nie widać żadnych rozmiarów liści, to ledwie zarys korony drzewa, choć równie dobrze mógłbym się uprzeć, panowie, że to jest chmura. Jeżeli nie macie co do tych materiałów nowych pytań...

– A widzisz ten słup i transformator? – szczuplejszy policjant niespodziewanie mówi do „Krystka” na „ty”. Mecenas jest zaskoczony. Dotąd to chudy grał rolę dobrego gliny.

Wiachon: – Nie wiem, co to jest.

Adwokat: – Proszę nie odpowiadać!

Wielki glina sięga do kieszeni koszuli i wyciąga złożoną w pół tradycyjną, błyszczącą odbitkę, jedną z takich, jakie się przynosi z zakładu fotograficznego. Rozprostowuje, kładzie przed „Krystkiem”. Adwokat wstaje, też się przypatruje. Na zdjęciu przybliżony fragment jednego z piętnastu kadrów z Kasią – tego, na którym najlepiej widać rozmazane drzewo, szary betonowy słup i elektryczne urządzenie na słupie.

– To jest transformator rozdzielczy typu SN/NN, w obudowie stalowej... – stojący nad stołem policjant mówi wolno, szczupły kolega odchyła się w krześle i zaplata ręce na piersi. Unosi brwi, słucha z udawanym zaskoczeniem: – ...zainstalowany przy ulicy Kwiatowej w dzielnicy Komary na Wyspie Sobieszewskiej 22 grudnia 1978 roku. Zdemontowany, jako nie działający, 29 kwietnia roku 2014. Powtarzam: zdemontowany i wywieziony z tego miejsca w kwietniu zeszłego roku.

– I co z tego? – Wiachon obejmuje lewą dłonią prawą pięść.

Adwokat: – Proszę zachować milczenie!

– To z tego, że obcowałeś seksualnie z Katarzyną Marcinkowską przed majem 2014 – szczupły kładzie łokcie na stole i patrzy Krystianowi głęboko w oczy. – A ona skończyła piętnaście lat dopiero w czerwcu.

Policjant w koszuli siada jednym pośladkiem na rogu stołu. – Masz od nas drugi zarzut „Krystek”.

– Proszę o niekomentowanie! – adwokat podniósł spod stołu teczkę i pospiesznie pakuje do niej dokumenty. – Mój klient nic więcej nie powie bez konsultacji.

Siedem zarzutów

15 grudnia 2015 roku. Trójmiasto. Ponad dziesięć stopni ciepła, silny wiatr, nad Pomorzem przechodzą deszcze

Ten sam korytarz aresztu – na posadzce lastriko, na splekanych ścianach brązowa olejna lamperia do wysokości ramienia. „Krystek” tak samo zgarbiony. Ubrany w ten sam zgniłozielony blezer. Oparty na tych samych kulach. Tylko zarost na twarzy większy – to już prawie broda – inni konwojenci i późniejsza pora: dziewiąta z minutami. Na dworze jasno czy raczej szaro. W szklany świetlik – gdzieś wysoko nad kręconymi schodami – bębnią duże krople. Ich szum miesza się z okrzykami aresztantów: „Wiachon idzie, Wiachon, ty kurwo, Wiachon!”.

Przejazd więźniarką z budynku aresztu do prokuratury – w linii prostej dwieście metrów nad torami – razem ze wszystkimi formalnościami zajmuje trzydzieści pięć minut. Dopiero o dziesiątej prokurator Agnieszka Nickel-Rogowska daje znak swojej asesorce, a ta ochroniarzowi z czwartego piętra prokuratury, który z kolei powiadamia czekających policjantów. Jest ich troje – dwaj zwaliscy mężczyźni i niska kobieta. Cała trójka w zapiętych pod szyję czarnych kurtkach i w kominiarkach. Przeprowadzają utykającego Krystiana przez dwoje szklanych drzwi i sadzają na drewnianym krześle, które pamięta lata dziewięćdziesiąte. Prokuratorka odczytuje mu cztery nowe zarzuty. Razem z gwałtami na Andżelice, Agnieszce i Oliwii zrobiło się siedem paragrafów – a każdy do dwunastu lat więzienia.

– Czy przyznaje się pan do zarzucanego czynu?

– Nie.

– Trochę się nad tymi zarzutami napracowaliśmy – powie nam dwa tygodnie później gdański policjant, starszy aspirant, nazwiemy go X. – Zabraliśmy Wiachonowi w sumie kilkanaście telefonów. Wydruk z jednego tylko to było sześć tysięcy siedemset stron. Zdjęcia i filmy robione w aucie, w terenie i w pomieszczeniach, SMS-y, zrzuty przeglądanych witryn internetowych. Trzeba to było czytać, oglądać, analizować, wychwytywać numery innych telefonów, nicki użytkowników na czatach, profile facebookowe. Potem pytania do operatorów, net providerów, a czasem i do zakładu energetycznego albo dyrekcji dróg. Ustawianie chronologii udokumentowanych scen, dialogów, wymiany informacji – to była podstawa. A potem rozszerzanie badanego obszaru zdarzeń. Czyli kiedy już mieliśmy nazwisko dziewczyny, jechaliśmy, pukaliśmy, dowiadrywaliśmy się nowych adresów, jeździliśmy od miasta do wsi, od wsi do miasta i często: pudło, pudło, pudło... Bo był telefon i adres rodziców, ale dziewczyna tam nie mieszkała, matka nie wiedziała albo się nawet niespecjalnie interesowała, gdzie ona jest, a komórka dziewczyny milczała. Odnaleziona z trudem raz przychodziły na przesłuchanie, a raz – nie. Jedna zgwałcona nie stawiała się nam od maja do końca listopada.

Policjant Y: – Niełatwo się rozmawiało. Co innego było napisać do mamy Anaid: „To jest skurwysyn, on mnie zgwałcił”, a co innego zeznać na papier po pouczeniu o odpowiedzialności za składanie fałszywych zeznań. A my naciskać nie możemy, bo adwokaci będą na sprawie dochodzić: „Czy aby policjant nie sugerował pani czegoś?”. Do tego czas upływający. Dziewczyna miała czternaście lat, poszła z Wiachonem na imprezę, dała się wykorzystać, dzisiaj ma lat dziewiętnaście-dwadzieścia, ma chłopaka albo i męża, ma dziecko. I nie chce wracać do dawnych wydarzeń. Już jej uraza, złość, chęć zemsty przeszła. „Podobno inne zeznają, to czy ja muszę?”. A nam nie wolno odpowiedzieć: „Musisz”. Bo nie wolno naciskać. I tak z pięćdziesięciu czy siedemdziesięciu przypadków robi się kilka, które rokują na zarzuty.

X: – Wiele z nich zgodziło się „zrobić loda ten jeden raz”. Potem „Krystek” je szantażował, ale one i tak obwiniają siebie. „No bo się najpierw zgodziłam, więc on miał prawo”. Tłumaczymy im, jakie prawa mają one same. Niektóre nie wierzą.

– Wiele z nich jest już w branży na całego – dodaje Y. – Wiachon je zrekrutował i wciągnął w biznes,

ciągną z tego kasę. Zwerbowane do klubów, gdy miały piętnaście, szesnaście lat, są dzisiaj cichodajkami, utrzymankami sponsorów, pracują w mieszkaniach, robią prywatne tańce w klubach, niektóre pracują w agencjach. Dobrowolnie w to weszły i nie będą zeznawać. Nic nam nie powiedzą, mają nad sobą alfonsów, a oni nie byliby zadowoleni. Zresztą z ich punktu widzenia Wiachon nie jest nikim szczególnie podłym. Zachowuje się tak jak inni w tym świecie, gdzie wszyscy chcą przecież dziewczynę wykorzystać, a ona próbuje z tego coś urwać dla siebie. Więc czego ta policja chce?

Co się zdarzy w Sopocie, zostaje w Sopocie

– Kiedyś mówiło się na nie „zjeby” albo „złote pochwy”, teraz najczęściej mówią „świnie” i „okurwieńce” – dopowiada nam 15 grudnia były trójmiejski dziennikarz, bywalec klubów, który przez lata pisał o nocnym życiu Sopotu, o mafiach z Wybrzeża i imprezach „u Maxima w Gdyni”, o trójmiejskich gangsterach – od „Nikosia” i „Szwarcenegera” do „Taty” i „Tygrysa”. – W Dream Clubie są debutantki w szpilkach kupionych za kasę pożyczoną od mamy lub koleżanki. Liczą na łatwe życie. Liczą, że facet weźmie na wycieczkę w jakieś fajne miejsce albo da parę złotych, kupi prezent, zabierze do drogiej knajpy na obiad. Przecież jedna z drugą widziała w necie, że takie historie się dzieją, że mając urodę, można się dostać do lepszego świata. Na własnych dupach budują pajęczynę kontaktów, dzięki którym czują się bezpieczne. Sporo ma rodzaj fiksa, muszą za seks coś dostać. Nawet takie, które mają kasę. Facet musi złożyć daninę. Ale gdy trafią w łapy takiego Wiachona i jemu podobnych koleśków, zaczyna się obróbka. Moim zdaniem Turczyński i Wiachon rozpoczęli nowy rozdział w historii sopockiego kurewstwa. Pierwsi wpadli na pomysł, żeby wozić laski z Wejherowa, z Pucka, z Redy, z Kartuz... Na prowincji i łatwiej, i taniej dają dupy. „Turek” jest z Pucka, „Krystek” z Wejherowa – i obaj postanowili zawojować Sopot. Miasto z kurewską tradycją i szczelne. Nic z niego nie wycieka. Co się wydarzy w Vegas, zostaje w Vegas. Jakiś czas temu był wysyp historii o gwałtach po pigułce. Co z tym zrobiono? Ktoś został złapany? Pisano o gangu dosypywaczy. Na pisaniu się skończyło. Wystarczy, że jakiś prokurator pukał pannę na zapleczu w klubie – to jak się zachowa? Tworzą się nieformalne połączenia, wspólnota wspomnień – czasami takich, o których by się chciało zapomnieć. Są ludzie z różnych sfer, którzy latami korzystają z nielegalnych atrakcji seksualnych. Jedne kluby padają, po nich są następne – ale nie zmienia się jedno. Szklane stoły z koksem i rypanie małolatek. Rypią inżynierowie, właściciele firm farmaceutycznych, mecenas, panowie z banków i spółek giełdowych. W takich miejscach jak Sopot „świnia” jest dla facetów z forszą dodatkiem do tabletek, które mają zapewnić młodość. Ma wejść pod szklany stół, zrobić laskę i zniknąć.

Spalę ci mieszkanie

Policjant X: – Są w zeznaniach dwóch dziewcząt takie fragmenty, z których można wnioskować pośrednio, że niektóre nagrywane przez Wiachona dziewczynki płakały, odmawiały, były przymuszane. Ale my takich filmów nie mamy. Mogły zostać skasowane. To, co się zachowało, to są normalne pornole, tyle że amatorskie. Dziewczyny robią wszystko dobrowolnie. Niektóre nawet z zapalem. Zaryzykuję stwierdzenie, że on nie pokasował tych filmów, bo szykował taką linię obrony: że one się świetnie z nim bawiły. Ale jednego mu adwokaci zapomnieli powiedzieć. Od 2014 roku nagrywanie scen seksu z nieletnimi też jest zakazane. Z tego będą zarzuty. Ale nieprędko, bo mamy, owszem – i stosunki, i akty oralne – ale nie ma dat i oczywiście żadnych opisów. Albo są daty mylne, ponieważ te filmy były wiele razy przegrywane z telefonu na telefon. Dlatego musimy dopasowywać twarze, a czasem plecy i pośladki, do nazwisk. Trzeba ustalać, kiedy film był zrobiony. Bo przed 2014 rokiem karalne były tylko filmy

z udziałem dzieci poniżej lat piętnastu. Więc trzeba udowodnić obie rzeczy. Po pierwsze, na filmie jest małaletnia Krysia Kowalska zamieszkała tu i tam, po drugie, nagranie powstało po zmianie prawa.

Policjant Y: – Sędziowie też się czasem dziwnie wobec nas zachowują. Jak już ściągniemy nieletnią na komendę, to według nowych procedur nie można jej przesłuchać w sprawie seksu zwyczajowo, do protokołu, który ona po prostu podpisze – i już włączamy go do akt. Wpierw robi się notatkę o zdarzeniu, potem to idzie do prokuratury, a stamtąd jeszcze do sądu. W tak zwanym niebieskim pokoju przesłuchań musi się zebrać sędzia, psycholog i prokurator. Sędzia odpytuje dziewczynę według listy kwestii przygotowanych przez prowadzącego dochodzenie. „Jak go poznałaś?”, „Co ci oferował?”, „Czy cię czymś straszył?”, „Czy piłaś alkohol?”, „Czy doszło do kontaktu seksualnego, jeśli tak, to opisz szczegółowo”. No i nieraz mamy takie sytuacje, że sędzia nie chce przesłuchać. Mówi: „Nie będę narażał dziecka na stresy okrutnymi pytaniami. Najpierw postawcie zarzuty – o co oskarżacie podejrzanego względem tej konkretnej dziewczynki”. A my nie możemy przedstawić zarzutu na podstawie swojej notatki, musi się odbyć to całe przesłuchanie przez sędziego, w pokoju, z psychologiem – żeby to się potem w sądzie utrzymało. I mamy błędne koło. Do tego jeszcze trudno zgrać w jednym terminie sędziego, biegłego i prokuratora. Niektóre nastolatki dostały wezwanie na przesłuchanie w sierpniu, my zmieniamy termin, one czekają przez wrzesień, a my znów przesuwamy. W tym czasie licho nie śpi.

Jeszcze pod koniec sierpnia jedna z objętych dużym śledztwem nastolatek poskarżyła się policjantom, że ktoś ją straszy. Najpierw w nocy z balkonu znikła jej bielizna. Potem dostała anonimowy telefon: „Spalę ci mieszkanie”. Ktoś napisał do niej z fałszywego konta na Facebooku: „Zrobisz laskę? Chcesz ciuchy?”. Kilka dni później kolejny telefon: „Szmato, zastanów się, co robisz”. Nowe ostrzeżenie: mężczyzna w czarnej bluzie z kapturem na jej balkonie. Nim śledztwo w sprawie zastraszania zostało wszczęte, dziewczyna się wycofała. Nie przyszła na przesłuchanie, potem zmieniła numer telefonu. Sprawa zamknięta.

„Krystek” i mocodawcy

– A co z Anaid? – pytamy w styczniu 2016 roku obu śledczych.

Aspirant X: – Jest artykuł 151: kto namową lub przez udzielenie pomocy doprowadza człowieka do targnięcia się na własne życie... Ale to trudne w udowodnieniu. Jeżeli znajdzie się list, w którym napisała, że postanawia skończyć ze sobą, ponieważ Wiachon... to tylko wtedy. A nie mamy takiego listu. Dlatego należy się spodziewać umorzenia tego wątku. Tym bardziej że nie było śladów biologicznych Wiachona na ciele Anaid, co obrona „Krystka” na pewno by wyciągnęła. On działał bardzo sprytnie. Zaczepiał w sieci ostrożnie, zwykle był przez dziewczynki spławiany, ale po miesiącu odzywał się znowu – i po kolejnym: znowu. Do gry wchodził, gdy udało mu się wywęszyć jakiś problem. Dziewczynka się nieopatrznie poskarżyła na Facebooku, że brakuje jej na kosmetyki albo zgubiła buty sportowe i boi się przyznać matce. Albo rodzice się rozwodzą i ona nie wie, z kim chce być. Wtedy on oferował pomoc, poradę, pocieszenie. Tylko daj, daj mi numer telefonu. A kiedy już dała – przechodził do fazy esemesowej. Czasem po czterdzieści-pięćdziesiąt SMS-ów w ciągu popołudnia. I my je teraz wszystkie czytamy i czasem się człowiek naprawdę za głowę łapie... jakie te dziewczyny naiwne...

– Albo zaszantażowane.

Policjant Y: – No tak... bo on przykładowo pisze dziewczynie: jesteś mi winna 300 złotych za to, że cię wozilem samochodem na imprezę i z imprezy, wręciłem na hostessę, doładowałem telefon, zawiozłem do Gdańska. Zrobisz lodzika albo się wypniesz i jesteśmy kwita. A później jej mówi: teraz mam film. Przecież to są dzieci. Najmłodsze miały w momencie czynów trzynaście lat! Fizycznie kobiety, ale intelektualnie – dzieciaki. Nieznające swoich praw, poddane wpływowi silnego faceta, który ma samochód, pieniądze i władzę. Mniejszym wstydem było dla dziewczyny pojechać z nim do lasu albo się

przespać ze wskazanym przez niego facetem w jakimś mieszkaniu, niż pójść do mamy i powiedzieć prawdę.

– Zatem stręczenie również wychodzi?

Aspirant X: – Operacyjnie tak. Bo jeszcze nie procesowo. Ale na logikę. Przez lata tych dziewczyn się przewinęło przez jego samochody nie czterdzieści ani nawet nie pięćdziesiąt. Więcej. On nad nimi pracował po dwanaście godzin dziennie, to wychodzi z zeznań, z billingów, z zapisów czatów, z esemesów. Pisał do nich, woził je, przesiadywał z nimi na plażach i w McDonaldach, czekał pod szkołami, pod domami. Przecież nie robił tego tylko dla zaspokojenia własnego popędu seksualnego. Ile nawet najdzikszy facet potrzebuje kochanek, przyjaciółek, utrzymanek? Trzy, pięć, no – dziesięć. Ale sto? To był przemysł. To jest przemysł. Werbuje się dziewczyny w wieku od piętnastu do siedemnastu lat. Z Pucka, Rzucewa, Redy czy Kłanina. Im na dyskotecę chłopak stawia jedno piwo na cztery, a i tak wiadomo, że się skończy seksem w korytarzu. A w Sopocie wjeżdżają windą do strefy VIP i piją campari. Dlatego można im potem bardzo mało zapłacić, a i tak będą się cieszyły. Natomiast od klienta za ładną małąlatkę sutenerzy kasują nawet 5 tysięcy od nocki. W klubie The Roof na dachu Zatoki, to nam wychodzi z zeznań, do łoży za 1500 złotych była przypisana dziewczyna albo i dwie. Ona miała za zadanie zabawiać klientów z szampanem. Jeśli tam za flaszkę wódki się płaci 2 tysiące, a nie 200 złotych, jak w zwykłym klubie, to z dziewczynami proporcje mamy podobne. W zwykłej agencji 400 złotych, może 600 za seks. A tutaj 4 do 6 tysięcy.

– Wiachon wymienił jakichkolwiek mocodawców?

Policjant Y: – Jest uważny. Najpierw pomyśli, zanim coś powie. To manipulant, aktor. Potrafi nawet zapłakać nad losem biednych dziewczynek, którym próbował przecież pomagać, załatwiał pracę, on nawet kochał wiele z nich. Ale od Turczyńskiego nie ucieknie. Za dużo ich łączy. I coraz więcej. Mieliśmy poszkodowane dziewczęta głównie z rejonu Wejherowa, a ostatnio drugie drzewko powięzania nam się rodzi – rejon Pucka. Ta chatka-kopulatka na Wejhera to było miejsce wielu zdarzeń. Są dziewczyny, które opowiadają, że przed wielu laty Turczyński sam woził stamtąd małąlaty na imprezy. Że je oddawał różnym typkom, także takim, których my doskonale znamy z innych przestępstw, bardzo poważnych. No i potem panowie się poznają przy którejś Tropikalnej Wyspie. Wiachon przejmuje obowiązki „Turka”, a przy tym obaj się świetnie z dziewczynkami bawią. „Turek” udostępnia samochody, jacht, apartamenty, „Krystek” organizuje ciałka. A pomaga mu ten „Hesus” z Dream Clubu.

– Ktoś wyżej?

Policjant Y: – Na razie ciężko orzec. Fakt, że w tej sprawie jest tylu drogich adwokatów, wiele nam mówi. Fakt, że jeden z nich zaryzykował karierę, żeby czytać akta strony przeciwnej – to mówi jeszcze więcej. Prokuratura trzy razy odmawiała nam złożenia w sądzie wniosku o podsłuchiwanie „Krystka”. Jakieś przeszkody formalne. A nam trudno się było opędzić od podejrzeń, że ktoś się bał, „kto tam może zadzwonić do niego i po co”. Na pewno paru ważnym osobom zależy, żeby sprawa skończyła się tylko na Wiachonie i ewentualnie na Turczyńskich. Może jeszcze dwóch-trzech ich pracownikach – menedżerach, kierownikach dyskotek. I nic dalej za tą linią. Tymczasem nam się przewija w zeznaniach pewien duży deweloper, jest też pan z setki najbogatszych Polaków, jest współwłaściciel hotelu w Trójmieście, jest twarz znana do niedawna z telewizyjnych programów informacyjnych. Nudno nie jest.

25. JAK W POSTANOWIENIU

Przeproście i płąćcie

Tydzień wcześniej, 8 grudnia 2015 roku.

Budynek Sądu Okręgowego przy alei „Solidarności” w Warszawie

Jeszcze w listopadzie Prokuratura Okręgowa w Gdańsku poinformowała Pomorską Okręgową Radę Adwokacką, że Nicholas Cieslewicz, były obrońca celebryty Maseraka, narkohurtownika „Grubego Artusia” i Wiachona, po rozstaniu się w sierpniu z wejherowskim klientem zaczął reprezentować Armena Tutguszjana i od początku października czyta akta śledztwa wszczętego po śmierci jego córki – tak jak nam mówił konsultant Grzegorz. Po odebraniu prokuratorskiego zawiadomienia o możliwości złamania paragrafu 22 kodeksu etyki adwokackiej Izba Adwokacka w Gdańsku zażądała od prawnika wyjaśnień, a ten zrezygnował z reprezentowania Ormianina, co jednak nie uchroniło go od postępowania dyscyplinarnego.

Od tego czasu ojca Anaid reprezentuje Tomasz Czerwiński z kancelarii Socius, absolwent Uniwersytetu Gdańskiego, adwokat i syndyk. Wiachona – we wszystkich jego sprawach – bronią Paweł Giemza i profesor Wojciech Cieślak. Marcina i Natalię, Art Invest w kilku wcieleniach oraz Fundację MCKA ZS reprezentuje parę kancelarii. Jedno z pism od nich – zgodnie z daną na ostatniej konferencji prasowej w Zatoce Sztuki obietnicą podjęcia kroków prawnych – prezes Art Investu Leszek Grzymowicz wysłał pod koniec listopada do Wydziału Cywilnego Sądu Okręgowego w Warszawie.

To pozew z wnioskiem o udzielenie zabezpieczenia, czyli zakazanie „Gazecie Wyborczej” i całemu wydawnictwu Agora „rozpowszechniania w jakiegokolwiek formie twierdzeń oraz sugestii dotyczących powoda rozpoznawalnego jako Zatoka Sztuki, takich jak te, że: • istnieje związek między działalnością Zatoki a przestępczymi działaniami Krystiana W., • Art Invest chroni Krystiana W., • Zatoka jest »strefą koksu i botoksu«, ekskluzywną imprezownią z hotelem i nastolatkami, • W. dostarczał dziewczęta do klubów, • istnieje związek między działalnością Zatoki i handlem narkotykami, • istnieje związek między złą reputacją dawnej dyskoteki Galaxy a Zatoką Sztuki, • Zatoka ogranicza dziennikarzom swobodę wypowiedzi i straszy...”.

Podobnych punktów Leszek Grzymowicz z Wejherowa wymienił piętnaście. Gdyby sąd przychylił się do jego wniosku, niniejsza książka nie mogłaby się ukazać. Art Invest zażądał też przeprosin i 100 tysięcy złotych zadośćuczynienia. Przepraszać mają dziennikarze „Gazety Wyborczej” – w tym autorzy tej książki, wicenaczelnicy „Gazety Wyborczej” Piotr Stasiński, naczelny Adam Michnik, szef magazynu reporterskiego „Duży Format” Włodzimierz Nowak i Małgorzata Plawgo, szefowa portalu Wyborcza.pl, w którym można było przeczytać wszystkie teksty o „Krystku” oraz jego powiązaniach. Grzymowicz domagał się także „zabezpieczenia powództwa poprzez wydanie nakazu usunięcia (...) z portalu Wyborcza.pl materiałów prasowych [dotyczących Wiachona i Zatoki]”. Dalej w piśmie prezes Art Investu – a zapewne także oboje Turczyńscy i doradzający im prawnicy – przedstawili coś, co można nazwać stanowiskiem rodzeństwa. Przystudiowanie i rozważenie ich argumentów – wyłożonych na przeszło pięćdziesięciu stronach maszynopisu – zajęło sędziemu Mariuszowi Solce z III Wydziału Cywilnego Sądu Okręgowego bite trzy dni.

Spółka Art Invest (w piśmie do sądu: powódka) poinformowała, że: • Krystian W. zajmował się myciem pojazdów, naprawą, dokowaniem łodzi, organizowaniem garaży i „pełnieniem funkcji

kierowcy”, • miał chwilowy dostęp do lokalu w Pucku z przyczyn zawodowych, • wykazywał „postawę proaktywną względem powódki” i przez okres około 30 dni był wpisany jako członek zarządu jednej ze spółek związanych z powódką, • z powodu pogarszającej się reputacji Krystiana W. powódka nie współpracuje z nim przynajmniej od czerwca 2015 roku, • w lipcu i sierpniu 2015 roku, • powódka została zaatakowana medialnie przez dziennikarza magazynu kryminalnego „Reporter” Mikołaja Podolskiego, który próbował wykazać silny i bezpośredni związek między osobą i działaniem Krystiana W. i „Zatoką Sztuki”, • następnie dziennikarz Sylwester Latkowski opublikował materiały prasowe, w których utrzymana została retoryka, że powódka ma związek z przestępstwami, • retorykę tę złośliwie kontynuuje i twórczo rozwija „Gazeta Wyborcza”.

A tymczasem „począwszy od lipca 2015 roku powódka otrzymuje nieformalne informacje o zainteresowaniu nieokreślonych osób przejęciem Zatoki Sztuki (...) Nieformalne informacje wskazują, że Zatoka Sztuki rządzona przez obecne osoby może przeszkadzać planowanym w okolicy ul. Mamuszki inwestycjom hotelowym. Z uwagi na to, że na powyższe pogłoski nie ma dowodów, to jednak po przyjęciu założenia, że są prawdziwe, pozwala może przypuszczać cel bezprawnego działania [pозwanych]”.

Ta „bezprawność działania” jest ważna, bo to jeden z kodeksowych warunków zastosowania cenzury sądowej, której domaga się Art Invest.

Świnia, jaka jest...

W trakcie czytania pisma sędziego Solka raz tylko mógł się uśmiechnąć: w połowie pozwu prezes Grzymowicz – czy raczej aplikant adwokacki z kancelarii prawnej – przeanalizował bowiem tytuł „Zatoka świń”: „Świnia jako zwierzę ma opinię zwierzęcia nieczystego. W niektórych kręgach kulturowych (np. Islam) jej mięso jest zakazane z uwagi na swoją nieczystość. Zgodnie z internetowym słownikiem synonimów świnia oznacza »bydlaka, bestię, padalca, potwora, łotra, łajzę, szelmę, kanalię, szuję, ściervo, szmatę, niegodziwca, kreaturę, mendę, gnidę, lubieżnika, erotomana, zbereźnika«. Tytuł »Zatoka świń« celowo stanowi zbitkę obelżywego słowa z nazwą lokalu Zatoka Sztuki”.

Teraz – przed podpisaniem dokumentu – sędzia Solka już nie jest uśmiechnięty.

Ostatecznie podpisze się pod takim tekstem:

„Po rozpoznaniu sprawy [sąd] postanawia oddalić wniosek [spółki Art Invest, ponieważ] powód nie przedstawił żadnych dowodów celem wykazania strat (...) nie przedstawiono również, w jaki inny sposób publikacje »Wyborczej« negatywnie wpłynęły na działalność Zatoki Sztuki. (...) Jednocześnie Sąd nie dał wiary twierdzeniom powoda w zakresie luźnego charakteru kontaktów Krystiana W. ze spółką [Art Invest], gdyż w ocenie sądu nie sposób uznać, że powołuje się na członka zarządu spółki Gastronom Mahiki osobę, której nie darzy się zaufaniem (...). [Skrzywdzone dziewczynki] jednoznacznie wskazują, że bywały zarówno w Zatoce Sztuki, jak i w innych lokalach należących do powoda, dostawały propozycje pracy tam (...). Forma, układ tekstu, użyte porównania i nawiązania w niektórych częściach publikacji są dosyć kontrowersyjne, jednakże uwzględniając temat, którego dotyczą, a przede wszystkim niezwykle młody wiek dziewcząt i niewyobrażalną tragedię, jaką było samobójstwo Anaid Tutguszjan, nie sposób uznać ich, w ocenie Sądu, za zbyt daleko idące. Bezsprzecznie natomiast uznać należy poruszany przez pozwanych temat za społecznie istotny, dlatego też zabezpieczenie powództwa poprzez wydanie zakazów (...) należy uznać za nieuzasadnione (...), a powód prowadzący Multidyscyplinarne Centrum Kulturalno-Artystyczne być może winien był z większą rozwagą dobierać współpracowników.

Jednocześnie wskazać należy, że okoliczności, na jakie powołuje się powód, to jest chęć wrogiego przejęcia Zatoki Sztuki [przez tajemniczy Układ Sopocki], pozostają bez znaczenia dla rozstrzygnięcia wniosku. Mając powyższe na uwadze, Sąd orzekł jak w postanowieniu./–/SSO Mariusz Solka.

Warszawa, dnia 08 grudnia 2015 roku”.

26. CIĄG DALSZY NASTĄPI

11 GRUDNIA 2015 ROKU, dwa dni po wyroku warszawskiego sądu w sprawie Art Inwest vs. Agora, w Centrum Artystycznym Fabryka Trzciny w Warszawie – tym samym, którego szef ubiegał się pięć lat wcześniej o dzierżawę Łazienek Północnych – redakcja branżowego miesięcznika dziennikarskiego „Press” rozdała doroczne nagrody. W kategorii śledczej jury umieściło siedem cykli artykułów z polskich czasopism, w tym teksty Mikołaja Podolskiego i Marty Bilskiej o „Krystku”. Ostatecznie Grand Press odebrał Paweł Kaźmierczak z „Expressu Reporterów” za serię publikacji o związkach łódzkich gangsterów ze skorumpowanym wymiarem sprawiedliwości w tym mieście. Podolski na galę nie pojechał. Był zajęty pisaniem raportów, które mają pomóc policji rozszerzyć śledztwo w sprawie mafii sutenerów, pedofilów i porywaczy Iwony Wieczorek.

– Wciąż jest 95 procent szans na mniejszy lub większy związek jej zaginięcia z Krystianem Wiachonem – powiedział nam w ostatniej rozmowie. – Słyszałem, że związki Wiachon – Iwona wykrył policjant, który się tym przechwalał, ale nie na komendzie, tylko komuś, do kogo udało mi się dotrzeć. Według jego ustaleń Iwona chodziła z Krystianem do klubów. I jest też pewna osoba, która twierdzi, że Wiachon przechwalał się kiedyś „załatwieniem Iwony”. Możecie w to nie wierzyć, ale proszę, byście tego wątku nie wyśmiewali i nie zrobili z niego w swojej książce jakiegoś szaleństwa.

3 STYCZNIA 2016 ROKU Sylwester Latkowski i Michał Majewski zamieścili na stronie Kulisy24.com reportaż „Układ Krystka”, w którym ujawnili, że naganianiem dziewcząt do sopockich klubów trudniły się – poza Wiachonem – dwie jego znajome, z których jedna jest utrzymanką warszawskiego dewelopera prowadzącego także interesy w Trójmieście, a druga to dziewczyna stołecznego restauratora celebryty. Jest jeszcze trzecia – była kochanka dewelopera, której brat wozi narkotyki z Trójmiasta do stolicy. Wspomniane towarzystwo wynajęło w stołecznym hotelu „całe piętro i spa”, gdzie organizują imprezy dla „prokuratorów, sędziów, aktorów i ludzi znanych z mediów”. Informator Latkowskiego i Majewskiego twierdzi, że to między innymi tam trafiały „dziewczyny załatwiane przez »Krystka«”. O Iwonie Wieczorek – ani słowa.

11 STYCZNIA pod miejscem pracy Julii, jednej z ofiar Krystiana, pojawił się jej daleki znajomy z Wejherowa – Krzysztof. Młody, ale już częściowo bezzębny mężczyzna ma na Osiedlu Kaszubskim opinię mało bystrego.

Julia w rozmowie z „Gazetą Wyborczą”: – Powiedział, że adwokat „Krystka” dał mu fajną ofertę. Ma dotrzeć do wszystkich dziewczyn, żeby przekonać je do zmiany zeznań. Tak, żeby wyszło, że w momencie seksu miałyśmy już skończone piętnaście lat. Nazwisko mecenasa nie padło. Krzysiek nie był agresywny. Wspomniał, że adwokat ma zamiar zaproponować nam wszystkim dobre pieniądze.

Gdy Julia odmówiła szczerbatemu skłamania przed sądem, dostała od niego SMS-a: „Ty to ty, krzywda ci się nie stanie, ale innym może”.

Policja zadziałała szybko. Po przesłuchaniu nastolatki zatrzymano w Wejherowie i bezzębnego Krzysztofa, i drugiego podejrzanego, wieloletniego znajomego „Krystka”, dresa ze światka wejherowskich samochodziarzy. Obaj zaprzeczyli na przesłuchaniu, jakoby działali na zlecenie Pawła Giemzy.

– Bez instrukcji ze strony adwokata Krzysztof nie wiedziałby jednak, do kogo iść – powiedział „Wyborczej” jeden ze śledczych. – Akta śledztwa są tajne, dostęp do adresów i telefonów

poszkodowanych ma ściśle określona grupa: w tym obrońcy Krystiana W.

W efekcie wszczętego jeszcze w styczniu śledztwa w śledztwie gdańska prokuratura postawiła samochodziarzowi zarzut „podejmowania działań zmierzających do utrudniania postępowania poprzez podżeganie do składania fałszywych zeznań”, a Krzysztofowi zarzut „bezpośredniego podżegania”. Pierwszemu grozi pięć lat, drugiemu trzy. Obaj dostali dozór policyjny i zakaz opuszczania kraju.

20 STYCZNIA na rozprawie w Pucku doprowadzony z aresztu Wiachon pokazał się dziennikarzom w nowym wcieleniu: chudy, skurczony i zarośnięty. Polarowy golf naciągnięty na usta, włóczkowa czapka spuszczone na oczy – wystawał mu tylko nos. Do dziennikarzy się nie odezwał. Milczał także rozmowny dotąd Paweł Giemza. Sąd przesłuchał za zamkniętymi dla prasy drzwiami kilkoro świadków – między innymi koleżanki Oliwii i Agnieszki z domu dziecka. Wyroku należy się spodziewać wiosną-latem 2016 roku.

W STYCZNIU I LUTYM oferta hotelowa Zatoki Sztuki znikła ze stron oferujących noclegi – Booking.com, Tripadvisor.com, Trivago.pl i innych. „Przykro nam, ale tego obiektu nie można obecnie zarezerwować. Nie martw się, mamy wiele innych opcji dostępnych w pobliżu”.

Klub The Roof zamknął podwoje już wcześniej. Zarządcy Zatoki chcieli przenieść sylwestrową imprezę na plażę, ale dostali od magistratu odmowę. W gmachu i wokół niego zrobiło się pusto i ciemno.

Faktycznie jednak pokoje wciąż były do wynajęcia. W połowie lutego urzędnik ratusza zarezerwował dwuosobowy pokój. Po wpłacie zaliczki dostał potwierdzenie rezerwacji z nagłówkiem „Dziękujemy za wybranie naszego hotelu”.

– Mamy dowód, że spółka Art Invest nie wywiązuje się należycie z umowy dzierżawy budynku – stwierdził w rozmowie z „Wyborczą” prezydent Jacek Karnowski.

– Los Turczyńskich jest przypieczętowany. Jeśli nie będzie działał hotel, jeśli nie będzie dachowego klubu, gdzie wódka Belvedere z kociołka kosztowała ponad tysiąc, jeśli nie będzie wielkich koncertów na plaży... zaczną dokładać do interesu – stwierdził w rozmowie z autorami tej książki właściciel lokalu, który od dekady działa opodal Zatoki Sztuki. – Miasto wymusi powrót do formuły domu kultury, z czego nie ma kasy. Jak dla mnie sytuacja przypomina historię Ala Capone. Nie udowodnili mu zbrodni, ale udupili go na podatkach. Turczyńscy już zapłacili za „Krystka” i skrzywdzone dzieci swoją ukochaną Zatoką.

3 LUTEGO Sąd Okręgowy w Gdańsku skazał ojca Anaid na pięć lat więzienia za usiłowanie zabójstwa Wojciecha Kownackiego. Wspólnik od handlu viagrą przeżył atak w barze kebabowym, ale będzie żył z jedną nerką. W trakcie procesu wyznał, że nie czuje do Armena Tutguszjana nienawiści: – Sam nie wiem, co bym zrobił na jego miejscu.

– Sąd również współczuje oskarżonemu, ale nie można rozpoznawać tej sprawy tylko przez pryzmat krzywdy, jaka mu się wydarzyła – mówił sędzia Michał Dampc. – Sąd nie neguje, że rola ojca w kulturze ormiańskiej jest inna, ale głęboko zakorzeniona potrzeba pomszczenia, uczynienia zadość krzywdzie córki nie może przemawiać za łagodniejszą karą. Tak samo jak w przypadku dżihadystów nie można mówić, że okolicznością łagodzącą przy podłożeniu bomby są względy religijne. Uzasadnienia wyroku słuchali Narek, Dikran, Samwel i ośmiu innych Ormian.

17 LUTEGO wydział cywilny tego samego Sądu Okręgowego wydał postanowienie w sprawie z powództwa Marcina Turczyńskiego przeciwko redaktorowi naczelnemu „Gazety Wyborczej” Adamowi Michnikowi i redaktorce naczelnej portalu Wyborcza.pl Małgorzacie Pławgo. Turczyński we wniosku powodowym domagał się wydania trwającego sześć miesięcy zakazu „rozpowszechniania w jakiegokolwiek formie twierdzeń (...) co do tego, że: istnieje jakikolwiek związek między Marcinem

Turczyńskim a przestępczymi działaniami Krystiana W., [zaś sam] Krystian W. był przyjacielem domu Turczyńskich”.

Sędzia Weronika Klawonn oddaliła wniosek współtwórcy Zatoki. „W ocenie Sądu mało prawdopodobne jest to, że zamieszczone w artykułach informacje są nieprawdziwe (...) Podkreślić należy społeczny aspekt publikacji. O tym, jak ważne pozostaje dla społeczeństwa dziennikarstwo śledcze, świadczy chociażby to, że do zatrzymania i aresztowania Krystiana W. doszło kilka dni po publikacji »Gazety Wyborczej«. Są patologie, wobec których społeczeństwo pozostaje bezsilne tak długo, dopóki nie zostaną one upublicznione dzięki działaniom »czwartej władzy«. Tematyka niebezpieczeństw związanych z działalnością popularnych klubów, w których mogą zostać wykorzystane osoby małoletnie, budzi społeczne zainteresowanie. Informowanie o tego rodzaju zagrożeniach stanowi ważki interes publiczny. W ocenie sądu nie może się temu równoważnie przeciwstawić reputacja powoda, który, jak sam przyznaje, był udziałowcem spółki Art Invest prowadzącej działalność w ramach Zatoki Sztuki, a także innych klubów”.

4 MARCA gdańska prokuratura postawiła „Krystkowi” dziewięć nowych zarzutów, w tym gwałt na piątej z kolei dziewczynce poniżej piętnastu lat i czerpanie korzyści z cudzego nierządu, między innymi „na terenie Sopotu”. Ten ostatni zarzut oznacza, że policja znalazła dowody na to, iż podejrzany podsuwał nastolatki bogatym amatorom seksu z dziećmi, którzy bawili się w odwiedzanych przez niego klubach.

12 MIESIĘCY PO ŚMIERCI CÓRKI Joannę Skibę zaczęła prześladować natrętna wizja: znów jest z Armenem, zachodzi w ciążę i rodzi mu córeczkę. Po kolejnych kilku tygodniach ta dziwna myśl, ku zdziwieniu jej samej, zmieniła się w marzenie.

OD AUTORÓW

- Jeżeli w seksbiznesie działa prawo Kopernika-Greshama, Sopot jest tego przykładem – to pierwszy wniosek z tej historii. W ciągu dwóch dekad miejsce mewek – pewnych siebie, bogatszych od krajowej średniej, znających języki i wymagających wobec mężczyzn – zajęły nastolatki z małych miejscowości i ubogich rodzin. Zastraszane, wykorzystywane do cna, poniżane. I gwarantujące sutenerom największe zyski.

- Wniosek drugi: jeżeli dziewczyna imprezuje i zamieszcza zdjęcia w serwisach randkowych, to musi się liczyć z tym, że ktoś ją zgwałci, zaszantażuje, zmusi do prostytuowania się za drobne fanty i pozostanie bezkarnym, bo policjanci to często konserwatywni obyczajowo faceci i można ich przekonać: „to kurewka”.

- Po trzecie, jeżeli grupa, którą zastępca redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej” Piotr Stasiński nazwał zbiorowym alfonsiem z Sopotu, pozostanie solidarna, część opisanych w tej książce czynów nigdy nie zostanie objęta aktami oskarżenia – bo nie da się ich udowodnić przed sądem. Co nie znaczy, że nie da się ich opisać i nazwać. Robimy to – dlatego krzywdziciele dzieci i ich obrońcy się boją.

W grudniu ubiegłego roku prawnicy reprezentujący sopocką spółkę Art Invest, czyli – jak sami napisali – „powódkę rozpoznawalną jako Zatoka Sztuki”, złożyli w warszawskim sądzie „wniosek o udzielenie zabezpieczenia”. Chcieli, by sąd zakazał nam pisanie o „związках między Zatoką Sztuki a przestępczymi działaniami Krystiana W.” i aby zabroniono nam użyć tytułu „Zatoka świń”. Wcześniej twórca tego prywatnego domu kultury Marcin Turczyński zaoferował byłym policjantom i detektywom 50 tysięcy złotych za informacje, które by nas skompromitowały i w konsekwencji odebrały wiarygodność naszym ustaleniom. Nikt nie zawalczył o nagrodę. „Zatoka świń” powstała. Gdy ją Państwo czytają, w Gdańsku prawdopodobnie trwa już proces „łowcy z Sopotu” – albo wkrótce się zacznie. Krystian Wiachon – którego nazwisko zmieniliśmy, podobnie jak nazwiska kilkorga innych bohaterów i bohaterek – zapewne zostanie skazany za co najmniej dwa gwałty i obcowanie z co najmniej czterema dziewczynkami poniżej piętnastu lat. Nie odpowie – choć chcielibyśmy się mylić – za śmierć Anaid Tutguszjan, za uczynienie prostytutek z wielu innych dziewcząt, za stręczenie uczennic pedofilom. Ale będzie się bał w więzieniu, bo wszyscy wiedzą, co grypsujący robią frajerom skazanym za przestępstwa przeciw dzieciom.

I jeszcze jedno: gdyby pomorska policja i prokuratury w ciągu dekady nie umorzyły „Krystkowi” sześciu kolejnych spraw o seks z nieletnimi, Anaid by żyła. Szefowie obu instytucji mają tego świadomość, dlatego nie ułatwiali nam zbierania materiałów, ale wiemy, że będą próbowali – niezależnie od procesów Wiachona – zrehabilitować swe instytucje, stawiając zarzuty także innym przedstawicielom zbiorowego alfonsa. Zakończenie tej sprawy na „Krystku” byłoby tym samym, czym zakończenie afery Amber Gold na małżeństwie Plichtów – klęską organów ścigania.

„Jeśli uda nam się postawić mu zarzut, osobiście po niego pojedę” – zapewnił nas oficer Komendy Wojewódzkiej w Gdańsku, mając na myśli jednego z głównych bohaterów tej książki, mocodawcę Wiachona, człowieka bogatego, inteligentnego, obstawionego adwokatami i bezwzględnie dla słabszych.

Ta historia oparta jest na faktach, co znaczy, że osiowe zdarzenia są autentyczne. Wiele szczegółów zmieniliśmy jednak i poprzestawialiśmy, aby odsłonić tajemnice w odpowiedniej kolejności. Wymyśliliśmy też nowe imiona wszystkim dziewczynkom. Poza imieniem Anaid, która już stała się symbolem tej sprawy.

GŁÓWNE ŹRÓDŁA

„18-latka, wywiad z dupodajką na imprezie”, <https://www.youtube.com/watch?v=XEdBu6q9ZjA>, dostęp 22.10.2015.

Akt oskarżenia w sprawie IXK 594/14. Repertorium Sądu Rejonowego w Wejherowie.

Akt oskarżenia przeciw Armenowi Tutguszjanowi. Repertorium Prokuratury Okręgowej Gdańsk-Śródmieście, sygnatura akt 3DS 55/15.

Art Invest, dane rejestrowe spółki, [http://www.infoveriti.pl/firma-krs/Art, Invest, Sopot, Raport, gospodarczy, KRS,0000316337.html?language=en](http://www.infoveriti.pl/firma-krs/Art,Invest,Sopot,Raport,gospodarczy,KRS,0000316337.html?language=en), dostęp 8.09.2015.

Bilska Marta, „Pięć lat bez Iwony”, „Reporter” nr 5-6, maj-czerwiec 2015.

Art Invest, strona internetowa, <http://www.artinvest.com.pl/>, dostęp 6.09.2015.

Daszczyński Roman, „Mieli zarobić fortunę w pięć lat”, „Gazeta Wyborcza Trójmiasto”, 8.06.2014, [http://trojmiasto.wyborcza.pl/trojmiasto/1,35612,16105110, Mieli_zarobic_fortune_w_piec_lat__Legalnie__Jak_doszlo.html](http://trojmiasto.wyborcza.pl/trojmiasto/1,35612,16105110,Mieli_zarobic_fortune_w_piec_lat__Legalnie__Jak_doszlo.html), dostęp 22.10.2015.

Dream Club, strona internetowa, http://www.showsopot.com/o_tancerkach.html; <http://www.showsopot.com/index.html>, dostęp 3.09.2015.

Dream Club – Weekend Experience, <http://www.youtube.com/watch?v=Nn2veMgVIUU>, dostęp 10.10.2015.

FOXY & TH-R, „Cofnąć czas (Anaid)”, https://www.youtube.com/watch?v=TBH5ooG_NeE.

Gotard Marek, „Śmierć człowieka zwanego Wolfem”, Trójmiasto.pl, 26.05.2015.

Grzenkowska Kamila, „Milionowe straty Zatoki Sztuki po konflikcie z miastem”, „Dziennik Bałtycki”, 24.08.2015, [http://www.dziennikbaltycki.pl/artykul/6247456, sopot-milionowe-straty-zatoki-sztuki-po-konflikcie-z-miastem, id, t.html?cookie=1](http://www.dziennikbaltycki.pl/artykul/6247456,sopot-milionowe-straty-zatoki-sztuki-po-konflikcie-z-miastem,id,t.html?cookie=1), dostęp, 10.10.2015.

Huelle Paweł, „Sopot w cieniu PRL-u”, „Gazeta Wyborcza”, 9.08.2008.

Kot Tomasz, „Śmierć królowej Monciaka”, Trójmiasto.pl, 24.04.2015.

Knera Jakub, „Leszek Możdżer przejmuje Sfinksa”, Trójmiasto.pl, <http://www.e-teatr.pl/pl/artykuly/105426.html>, dostęp 5.12.2015.

Latkowski Sylwester, Majewski Michał, „Trójmiasto. Seksualne wykorzystywanie dzieci”, Kulisy24.com, http://kulisy24.com/nasze-sledztwa/trojmiasto-seksualne-wykorzystywanie-dzieci?fb_comment_id=1066164726734781_1066717910012796#f337a2ccb8, dostęp 22.08.2015.

Latkowski Sylwester, Majewski Michał, „Grozby dla znanej dziennikarki za udostępnienie tekstu portalu Kulisy24.com”, Kulisy24.com, <http://kulisy24.com/nasze-sledztwa/grozby-dla-znanej-dziennikarki-za-udostepnienie-tekstu-portal-u-kulisy24-com>, dostęp 22.08.2015.

Latkowski Sylwester, Majewski Michał, „Wstrząsająca relacja ofiary Krystka”, <http://kulisy24.com/nasze-sledztwa/wstrzasajaca-relacja-ofiary-krystka>.

Latkowski Sylwester, Majewski Michał, „Układ »Krystka«”, <http://kulisy24.com/nasze-sledztwa/uklad-krystka>, dostęp 2.02.2016.

Machut-Mendecka Ewa, „Zemsta rodowa: żywy problem (na przykładzie Egiptu)”, <http://depot.ceon.pl/bitstream/handle/123456789/1452/Zemsta%20rodowa.pdf?sequence=1>, dostęp 20.09.2015.

Moritz Katarzyna, „Trzecie podejście do Łazienek Północnych”, Trójmiasto.pl, 9 grudnia 2009, <http://www.trojmiasto.pl/wiadomosci/Trzecie-podejscie-do-Lazienek-Polnocnych-n36020.html>, dostęp 11.11.2015.

Oferta na dzierżawę na okres 20 lat nieruchomości gruntowej zabudowanej, stanowiącej własność Gminy Miasta Sopotu przy al. Franciszka Mamuszki 14.

Patora Tomasz, „Co było powodem samobójstwa 14-latki?”, TVN „Uwaga!”, 10.06.2015, <http://uwaga.tvn.pl/reportaze,2671,n/co-bylo-powodem-samobojstwa-14-latki,171124.html>, dostęp 20.08.2015.

Patora Tomasz, „Czy to przez niego się zabiła?”, TVN „Uwaga!”, 12.06.2015, <http://uwaga.tvn.pl/reportaze,2671,n/czy-to-przez-niego-sie-zabila,171338.html>, dostęp 20.08.2015.

Pewińska Gabriela, „Teatr gotowania, czyli prowokacja na talerzu”, „Dziennik Bałtycki”, 21.05.2011.

Podolski Mikołaj, „Krystian jestem, zostań moją dziwką”, „Reporter” nr 7-8, lipiec-sierpień 2015.

Podolski Mikołaj, Bilaska Marta, „Lekceważenie to ponowne zgwałcenie”, „Reporter” nr 7-8, lipiec-sierpień 2015, <http://e-reporter.pl/index.php/item/1881-lekcewa%C5%BCenie-to-ponowne-zgwa%C5%82cenie>, dostęp 25.08.2015.

Podolski Mikołaj, „Naga prawda o seksbiznesie wśród elit”, „Reporter” nr 2, luty 2016.

Podryw na dyskotecę. YouTube, <https://www.facebook.com/joanna.ela.98>.

Postanowienie Sądu Okręgowego w Płocku Wydział I Cywilny, 7.09.2015. Sygn. IC1793/15.

„Przewodnik po dawnym Sopocie”, <http://www.dawnysopot.pl/?content=przewodnikopis&obiekt=lazienkipolnocne>, dostęp 26.08.2015.

Rejestr Przedsiębiorców. Informacje o spółkach: Art Invest sp. z o.o.; Art Invest Spółka Komandytowa; Art Invest Turystyka Org; Art Kreacja sp. z o.o.; Fundacja MCKA Zatoka Sztuki; Gastro, Gastronom Mahiki; Tent, T&C.

Rozmowa z recepcjonistką działu „rezydencje” Zatoki Sztuki, 30.10.2015.

Rozmowa reportera Radia Gdańsk z Krystianem Wiachonem, <http://www.radiogdansk.pl/index.php/wydarzenia/item/30779-nasz-reporter-konfrontuje-lowce-nastolatek-anaid-tuguszjan-pan-zna-krystian-w-z-tego-co-wiem-nie-zyje-tylko-u-nas.html>

Twoja Telewizja Morska, „Krystian W. nie przyszedł na rozprawę. Boi się mediów?”, 7.09.2015, <http://www.nadmorski24.pl/wiadomosci/24589-krystian-w-nie-przyszedl-na-rozprawe-boi-sie-mediow.html>, dostęp 30.09.2015.

Stasiński Piotr, „A gdyby to była twoja córka?”, „Gazeta Wyborcza”, 7.11.2015, <http://wyborcza.pl/1,75968,19151826,a-gdyby-to-byla-twoja-corka.html#ixzz3r5JRZxhj>

V Club, strona internetowa, <http://www.facebook.com/v.club.gdansk>, dostęp 6.09.2015.

„Właściciele bronią sopockiej Zatoki Sztuki”, Radio Gdańsk, 31.07.2015.

Czytaj więcej: <http://www.radiogdansk.pl/index.php/wydarzenia/item/27399-zainwestowala-w-zatoke-20-lat-zycia-teraz-sie-to-niszczy-wlasciciele-bronia-sopockiej-zatoki-sztuki.html>, dostęp 5.10.2015.

Włodkowska Katarzyna, „Śladami Krystiana W.”, „Gazeta Wyborcza Trójmiasto”, 4.08.2015, <http://trojmiasto.gazeta.pl/trojmiasto/1,35636,18483177,sprawa-anaid-sladami-krystiana-w.html#ixzz3jw5DzRhg>, dostęp 25.08.2015.

Włodkowska Katarzyna, „Prezydent Sopotu odpiera argumenty Zatoki Sztuki”, „Gazeta Wyborcza Trójmiasto”, 7.08.2015.

<http://trojmiasto.gazeta.pl/trojmiasto/1,35636,18515355,prezydent-sopotu-odpiera-argumenty-zatoki-sztuki.html#ixzz3jvzq1Khl>, dostęp 23.08.2015.

Włodkowska Katarzyna, „Co łączy Krystka z Iwoną Wieczorek”, „Gazeta Wyborcza Trójmiasto”, 12.09.2015, <http://trojmiasto.wyborcza.pl/trojmiasto/1,35635,18753904,sprawa-anaid-co-laczy-krystka-z-iwona-wieczorek.html>, dostęp 21.10.2015.

Włodkowska Katarzyna, „Proces Krystiana W. i filmy z nastolatkami. »Krystek« słynął z ich nagrywania”, „Gazeta Wyborcza Trójmiasto”, 8.09.2015, <http://trojmiasto.wyborcza.pl/trojmiasto/1,35636,18731067,proces-krystiana-w-i-dziesiatki-filmikow-z-dziewczynkami.html#ixzz3nF6BZHfU>, dostęp 30.09.2015.

Włodkowska Katarzyna, „Świadkowie mówią, że są zastraszeni”, Wyborcza.pl 23.11.2015, <http://wyborcza.pl/1,75478,19229771,zatoka-swin-swiadkowie-mowia-ze-sa-zastraszeni.html#ixzz3wN2Au6YX>

Włodkowska Katarzyna, „Prawie 40 ofiar gwałciciela z Wejherowa, zeznawać chce 16 z nich”,

„Gazeta Wyborcza Trójmiasto”, 31.07.2015, <http://trojmiasto.gazeta.pl/trojmiasto/1,35636,18462302,sprawa-anaid-prawie-40-ofiar-gwalciciela-16-chce-zeznawac.html#ixzz3jw6jEASe>, dostęp 26.08.2015.

Włodkowska Katarzyna, „Noclegi w Zatoce Sztuki. Prezydent Sopotu chce zerwać umowę”, „Gazeta Wyborcza Trójmiasto”, 13.02.2016, <http://trojmiasto.wyborcza.pl/trojmiasto/1,35636,19620161,noclegi-w-zatoce-sztuki-prezydent-sopotu-chce-zerwac-umowe.html>, dostęp 15.02.2016.

Włodkowska Katarzyna, „Płacę za zmianę zeznań”, wyborcza.pl, 02.12.2015, <http://wyborcza.pl/1,75478,19567100,lowca-nastolatek-cd-adwokat-place-za-zmiane-zeznan.html>

Wywiady z Joanną Tutguszjan, Gdańsk, sierpień – listopad 2015.

Wywiad z Sylwestrem Latkowskim i Michałem Majewskim, Warszawa, październik 2015.

Wywiady z Mikołajem Podolskim, październik – listopad 2015.

Wywiad z mecenasem Pawłem Giemzą, Gdańsk, wrzesień 2015.

Wywiad z mecenasem profesorem Wojciechem Cieślakiem, październik 2015.

Wywiad z prokuratorem Grażyną Wawryniuk, Gdańsk, wrzesień 2015.

Wywiad z Jackiem Karnowskim, Sopot, październik 2015.

Wywiad ze Zbigniewem Stonogą, Gdańsk, październik 2015.

Wywiady z informatorami proszącymi o zachowanie ich danych w tajemnicy, Gdańsk, Wejherowo, Szczecin, Puck, Tczew sierpień 2015 – styczeń 2016.

Zadworny Adam, „Gangster i jego syn. Antyballada o Nikosiu”, „Duży Format” (reporterski dodatek do „Gazety Wyborczej”), 10.07.2005.

„Zatoka Sztuki nie zgadza się z wynikami przeprowadzonych kontroli”, Radio Gdańsk, <http://www.radiogdansk.pl/index.php/wydarzenia/item/28146-zatoka-sztuki-nie-zgadza-sie-z-wynikami-przeprowadzonych-kontroli-stracilismy-dwa-miliony-zlotych.html>, dostęp 22.08 2015.

WYBRANE RELACJE MEDIALNE I KOMENTARZE INTERNAUTÓW

CO BYŁO POWODEM SAMOBÓJSTWA 14-LATKI?

TVN „UWAGA!”, 10 czerwca 2015

Miała zaledwie 14 lat, była pół Polką, pół Ormianką. Na imię miała Anaid. Tragedia spadła na jej kochających rodziców niespodziewanie. Jednak o wiele bardziej zaskakujące były informacje zdobyte przez mamę dziewczynki podczas jej prywatnego śledztwa (...) Po wyjściu ze szpitala pani Joanna próbowała dowiedzieć się, dlaczego Anaid odebrała sobie życie. Szybko zorientowała się, że w dzień przed tragedią jej córka spotkała się nie z koleżanką, lecz z blisko 40-letnim Krystianem. Mężczyzna poznał Anaid kilka miesięcy wcześniej przez internet, a ich korespondencja zwróciła już wcześniej uwagę chłopaka dziewczyny.

(...) Na podstawie relacji nastolatek mamie Anaid udało się ustalić, że Krystian znany jest policjantom z okolic Trójmiasta. Badali oni m.in. sprawę gwałtu i szantażu, którego mężczyzna miał się dopuścić na 16-latce z Pruszcza Gdańskiego – jednak prokuratura umorzyła sprawę, nie mając pewności co do wiarygodności dziewczynki. Mężczyzna jest też oskarżony o zgwałcenie innej 16-latki, która poznała go w internecie, planując ucieczkę z domu dziecka.

Śledztwo w sprawie śmierci Anaid trwa, ale do tej pory nie potwierdzono związku zachowań 38-letniego Krystiana ze śmiercią dziewczyny. Pozostaje pytanie, dlaczego nie zainteresowano się informacjami zebranymi przez mamę dziewczynki na tyle, by natychmiast szeroko przyjrzeć się działaniom mężczyzny wobec innych nastolatek.

(Informacja o programie na stronie internetowej TVN)

KOMENTARZE WIDZÓW NA STRONIE TVN

- Trzeba dodać, że Krystian W. był (jest?) bardzo blisko związany z kierownictwem sopockiego klubu dla celebrytów i snobów Zatoka Sztuki oraz Dream Clubem i to tam często zabierał swoje zdobycze z gimnazjum na „imprezki”. Pozornie wydaje się, że nie ma to znaczenia, a jednak może pokazywać dużo szerszy kontekst tej ponurej sprawy.

- Strach się bać! To dziś, żeby skazać mężczyznę za gwałt, wystarczą zeznania pokrzywdzonej sprzed 5 lat i jakaś opinia pseudonaukowca nazywającego się psychologiem, który stwierdzi że kobieta jak zwykle mówi prawdę, a mężczyzna jako źródło zła kłamie? A gdzie dowody? Świadkowie, materiał genetyczny, chociaż jakieś SMS-y.

- To nie mężczyzna, tylko pedofil.

- Dziewczynki ojców nie mają? Jakbym był ojcem takiej dziewczyny, nie zawahałbym się, wolałbym siedzieć w pudle, a żeby jego kolana w drugą stronę się odginały.

- Ja się z Tobą zgadzam. Dziwne, że tylko baby są na niego cięte. A gdzie jest ojciec? A może ojciec wie, kim jest jego córka, i nie chce robić sobie siary?
- Ojciec o mało nie zwariował, gdy się dowiedział o tym. Teraz siedzi w pudle za poważne okaleczenie człowieka.
- Mam 16 lat i nawet nie spotykam się z osobami powyżej 18. roku, chociaż nalegają. Nie wiem, gdzie rozum, gdzie policja? Świat oszalał czy tylko Polska taka jest?
- Jestem zaszokowana, 14-letnie dziecko spotyka się z 40-letnim facetem, a gdzie są rodzice dziewczyny? 40-letni facet z 14-latką – dla mnie to patologia.
- Nastolatki są zamknięte w sobie i dużo ukrywają przed rodzicami. I nie mów, że mogli coś zauważyć, bo nie mogli. Dlatego właśnie dorosłemu zboczeńcowi łatwo małolatę uwieść albo zgwałcić. Ona nie powie rodzicom, będzie się bać lub wstydzić. Jeśli będzie miała szczęście, to zauważą coś nauczyciele i powiedzą rodzicom. Jak nie będzie miała szczęścia, to cóż. I tak 40-latek z 14-latką to patologia, ale patologia z winy 40-latka, a nie jej lub jej rodziców.
- Ale co to za czepianie się kolesia, że się spotyka? Przecież można się spotykać nawet z małymi dziećmi, to nie jest karalne. A druga sprawa – w Polsce seks z 15-latkami jest legalny. Nie bronię gościa, ale to śmieszne jest, takie czepianie się. Jeżeli one chcą, to co w tym złego? Też może być tak, że niektóre oskarżają go o gwałty, których nie było. Kobiety są zdolne do takich zachowań, gdy się je urazi lub np. prześpi z nimi i oświadczy po fakcie, że chodziło tylko o seks.
- Ratunku! Nie wierzę, co ty tu piszesz. Facet ma 40 lat, ona 14 i to uważasz za OK. Wam się w głowach poprzewracało, normalny facet to chce kobiety, a nie dziecka.
- Kobieto, miałaś piękne i wrażliwe dziecko. Tak – nie napiszę, że córkę, bo to było dziecko. Miałaś je, ale już nie masz, bo zamiast zajmować się wychowywaniem małolaty, wolałaś zajmować się swoim partnerem i własnym życiem. Gdyby dziecko mogło ci ufać i miało w tobie oparcie, powiedziałyby Ci nawet o czymś tak strasznym jak gwałt. Twoje dziecko Cię potrzebowało, a Ty tego nie zauważyłaś. Teraz możesz mieć żal do siebie i całego świata, możesz mieć własne życie, własnego partnera, możesz mieć wszystko, ale dziecka już nie masz i nie będziesz mieć. Warto było pomyśleć, a nie kierować się denną dewizą naszych czasów – żyj dla siebie, masz prawo do własnego życia, co tam dzieci? Przemyśl te słowa 1000 razy, a jeśli trzeba będzie, to nawet milion, dotąd aż nie zrozumiesz. Za Twoje biedne dziecko będę się gorąco modlić, bo nie zasłużyło na los, jaki je spotkało.
- Nie no po prostu nie wierzę, jak to czytam. Twoim zdaniem to matka jest winna całej sytuacji? Żalotne i chore! Może ona ma iść za kratki, bo być może nie miała najlepszych kontaktów z córką, jak zresztą duża większość rodziców z dziećmi w wieku dojrzewania.
- Dajcie ludzie matce spokój, nie jej wina. Winny jest pedofil uwodzący 14-latkę. Dziewczyny w wieku dojrzewania mają najłabszy w swoim życiu kontakt z rodzicami, to mija. Ale 14-latka nie powie o gwałcie nikomu, no może najlepszej przyjaciółce, ale nigdy matce. Dlaczego? Bo będzie się obwiniać, myśleć coś w rodzaju „to moja wina, mogłam z nim nie jechać” albo mogą pomyśleć, że mama się zezłości, jak się dowie o tym, co się stało. Facet kupił jej jakiś ciuch, więc mogła pomyśleć, że uznają ją za galeriankę, którą nie była. Podsumowując: winny zawsze jest sprawca.

- Po co właściwie ta policja jest? Nic nie robią, a dzieciom dzieje się krzywda. To jest dla mnie chore. Po mieście chodzi jak gdyby nigdy nic zboczeniec, gwałcieciel i pedofil...

- Bardzo przepraszam, ale człowieka głodnego, który ukradnie przysłowiową bułkę, wsadza się za kraty, nazywa się złodziejem, a kimś, kto ewidentnie wykorzystuje nieletnie – nie interesuje się prawo, puszcza wolno i przechodzi do porządku dziennego, jakby to było „normalne”. Zważywszy na dowody, jakie matka ofiary zdołała uzyskać. Dlaczego tym nikt się nie zainteresuje na tle prawa?! Mam nadzieję, że tego sukinkota dosięgnie w końcu sprawiedliwość. Wyrazy współczucia matce i rodzinie dziewczynki.

- Co za obleśny potwór. Przecież to oczywiste, w jakim celu spotyka się ten mężczyzna z nastolatkami. O co może chodzić 40-letniemu człowiekowi w takich sytuacjach?! Czy ludzie są ślepi, czy aż tak bardzo nierozumni? Czy na miano pedofila zasługuje tylko człowiek, który gwałci dzieci poniżej 10. roku życia? A co z nastolatkami? Z wykorzystywaniem ich seksualnie? Czy to zdjęcia, filmiki czy to seks – jaka różnica? Ten człowiek sypia z dziewczynkami poniżej 18. roku życia – nieletnie nie są już dziećmi?! Nieważne, czy któraś z tych dziewczyn zgodziła się na zbliżenie, czy nie. Czy była galerianką, czy po prostu naiwną, która wyczuła łatwy i szybki zarobek. One są nieletnie, a on 40-letnim facetem!!

SAMOBÓJSTWO NASTOLATKI W GDAŃSKU! ZOSTAŁA ZGWAŁCONA PRZED ŚMIERCIA?

„FAKT”, 16.06.2015

Wiele wskazuje na to, że policja i prokuratura mogły zapobiec tej tragedii. Według śledczych, Krystian W. (40 l.) z Wejherowa od lat zarabiał na prostytucji. Polował na nastolatki i podle je wykorzystywał. Jednak wciąż chodził wolny!

Poszukiwany mężczyzna prawdopodobnie zgwałcił 14-letnią Anaid z Gdańska. Po spotkaniu z nią dziewczynka rzuciła się pod pociąg. Po tej tragedii Krystian W. zniknął. „Fakt” dotarł do zatrważających informacji na temat Krystiana W. Miał sporo na sumieniu i był dobrze znany policji i prokuraturze. W 2011 r. o pomoc mundurowych poprosiła dyrekcja wejherowskiego gimnazjum. Do władz szkoły dotarły niepokojące informacje na temat 40-latka. Nastoletnie uczennice miały zwierzyć się szkolnej psycholog z pewnego zdarzenia z jego udziałem. Sprawa trafiła na policję, a potem do prokuratury.

– Prokuratura w Wejherowie prowadziła dwie sprawy przeciwko temu mężczyźnie, jedna z nich dotyczyła czerpania korzyści z prostytucji, a druga innej czynności seksualnej z nieletnią – mówi „Faktowi” Grażyna Wawryniuk z Prokuratury Okręgowej w Gdańsku. – Sprawy zostały umorzone. Prokurator okręgowy analizuje teraz te dwa postępowania i sprawdza, czy nie było tu żadnych nieprawidłowości.

Zboczeniec pozostał więc bezkarny. Przez kolejne lata polował na nastolatki, zaczepiał je głównie w internecie. Jedną z nich była Anaid. 14-latka popełniła samobójstwo, rzuciła się pod pociąg. Dzień przed tym tragicznym wydarzeniem, w sobotnie popołudnie, gdańszczanka spotkała się właśnie z Krystianem W. To wtedy zboczeniec miał zgwałcić dziewczynkę. Anaid najprawdopodobniej nie potrafiła sobie z tym psychicznie poradzić i odebrała sobie życie.

KOMENTARZE CZYTELNIKÓW NA STRONIE INTERNETOWEJ „FAKTU”

- Krystiana W. zna dużo ludzi z Weja i każdy wie, że lubi „przycisnąć” małolatki. Wybiera tylko naprawdę atrakcyjne. Około 10 lat temu miałem okazję go poznać w jednej z nieczynnych już pomorskich

dyskotek. Próbował zgwałcić koleżankę na parkingu w aucie, udało się jej uciec i o wszystkim nam opowiedziała. Jak wraz ze znajomym wymierzyliśmy szybką sprawiedliwość, to bidulek straszył nas policją! Mieliśmy po 19, 20 lat, a on był już wyrosniętym mężczyzną, ale jego twarz dokładnie zapamiętałem, nawet niejednokrotnie go spotykałem przypadkiem w różnych miejscach później. Mam nadzieję, że w końcu dostanie za swoje, bo każdy, kto go zna, doskonale wie o jego cichym hobby.

- To alfons i informator policji (dlatego tyle rzeczy uszło mu na sucho). Podtykał biznesmenom dziewczynki, dlatego go tolerowali.

- On ma znajomości w Trójmieście, zna policjantów, a może i wyżej, kogoś np. w prokuraturze czy sądzie, dlatego sprawę należałoby przenieść do innego miasta, to może dopiero go sprawiedliwie osądzą, bo od kilku lat na wszystko mu pozwalają. Od dawna powinien być zastosowany areszt tymczasowy, a tu nic.

- Gdzie były matki, kiedy ich córki łądowały się w kłopoty? Jak zakompleksieni po uszy rodzice mają wychować zdrowe, pewne siebie dzieci? Rodzina to system, jak jeden trybik jest zepsuty, to sypie się wszystko.

- Gdyby rodzice potrafili rozmawiać z nastolatkami na każdy temat i byli dla nich wsparciem, to dziewczyny nie potrzebowałyby się dowartościowywać znajomością z facetem w wieku swojego ojca, ale rodzice mają swoje życie i nie mają pojęcia, co ma w głowie nastolatek i jakie zmiany psychiczne przechodzi w wieku adolescencji. Nastolatek potrzebuje tylko uwagi, wtedy nie żyje na Facebooku i nie ma też potrzeby zawierania takich znajomości. Poczytajcie literaturę fachową na temat dzieci w tym wieku.

- Czy on nie ma blizny z tyłu głowy, jakby dostał kiedyś pałą w łeb? I czy on jest łysy? Miałam podobny przypadek na dyskotecie, facet Krystian z Wejherowa proponował mnie i mojej koleżance pracę. I ile ma wzrostu? Tamten miał ok. 175 cm.

- Ja chyba znam tę łysą łajzę... Taki facet jeździł parę lat temu po Pomorzu z tancerkami do klubów, był ich „ochroniarzem”. Proponował mnie i mojej koleżance pracę tancerki. Nie zgodziłyśmy się, ale z 2-3 razy go widziałam na dyskotekach. Tamten typ też był łysy i był z Wejherowa, i miał bliznę z tyłu czaszki. Ciekawe, czy to nie on? Zapamiętałam tę charakterystyczną bliznę, jakby dostał w łeb kijem bejsbolowym...

- To słynny Krystian z Dreamu i Makahiki w Sopocie! Każda ładna dziewczyna zna tę paskudną gębę! Kilka lat temu odurzył czymś moją koleżankę i zgwałcił, jednak ona tak się bała, że nie zgłosiła tego na policję! Była wszystkiego świadoma, tylko nie mogła się ruszyć. Co za potwór! Podchodzi do każdej ładnej dziewczyny napotkanej w Sopocie oferując pracę! Zgadnijcie jaką? Najczęściej można go spotkać w Dream Clubie w Krzywym Domku w Sopocie. Grasuje tam od wielu, wielu lat! Proponował mi pracę jakieś 6 lat temu.

- Widziałem profil tej „dziewczynki” na portalu towarzyskim, gdzie wpisała swój wiek 25 lat, no może na tyle nie wyglądała, ale 20 bym jej dał. Poza tym pokazywała jakieś zdjęcia ze starszym chłopakiem dresiarzem, gdzie przewijał się alkohol, źrenice rozszerzone od narkotyków, także aniołkiem nie była i pewnie takich 40-latków miała na kopy, a facet miał po prostu pecha, że akurat po spotkaniu z nim popełniła samobójstwo.

- A małolaty wiedzą tylko, jak majtki zdejmować i rozróby z rodzicami prowokować. A że nadchodzi lato, ile ich pojawi się stojących przy drogach? Jadą niby pracować w barach albo jako gosposie. Same się wystawiają takim alfonsom.

- Te „porządne” małolaty same szukają przygód. Włóczą się po nocach, piszczą pod blokami, gżą się na ławkach, a potem mamusia zdziwiona, co córuni zrobiono. Co taka 13-, 14-latka robi o godzinie pierwszej w nocy pod blokiem, gdzie rodzice?

- Czemu takie nastki wybiera? Bo głupiutkie są, a on cwany, ale spróbuj coś powiedzieć takiej siksie, to cię jeszcze zwyzywa.

- Te „dziewczynki” nie mają mózgu, skoro spotykają się z gościem, który jest od nich 2 razy starszy... bez wyobraźni... skoro chciały przejechać się audicą, to mogły się wybrać z koleżanką, a nie same... albo przejechać się taxi:-)...tyle tego pedofilstwa chodzi po świecie, a one się na przejażdżkę same wybierają z osobą, którą dwa dni znają... sorry, że to piszę, ale same kusiły los... można by powiedzieć, że szukały sponsora...

SOPOT ZABIERZE PLAŻĘ ZATOCE SZTUKI?

TROJMIASTO.PL, 29 LIPCA 2015, GODZ. 15.50

Nielegalny koncert i nieprzestrzeganie ciszy nocnej wyczerpały cierpliwość sopockich urzędników, którzy po pięciu latach współpracy z Zatoką Sztuki wypowiedzieli jej umowę dzierżawy plaży. Właściciele Zatoki Sztuki twierdzą, że to nieporozumienie i jeśli miasto zabierze im dostęp do plaży, dalsze prowadzenie tego miejsca stanie się nierentowne. Miasto podkreśla, że plaża ma zostać uprzątnięta do 14 sierpnia.

– Wierzę, że to nieporozumienie i brak komunikacji – mówi Marcin Turczyński, jeden z właścicieli Zatoki Sztuki. – Może w natłoku organizowanych imprez i obowiązków zaniedbałem dialog z miastem. Wspólnie tworzyliśmy to miejsce i teraz nie chce mi się wierzyć, że przez jakieś niedomówienia miasto chce nam je zabrać. Wszyscy pamiętamy, jak wyglądał ten budynek jeszcze cztery lata temu. Wspólnymi siłami i ogromnym nakładem pracy wielu ludzi udało się stworzyć nowe centrum artystyczne w Sopocie. Wzorowaliśmy się na podobnych obiektach, które od lat z powodzeniem funkcjonują w Hamburgu czy Hongkongu. Nasza idea okazała się słuszna i będziemy jej bronić – zapowiada.

(...) Poza nadmiernym hałasem i organizowaniem nielegalnych imprez, miasto zarzuca Zatoce Sztuki, że bez wiedzy i zgody urzędników zaadaptowano pomieszczenia przeznaczone dla artystów na ekskluzywne pokoje dla turystów.

– Najemca zobowiązał się do realizacji multidyscyplinarnego centrum artystycznego zgodnie ze złożoną ofertą. Zabezpieczając interesy gminy, w umowie znalazły się zapisy dotyczące ewentualnego wypowiedzenia przed czasem oznaczonym umowy. Stać się tak może, o ile oferent nie będzie realizował przebudowy zgodnie z ofertą, jeżeli nie będzie realizowany zgodnie z ofertą program funkcjonalny lub obiekt zostanie poddzierżawiony bez zgody miasta. Zgodnie z zapisami umowy w obiekcie nie może być prowadzona dyskoteka. W ofercie przetargowej nie było też funkcji hotelowej – podkreśla Anna Dyksińska [z sopockiego magistratu]. Co na to władze Zatoki Sztuki?

– Pokoje o standardzie trzech gwiazdek zajmują zaledwie 20 proc. całej powierzchni budynku i umowa, jaką mamy z miastem, nie wyklucza prowadzenia takiej działalności – odpiera zarzuty Marcin Turczyński. – Jeśli miasto rzeczywiście zabierze nam plażę, będziemy musieli zamknąć Zatokę, bo nie będziemy w stanie utrzymać jej tylko z działalności kulturalnej, którą prowadzimy wewnątrz.

Organizowane tam imprezy – takie jak warsztaty, spotkania z pisarzami czy wernisaże – są istotną częścią naszej działalności kulturalnej, ale prawda jest taka, że nie są w stanie zapewnić nam płynności finansowej. Musimy zadbać też o koncerty gwiazd i większe imprezy, które z jednej strony dają nam rozgłos, a z drugiej zapewniają byt. Kosztuje to nas wiele pracy, niektórzy z nas w sezonie pracują po 20 godzin na dobę, a ja od czterech lat jestem zakładnikiem tego miejsca.

(...) Czy wypowiedzenie umowy może mieć związek z ostatnimi doniesieniami ws. Krystiana W., przeciw któremu toczą się policyjne i prokuratorskie śledztwa, m.in. w sprawie kontaktów z nieletnimi, kradzieży czy jazdy po alkoholu?

– Sprawa Krystiana W. jest dla mnie absurdalna. Jak się odniosę do zarzutów, że był prezesem jednej ze spółek łączonych z prowadzonymi przez nas lokalami? Nie zajmowałem się tym. Został prezesem uśpionej spółki, która powstała tylko dlatego, że zmienialiśmy brand lokalu. Przez rok pracował u nas jako kierowca, nie wiedziałem o jego kryminalnej przeszłości. Gdy to wyszło na jaw, nasza współpraca natychmiast się zakończyła – zapewnia Turczyński.

KOMENTARZE CZYTELNIKÓW NA STRONIE TROJMIASTO.PL

- Biadolenie. I tyle. Policzmy: 14 pokoi x 60 dni (lipiec/sierpień) x 700 (minimalna kwota wynajmu) = 588 000 zł + sponsorzy (Lotto etc.), + imprezy zamknięte, + restauracja, + dyskoteka na dachu dla ludzi z kasą + plaża (za sam wynajem leżaków w wakacje pewnie pokryliby koszt najmu na cały rok), nie wspominając o tych strefach z szampanem, łóżach VIP, koncerty przecież też nie są za darmo. Ktoś przypomni, jaki czynsz miesięczny ma Zatoka? 20 tys. zł?

Na powieszenie kilku obrazków przez artystów na ścianie raczej nie wydają dużo kasy. Po co to biadolenie? Ośmieszacie się.

- Niektórzy stali bywalcy tego miejsca i ci tutaj się wypowiadający chyba nie rozumieją istoty problemu. Mnie np. nie przeszkadza lokal dla bogatszych gogusiów, snobów czy po prostu pozerów chcących trochę poudawać światowców. Nie przeszkadza mi hałas, bo rozumiem, że w centrum zamożnego uzdrowiska nad Bałtykiem powinno być głośno. Muszą istnieć kluby dla ludzi z grubszym portfelem. Co więcej, sam raz byłem w Zatoce i muszę przyznać, że impreza była bardzo udana, choć parę stów poszło. Normalka w podobnych lokalach. Problemem jest po prostu charakter i przeznaczenie tego miejsca, które zostało wypaczone. Nikt by się nie czepiał, gdyby od początku przeznaczono Zatokę na koncerty, dyskoteki i wynajem pokoi, a Urząd Miasta by o tym wiedział. Pewnie inaczej także wyglądałaby umowa. Jeżeli oszukano miasto, ale także i jego mieszkańców, że Zatoka będzie tylko lokalem kulturalnym i artystycznym, to nie ma w ogóle o czym mówić. Jawny kant, zaniżono tym samym wielokrotnie stawki za czynsz i dzierżawę plaży. To jest materiał dla prokuratury, dziwię się tylko, że sprawa wyszła po tak długim czasie. Zapewne właściciele komuś wysoko postawionemu podpadli. Ale ogółem mam nadzieję, że w razie zamknięcia w miejsce Zatoki powstanie podobny lokal, natomiast powinien zachowywać choć pozory uczciwości.

- Kiedyś Fantom, teraz Zatoka Sztuki, a klientela z grubsza ta sama. Najbardziej mnie śmieszy akcja, ile to my zrobiliśmy przez te lata wspaniałych rzeczy dla naszych wspaniałych artystów! Żenada i mydlenie oczu, jak można mieć, aż tak, ludzi za debili! Przecież to był i jest zwykły kurwidołek z ładną nazwą! Szpan za ciężką kasą, klub z cenami dla nie wiadomo kogo, a sztuka jako przykrywką, ot i cała polityka tego miejsca...

- Ściema. Problem polega na tym, że prowadzona w tym lokalu działalność jest niezgodna z tym,

co jest wpisane w umowę dzierżawy. Podstawą działalności tego miejsca miała być działalność artystyczna – miało być to miejsce na wystawy, koncerty, animacje. A jak jest naprawdę? Otóż działalność artystyczna jest owszem prowadzona, ale w bardzo marginalnym zakresie – jest ona prowadzona tylko na tyle, żeby w „razie czego” można było powiedzieć, że przecież odbył się u nas koncert miesiąc temu. Główną działalnością tego miejsca jest zwykła tępa dyskoteka w stylu Dream Clubu, czyli karki, szemrani „biznesmeni”, gangsterka i duuuużo botoksu. Skrajnym przykładem niezgodności wykorzystania tego miejsca z planem są te sławne pokoje hotelowe do wynajęcia za tysiąka za noc. W założeniu miały być tam pracownie artystyczne, a de facto są tam ekskluzywne pokoje hotelowe – są one zresztą najczęściej wynajmowane na weekendowe imprezki jako miejsce do оргiетek i kokainowych przygód. I tak właśnie to wygląda – miejsce, które miało być kulturalnym centrum dla wszystkich mieszkańców Sopotu i turystów, stało się ordynarną tępą dyskoteką dla różnego rodzaju wytatuowanych „biznesmenów” i kręcących się przy nich panienek z nabotoksowanymi ustami. Kto nie był, a chce się sam przekonać, ale nie stać go na wieczorne atrakcje „kulturalne”, to wystarczy się w dzień przejść do ogródka plażowego tego klubu – królestwo nasterydowanych panów i botoksowych pań i te pełne pogardy spojrzenia na szaraczków za ogrodzeniem.

- Ale miasto dało prawie za darmo w dzierżawę taki obiekt. Najgorsze, że o zakazie prowadzenia tam hotelu nie ma nic mowy, bo w Polsce co nie jest zakazane, to dozwolone.

- Mały słowniczek hejtera! Czytając komentarze można dojść do wniosku, że ktoś przygotował całą akcję wcześniej, a hejterom napisał słowniczek z wyrażeniami, których powinni używać. Jeśli nie wierzysz, przejrzyj, co napisano. Przykładowe używane ciągle zwroty: burdel, koks, botoks, d*podajnia, szajs, hajs, mafia, dragi, ćpanie, bagno, sztuka (w znaczeniu pejoratywnym), narkomani, drogi alkohol (szampan i inne), silikon, warszawka, zatoka świń, zatoka koksu i botoksu. To oczywiście nie wszystko, ale łatwo zobaczyć, w jaki sposób działają wynajęci hejterzy, jaki jest ich cel. Ja mam swoje podejrzenie, ale Ty wyrób sobie własną opinię.

- Zazdrosna konkurencja? Zastanawiam się, komu z konkurencji tak bardzo nie pasowała Zatoka? Ewidentnie widać, że ktoś tutaj robi sztuczny tłum, a pan Karnowski chyba znowu wziął w łapę.

- Jaki hałas, jeśli pomiędzy Zatoką Sztuki a budynkami mieszkalnymi jest park z mnóstwem drzew, które idealnie wygłuszają. Może do Orłowa miałyby się nieść po wodzie? Jeśli przez hałas mieliby zamknąć to miejsce, to Sfinks już dawno by nie istniał.

- Sorry, ale to wygląda jak próba przejęcia tego miejsca. Jasne, ma ono swoje wady i nie jest idealne, ale jest jednym z niewielu miejsc w Sopocie i całym Trójmieście, gdzie faktycznie odbywają się wydarzenia artystyczne. Ostatnio miałem okazję być na Fringe Festival, gdzie była ogromna ilość różnych artystów. To, że miejsce musi się utrzymać i zarabiać, to normalne i nie ma się co dziwić, że właściciele chcą też z tego coś mieć. A co do miasta, pragnę przypomnieć, że cały Monciak jest ciągle obrzygany przez ludzi bawiących się w klubach, czyli trzeba zamknąć wszystkie? Dodatkowo Zatoka nie była zaangażowana w słynny półmetek sopocki, gdzie alkohol dla niepełnoletnich lał się strumieniami. Dziwne, że wtedy miasto za wszelką cenę nie próbowało walczyć z hałasem i piciem nieletnich.

- Widać władze Sopotu choć trochę obchodzą okoliczni mieszkańcy. Mieszkam w Gdyni przy ul. Waszyngtona, vis-à-vis, oddzielona od budynku mieszkalnego jedynie jezdnią, trzy dni w tygodniu ryczy, huczy, łomocze wiochmeńska dyskoteka, do tego wrzaski pijanego i naćpanego towarzystwa, mordobicia, klaksony, załatwianie pod oknami potrzeb fizjologicznych i seksualnych to tylko niektóre z atrakcji

kończących się o trzeciej, piątej lub nawet ósmej rano. Ostatnio jeszcze rajdy samochodowe. Policja tuż za rogiem śpi snem kamiennym, a my, mieszkańcy? Podobno jesteśmy przewrażliwieni. Dokonano pomiaru hałasu. W sobotnie południe. Jest OK – komentarza nie trzeba.

- Ze sztuką to miejsce niewiele ma wspólnego. Na przykład można podać „wernisaż”, który miał się odbyć o godz. 17. O 18.30 dwóch chłopaków wywieszało kilka zdjęć na jakichś stojakach. Dokoła burdel, jakaś głośna, kiepska muzyka, pełno dzieciaków i leserów. To ma być wystawa, wernisaż, prezentowanie sztuki? W takim miejscu można sobie tylko złą opinię wyrobić.

- W przypadku dwóch ostatnich koncertów państwo z Zatoki Sztuki wyznaczyli 3 progi cenowe i odpowiadające im strefy. Za strefę najbliższą 180 zł, a najdalszą 90 zł. W ostateczności żadnych stref nie było. Po prostu oszustwo.

- Od początku było wiadomo, że to ściema z tą sztuką. Wernisaże z 5 obrazów, czytanie dwójce dzieci, warsztaty dla 5 osób, pokoje dla artystów, a de facto hotelowe. No chyba było widać od początku, że to ściema – ale był to wymóg umowy z miastem. No i miarka się przebrała, ale raczej z powodu hałasu i złej opinii, a nie działań pseudoartystycznych.

- Ewidentnie powinni to zamknąć, co tam się wyprawia, ludzkie pojęcie przechodzi – byłem na jednej imprezie, samo kurewstwo i panowie z dużym portfelem. Sama rozpusta. Dodatkowo DJ jak gbur i co to nie on. Przed klubem nawet potrafili sprzedawać dragi. Zamknąć to na zawsze i po sprawie!

- Pod przykrywką sztuki i kultury – sutenerstwo, molestowanie nieletnich przez Krystiana W. Oczywiście pracują tam też inne panie całkiem dobrowolnie w najstarszym zawodzie świata, tzw. ekskluzywne. Klub na tym zarabia, bo ciągną tam stare nadziane pryki, kasę wydają na szampana, wynajmują pokoje, dziewczyny też zarabiają i biznes się kręci.

- Przecież to istny „Układ zamknięty”. Jak to jest, że najpierw połowa śmietanki sopockiej i zapewne wysoko postawionych urzędasów bawi się w Zatoce Sztuki, a tu nagle wypowiedzenie umowy? Czyżby władze Sopotu poprzez celowe działanie i korzystając z szansy, która się pojawiła, chciały doprowadzić do upadku Zatoki, a w kolejnym przetargu wystawić słupa w postaci kuzyna ze strony szwagra, który wygra? Tu nie chodzi o hałas czy nawet uchybienie co do warunków umowy, ale o wpływy i duże pieniądze. Kolejny dowód na to, że nasz kraj nie jest gotowy na zmiany. Śmierdzimy PRL-em, bez układów i łapówek niewiele ugrasz... Musimy poczekać, aż umrze pewne pokolenie.

- Klub Zatoka Sztuki stał się co prawda snobistycznym klubem, ale to jest klub na poziomie klubów europejskich i to z dobrą muzyką. Większość Forumowiczów niestety nie stać na bywanie w takim klubie, stąd te obrazoburcze zaiste opinie. Ot, taka polska przypadłość.

- Byłam na koncercie Skin i widziałam, kto tam chodzi, i dlatego zgadzam się z niepozytywnymi opiniami na temat tego miejsca. To wszystko są fakty i nie ma to nic wspólnego z kopaniem leżącego. Tam się bawią niunie „te od szejków arabskich” i ich gogusie. Nie wiem, czy takiego Sopotu chcemy. Kiedyś elita intelektualna, Osiecka, Klenczon, Niemen, a dziś... Wiem, że oni też gdzieś muszą, ale nie niszczy tradycji kulturalnych i nie róbmy z Sopotu ekskluzywnego burdelu.

- 700 zł dziennie za najem jednego pokoju w Zatoce Sztuki za dobę i po miesiącu mają już na czynsz. A samych pokoi mają 14, więc w jeden miesiąc (nawet niecały) mają na pokrycie rocznej dzierżawy.

A reszta się kręci. Byłem, skosztowałem makaronu i mohito bez procentów za 61 zł. Warta ta Zatoka głupoty.

- Czytam komentarze, że miasto chce to przejąć, bo im dobrze idzie. Najlepsze to, że piszą to silikoncy albo ludzie nieznający kompletnie gramatyki. Lokal stał właśnie tak długo nie wynajęty, bo nie można było tam robić imprez! Zatoka to robiła, a miało to być jedynie miejsce kulturalno-artystyczne. Pokoje miały być dla artystów, a nie ekskluzywne pomieszczenia, gdzie pedofile (mowa o Krystianie) obracały małolatki. Nie dotrzymywali umowy, to czemu miasto ma iść im na rękę?

- W pozory uczciwości grano tu od początku. Jednak pycha, bezkarność, bezczelność i arogancja w końcu wzięły tu górę, stąd też i reperkusje. Ani to pierwszy taki przypadek, ani ostatni.

- Oj, koks u tam się tyle przewala na zamkniętych imprezkach i po kiblach, że ho, ho. Młodzi piją, ćpają, sikają wszędzie, a Wawka jedzie na oparach – taka jest prawda, i nie jest to ekskluzywny kurort, tylko tania melina dla Wawki.

- A jak wam się wydaje, za czyje to pieniądze wszystko? Dawne rzeźmieszki 3miejskie powystawiały słupów i mają pralnię na własność. Niemal wszystko jest w rękach dawnych rzeźmieszek z lat 90. Byli milicjanci pracujący u nich tylko „przyklepują” legalność, a przede wszystkim nietykalność takiego czy innego przybytku.

- No niestety to, co można zobaczyć na plaży Zatoki Sztuki, to skupisko napompowanych silikonowych lachonów szukających sponsorów. Ta plaża i działalność tego lokalu nie mają nic wspólnego ze sztuką. Oni chcą tam robić hajs jak w najtandetniejszych klubach nocnych. Tandeta, plastik, wiocha.

- Zatoka Sztuk czytaj maniurek. Niech nikt nie udaje, że Zatoka Sztuki ma coś wspólnego z kulturą. Wernisaże, które organizują, to osiem obrazów prezentowanych do przysłowiowego „kotleta” w ich restauracji albo brandowane po pachy prezentacje produktów sponsorów. Wypełniają minimum artystyczne, by potem kasować po 400 za butelkę szampana. Jeśli imprezownia na dachu nie jest dyskoteką, to nie wiem, co nią jest. Prywatna plaża, zbotoksowane panienki i podstarzałe żigolaki nie mają nic wspólnego z artystycznym charakterem miejsca, na które dostali ten budynek.

- Brawo, Panie Prezydencie! Z miejsca, które miało się stać miejscem kultury i sztuki, stworzono miejsce „rozpusty, koks u i botoks u”. Mieszkam nieopodal i muzyka o godzinie 3-4-5 była nie do wytrzymania. Moje dziecko przez parę godzin w każdy weekend płakało, bo nie mogło spać! To jest miejsce, gdzie miała być wedle zapisów umowy sztuka, galeria, kultura? Na dachu dyskoteko-klubo-budy hałas, małolatki szukające sponsorów. Tak, o Zatoce jest głośno, ale w złym słowa tego znaczeniu.

- W jednej z publikacji na temat bohaterów tego artykułu, w kontekście seksualnego molestowania nieletnich, pojawia się tekst „na bramkach stoją aktualni i byli policjanci”. To w zasadzie wiele wyjaśnia i potwierdza powszechnie powtarzaną tezę, że związki szemranego trójmiejskiego półświatka handlarzy narkotyków, fanów nastolatek i innego hedonistycznego towarzystwa z funkcjonariuszami policji są faktem.

- Zastanawia mnie, dlaczego Wydział Wewnętrzny Policji i komendant wojewódzki pozostają obojętni na to, co robią po służbie funkcjonariusze i czy ich aktywności pozazawodowe nie stoją w sprzeczności z ich pracą w policji. Bezsprzeczne jest, że handel narkotykami i stręczycielstwo w nocnych klubach

kwitnie – w mojej ocenie przy czynnym współudziale niektórych funkcjonariuszy. Po śmierci Zachara większość tzw. bramek jest obstawiana przez ex-policjantów i policjantów w czynnej służbie, ludzi rzekomo ukierunkowanych na ochronę obywateli i porządku prawnego, a w rzeczywistości dorabiających sobie na relacjach z półświatkiem.

- Robi się coraz większy smród na mieście w związku z działającą siatką pedofilii w Trójmieście. Miasto chce od tego umyć ręce, więc pod byle pretekstem wypowiada umowę. Możliwe, że władze z nieoficjalnych źródeł wiedzą więcej, dlatego tak szybko podjęły decyzję.

- Byłem na kawie i korzystając z toalety za recepcją widziałem przemykające dwie małolaty do pokojów na górze. Wiadomo, do kogo się tak spieszyły, na pewno do takich, których stać na 1000 zł za pokój. To powinno się nazywać Zatoka d*pczenia. A jak są jakieś dla picu koncerty, to najtańszy bilet kosztuje 100 zł, bo gdzieś mają zwykłych ludzi, na czym innym zarabiają. Normalnych turystów to tam nie widziałem – kawa 15 zł.

- Pracowałem dwa tygodnie tam przy scenach i nie dostałem wypłaty. Niech zamkną to w cholere, a szefa z pięterka niech w kajdany puszczą. Na resztę wypocin nie mam siły...

- Na dachu tego budynku jest taras, a w nim lokal wyglądający jak ruski burdel. Kicz, szmira i ściema. Tak jak cały „impresowy” Sopot. I jest to niestety efekt działania sopockich urzędników, którzy swym działaniem doprowadzili do zarżnięcia dawnego, subtelnego Sopotu. To miasteczko miało kiedyś klasę. Teraz rządzą nadęte, kiczowate, napompowane, nieestetyczne i sezonowe „lokale” nastawione na masówkę... ech, szkoda.

- Oglądam zdjęcia z ZS na ich Facebooku. Zamiast „Zatoki Sztuki” powinno to nosić miano „Zatoki Snobów”, bo takiego przyczółku warszawskiego bananostwa nigdzie indziej się nie uświadczy. A to, że na zdjęciach królują 45-latkowie otoczeni dwudziestkami, pięknie wpisuje się w myśl przewodnią artykułu „Zatoka świń”. Serio, polecam pooglądać fotki.

W SERII
PRAWDZIWE ZBRODNIĘ

UKAZAŁY SIĘ



MANSON Ku zbrodni

Jeff Guinn

Wstrząsająca biograficzna opowieść
o CHARLESIE MANSONIE, odpowiedzialnym
za mord na Sharon Tate,
żonie Romana Polańskiego.

TABLOID

Śmierć w tytule

Piotr Głuchowski,
Marcin Kowalski

Porywający kryminał non-fiction,
w którym TABLOID wydał wyrok śmierci.

*Po lekturze z trudem pozbieracie
szczękę z podłogi. „Tabloid” udowadnia,
że rzeczywistość jest zawsze
mocniejsza od fikcji.*

Katarzyna Bonda



DO NABYCIA NA kulturalnysklep.pl W FORMIE E-BOOKA NA publio.pl